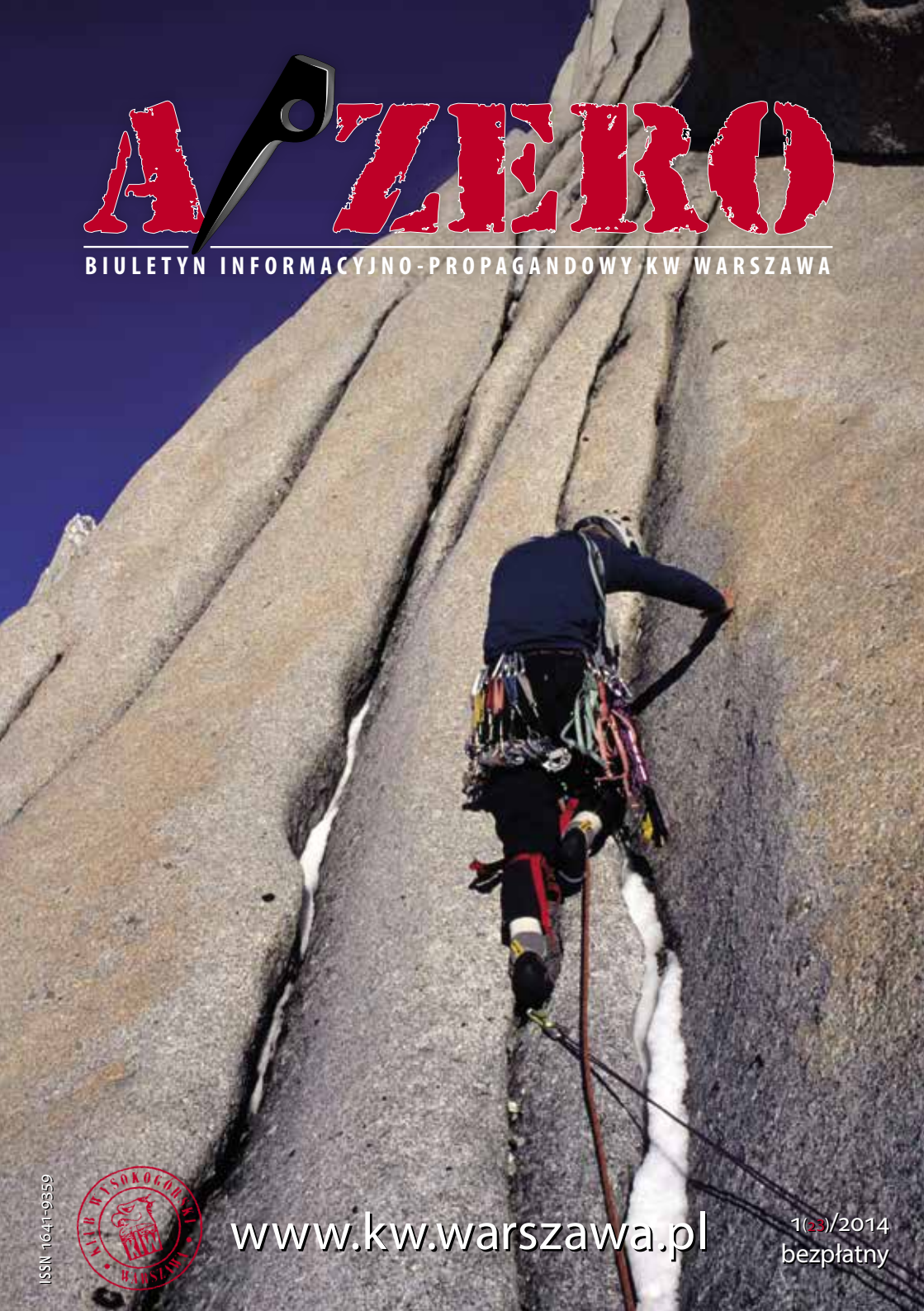


AZZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA

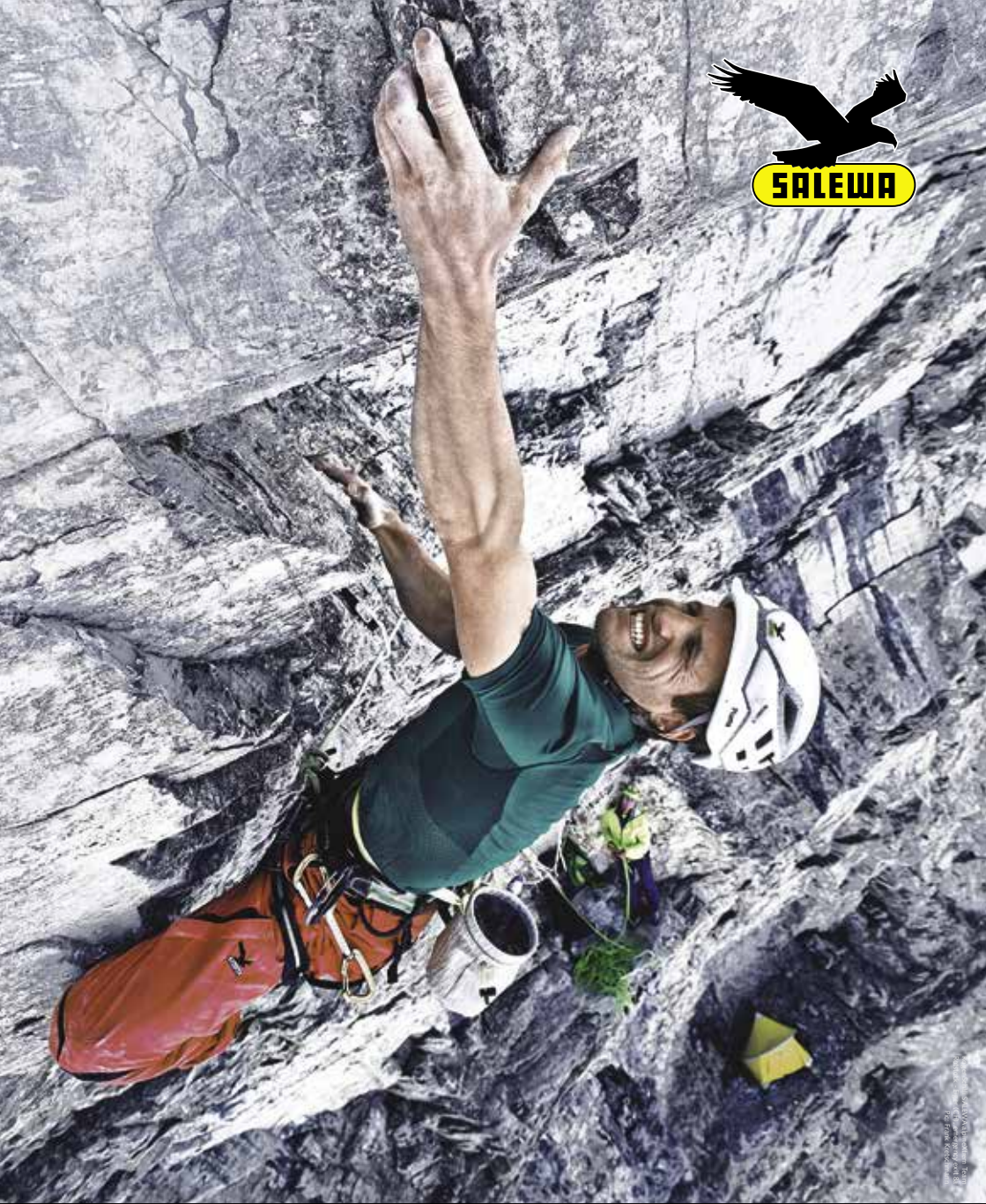


ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(2)/2014
bezpłatny



© 2015 Salewa s.p.a. All rights reserved. Photo: Adam Wójcik

Salewa Mountain Store
Warszawa

ul. Nowy Świat 2
00-496 Warszawa (Śródmieście)
Tel: +48 22 628 87 44
www.salewa.waw.pl

Salewa Mountain Shop
Rzeszów

al. Tadeusza Rejtana 53
35-328 Rzeszów
Tel: +48 17 85 00 330
www.salewasklep.pl

Salewa Mountain Shop
Zakopane

ul. Krupówki 36
34-500 Zakopane
Tel: +48 18 201 51 02
sklep.salewa.pl

Salewa Mountain Shop
Kraków

ul. Stawowa 61
31-346 Kraków
Tel: 607 070 257
sklep.salewa.pl

Książka wyjść

- Słowo Prezesa Zbigniew Skierski ♦ 2
- Jan Łącki „Aligator” 1938-1995 - cień na legendzie Andrzej Spychała ♦ 4
- A Fine Piece. Opowieści z pierwszego przejścia Greg Crouch ♦ 12
- Ryszard Kołakowski „Kolek”. Hardmen do końca 1954 -1988 Jerzy Kołakowski ♦ 22
- Makalu '88 Ryszard Kołakowski ♦ 26
- Mirabelki. Jacek Jasiński „Półkmieć” in memoriam Bogdan Śmigiełski „Danek” ♦ 33
- Taktyka na Ogra Tomasz Klimczak ♦ 40
- Jorassy Reloaded Tomasz Klimczak ♦ 46
- High life w Kalifornii Piotr Sułowski ♦ 50
- Przygoda na Szarpanych Piotr Kowalczyk ♦ 54
- Podsumowanie sezonu zimowego - Tatry 2013/2014 Maciej Bedrejczuk ♦ 56
- Nowe otwarcie - dwa obozy zimowe Artur Paszczak ♦ 59
- Północ-Południe, Jaworowy Szczyt 2417 m Artur Paszczak ♦ 60
- Obóz Letni KWW - subiektywnym okiem Łukasz Lewczuk ♦ 65
- Sezon wspinaczkowy 2014 Leszek Iwan ♦ 69
- Wieści ze skałek Artur Paszczak ♦ 72
- Jura My Love! oprac. Magdalena Nowak ♦ 74
- Jak zdobywałem Koronę Ziemi: Skałki Jurajskie Maciej Kubera „Pastor” ♦ 78
- Dziecko a wspinanie sportowe Kuba Jasiewicz ♦ 82
- Drugi koniec liny - asekuracja lotna opr. Marcin Kuś ♦ 84
- Kilka luźnych uwag o sprzęcie Marcin Chmieliński ♦ 86
- Sekrety mistrzów A.D. 2015 Marcin Bończa-Tomaszewski ♦ 90
- Dom Jan Gondowicz ♦ 92
- Alpejskie czterotysięczniki - polskie ślady Andrzej Kurowski ♦ 94
- Zapomniane zwycięstwa Andrzej Kurowski ♦ 98
- Nie ma drogi na skróty Justyna Osińska ♦ 100
- Informacje klubowe i zniżki ♦ 102



A/ZERO – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Artur Paszczak (redaktor naczelny), Aleksandra Ogłozza (z-ca redaktora naczelnego), Radosław Kołodziński, Justyna Osińska, Andrzej Kurowski, Marek Pokszan, Marcin Kuś, Adam Koźuchowski, Piotr Słeczkowski.

Skład: Marcin Szaliński

Kontakt z redakcją: paszczak.artur@gmail.com, a.ogloza@gmail.com

W A/ZERO piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek powstałe w trakcie uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/ZERO. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/ZERO nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu.

Kopiowanie materiałów w całości lub tylko części tylko za pisemną zgodą redakcji A/ZERO.

I str. Okładki: Greg Crouch w trakcie prowadzenia na drodze A Fine Piece. Fot. archiwum Grega Croucha.

IV str. Okładki: Andrzej Marcisz - Tak się wyjeżdżało w Alpy z dworca krakowskiego. Fot. archiwum Bogdana Śmigiełskiego.

Zaczekać do końca...

Witam serdecznie wszystkich Czytelników kolejnego numeru naszego klubowego biuletynu.

W tym numerze znajdziecie kalejdoskop wspaniałych postaci alpinizmu, tego przez duże „A”. Wspominamy naszego kolegę Ryska Kotakowskiego, ale także legendarnych Aligatora i Półkmięcia. W dziale zagranicznym pisze dla nas Greg Croch – znakomity amerykański alpinista, autor przetłumaczonych na wiele języków książek.

Z wielką radością i zadowoleniem obserwuję ostatnio wzmogoną aktywność górską członków naszego klubu. Mam tu głównie na myśli Tomka Klimczaka, Macieja Bedrejczuka oraz Maćka Janczara. Ich ostatnie alpejskie osiągnięcia stanowią poważną zapowiedź podjęcia kolejnych ambitnych wyzwań w górach średnich i wysokich.

Chłopaki, zrobiliście kawał dobrej roboty. Tak trzymać...

Całkiem niedawno dotarły z Yosemite wieści, że nasi klubowicze pokonali wiele pięknych i trudnych dróg. Piotrek Sułowski i Mateusz Zabłocki przywieźli okazałe i wzbudzające szacunek wykazy josemickich klasyków.

W sektorze czysto sportowym z przyjemnością odnotowuję pojawienie się bardzo utalentowanego, młodego zawodnika, Kostka Sobańskiego. Jego osiągnięcia, zważywszy na młody wiek, już w niedalekiej przyszłości rokują sukcesy na najwyższym światowym poziomie.

Coś się zaczyna w naszym klubie dzieć i to jest bardzo dobre, bo już obawiałem się, że poprzestaniemy na sztucznych ściankach, bunkrach i bieganiu.

A!propos biegania, tak się właśnie zastanawiałem nad pewnym zjawiskiem. Przyszło mi do głowy pytanie: dlaczego biegacze nie czekają na siebie? Odpowiedź jest banalna. Nie czekają, bo byłoby to wbrew logice współzawodnictwa...

Gdyby tak przenieść to pytanie w sferę górską, należałoby się natychmiast zastanowić, kto wyruszył w góry? Czy to są partnerzy, czy rywale? Oczywiście zdarza się i jedna i druga sytuacja. Czasami występują dwie te sytuacje na raz. Jakie zachowanie ich obowiązuje w tych obu przypadkach? Partnerzy powinni czekać jeden na drugiego, ale czy rywale również? Kiedy partnerstwo przechodzi w rywalizację, a kiedy rywalizacja w partnerstwo...? Oczywiście górskie sytuacje są dużo bardziej skomplikowane niż sytuacje biegaczy na bieżni czy nawet biegaczy terenowych. Historia zna przypadki czekania w górach i udzielania wsparcia lub pomocy nie tylko przez partnerów, lecz właśnie także i przez rywali. Czy w górach ważniejsze jest partnerstwo czy rywalizacja? W którym momencie kończy się jedno, a zaczyna drugie? Na te pytania każdy musi odpowiedzieć sobie sam. Pamiętajcie jednak, że czekanie ma różne oblicza...

Z doświadczenia wiem, jak irytujące bywa czekanie na partnera, który jest od nas dużo wolniejszy. Wlecze się taki, nie wiadomo dlaczego, i opóźnia dotarcie do upragnionego celu. Czekam więc niejako z obowiązku, ale gdy tylko zbliża się do mnie na kilka metrów, ruszam dalej, licząc, że niezwłocznie podąży za mną, tak trochę na zasadzie kija i marchewki.

Bywałem i w sytuacji odwrotnej. Mobilizuję wszystkie siły, aby dogonić partnera. Jestem tego dnia znacznie słabszy i wolniejszy. Nie mam kondycji lub wytrzymałości. Marzę o tym, żeby chwilę odpocząć, ale przede wszystkim nie chcę zostać sam. W końcu gdy widzę go, jak jednak czeka na mnie, wstępuję we mnie cię nadziei. Wyteżam resztkę sił, mobilizuję całą siłą wole, aby do niego dojść i mieć chwilę wytchnienia. Jestem już całkiem blisko, na wyciągnięcie ręki... i w tym momencie widzę, że on wstaje i rusza dalej, zupełnie jakby złośliwie uciekał... A niech go szlag...

Gdy tak czekacie na kogoś, czasami warto zaczekać do końca...



Zbigniew Skierski, „Siekiera”



Zygmunt Stary

Ufundowaną i przyznaną przez jednego z kolegów, który pragnie pozostać anonimowy, prywatną nagrodę Zygmunta Starego (banknot 200 zł) za ciekawy tekst w A/Zero otrzymała za numer 22. Agata Wieruszewska (Biegiem po grani Tatr).

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi dzielących Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/ZERO przysyłamy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejeźdź,
- ... i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których udoskonalisz lub poznasz nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć w pokazach slajdów i filmów w klubowej siedzibie oraz je współorganizować – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych na Obozowej oraz Nowowiejskiej (wtorek od godz. 20.00 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16.00–22.00, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi („Alp Extreme”, „W Pionie”, „Planet Sports”, „Warszawska Szkoła Alpinizmu”, „Go Up”, „Pionowy Świat”), uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

Andrzej Spychała

JAN ŁĄCKI „ALIGATOR” CIEŃ NA LEGENDZIE 1938 - 1995



NAUCZYCIEL, ULUBIENIEC UCZNIÓW

Urodził się w Warszawie 6 czerwca 1938 r. po uzyskaniu absolutorium z astronomii na Uniwersytecie Warszawskim pracował przez rok w Zakładzie Fizyki Akademii Medycznej w Warszawie, potem był nauczycielem fizyki w znanych liceach warszawskich im. Stefana Batorego i Mikołaja Reja. Został zapamiętany przez swoich uczniów jako wybitny nauczyciel. Wspomina Małgorzata Szczepanowska:

Pragnę opisać Aligatora jako nauczyciela, bo chociaż od lekcji z nim minęło ponad 46 lat, to wspomnienia są o nich są bardzo żywe. Znając wielką górską pasję Jana, wykorzystywaliśmy to bezwzględnie. Każda metoda była dobra, by uniknąć klasówki lub odpytywania, a Jan dawał się na to nabierać, oczywiście do czasu. Pamiętam jak rysował na tablicy schemat drogi, był jakiś trawers, wbijanie haków, asekuracja. Już dobrze nie pamiętam, o jaki szczyt chodziło, podejrzewam, że była to Droga Świerza na północnej ścianie Pośredniego Mieguszowieckiego. Jan wprowadził także szybkie kartkówki na czas (z budzikiem), co było absolutnym novum w tych czasach. Uczył nas także korzystania z różnych źródeł literatury fachowej. Zadawał prace na konkretny temat, po czym wracały one do nas całe wymalowane na czerwono, z dokładnym określeniem, z jakiej strony i jaki wiersz został przepisany. Uczył w ten sposób samodzielnego myślenia

i chwala mu za to, bo fizykę bardzo lubiliśmy i uczyliśmy się jej solidnie, i to nie tylko ci ze ścisłym zacięciem, lecz także tak zwani humaniści. Pamiętam naszą rozpacz na wiadomość w 1967 r., że Jan nie będzie już nas uczyć. Pozostał w naszej pamięci jako świetny, charyzmatyczny nauczyciel, człowiek z olbrzymim poczuciem humoru. Moje zainteresowanie górami, które trwa niezmiennie do dzisiaj (obszerna biblioteczka górską), i stałość w uczuciu do gór, w jakiś sposób zostały przez Jana sprowokowane. Niestety nigdy nie uprawiałam wspinaczki, zdając sobie sprawę ze swoich ograniczeń, ale po Tatrach chodzę do tej pory. W zeszłym roku obchodziłam 50-lecie swojej pierwszej wycieczki w Tatry.

WYPADEK NA MNICHU

Zaczął się wspaniać w Tatrach w 1956 r., m.in. z Władawem Karpińskim. W kwietniu 1960 r. rozważali oni pierwsze zimowe przejście *Wariantu R* na Mnichu. Wcześniej, 18 kwietnia w celu rozpoznania szczegółów, postanowili zjechać na linach ścianą wzdłuż planowanej drogi na Mnichowe Półki. Pierwszy zjechał Janek i po 70 m pomyślnie dotarł na półkę. Natomiast Władaw, przechodząc przez krawędź okapów, wypadł z klucza zjazdowego (kto jeszcze dziś wie, co to jest?), po przejechaniu na prusiku około 40 m, gwałtownie na nim zawisł i po krótkim

czasie przestał dawać oznaki życia. Pamiętajmy, że nieznane były wówczas ani upręże, ani urządzenia asekuracyjno-zjazdowe, bez których dziś już chyba żaden wspinacz nie wyobraża sobie życia. W tamtych czasach, po zawisnięciu wolno w powietrzu na linie, do której wspinacz był przywiązany pod pachami, pozostawało kilka minut na ratunek, zanim na skutek uciśnięcia nerwów pachowych następował niedowład rąk, a niedługo potem dochodziło do utraty przytomności. Powracając do wypadku: wtedy to ratownicy GOPR, bracia Krzysztof i Ryszard Berbek, przy użyciu zestawu Graminngera po raz pierwszy wykonali zjazd całą wschodnią ścianą, zwożąc z Mnichowych Półek Janka Łąckiego, a ze ściany powyżej – zwłoki Wacława Karpińskiego (*Taternik* 1, 1961, s. 50). Sprawa trafiła do Sądu Koleżeńskiego Klubu Wysokogórskiego, który za „lekkomyślność i charakteryzujące się brakiem odpowiedzialności postępowanie” usunął Janka z Klubu, a także zdecydował przekazać sprawę Zarządowi Głównemu Klubu Wysokogórskiego, „z kwalifikacją do przedłożenia jej Prokuraturze” (*Taternik* 3–4, 1960, s. 48). Druga część orzeczenia SK nie ma chyba podobnego sobie w historii KW. Propozycja przekazania sprawy prokuraturze, a zatem zgoda na postawienie klubowego kolegi przed sądem, za udział w nieumyślnym spowodowaniu wypadku taternickiego, budzi zdecydowany sprzeciw. Było to bowiem wbrew dotychczasowej w środowisku taternickim praktyce nieodwoływania się do sądów powszechnych w postępowaniu powypadkowym, nawet jeżeli niedopatrzenia i popełnione błędy były istotne. Z niezwykle interesujących dokumentów w archiwach Polskiego Związku Alpinizmu wynika, że ocena opisanego wyżej wypadku powracała jesienią 1960 r. na zebraniu Zarządu Głównego KW i wywoływała różnice zdań. W końcu, po dyskusjach przegłosowano, by nie oddawać sprawy do prokuratury, ale równocześnie dla członków Klubu uchwalono „zakaz chodzenia w góry z Janem Łąckim”. Warto też wspomnieć, że Janek był zwany do prokuratury powiatowej w Zakopanem bezpośrednio po wypadku, jeszcze po raz drugi – rok później i ostatecznie dochodzenie zostało umorzono. Natomiast zastrzeżenia może budzić zdecydowany brak poczucia odpowiedzialności Janka za wypadek, co wyraził on w ostrych słowach w skierowanym do ZG i SK KW, w nieuwzględnionym zresztą, odwołaniu do wyroku SK. Ponownie też przedstawił w nim szczegółowo okoliczności i przebieg wypadku, m.in. stwierdzając, że tamtego dnia było ustalone, iż Wacław Karpiński nie będzie jego partnerem na *Wariancie R*, a na rekonasans zjazdowy poszedł na własną prośbę. I wydawać by się mogło, że tragicznie zakończony pomysł zjazdów *Wariantem R* zostanie na zawsze porzucony. Tymcza-

sem już cztery lata później został zrealizowany. Oto skrócona wersja opowiadania Macieja Włodka „Kolorada”:

Wiosna 1964. Wielkanoc, pogodą ohydna, leje deszcz, śnieg mokra zupa. Mieszkamy z Andrzejem Mrozem w Kurniku. Znamy się jako tako, towarzysko [...]

Właśnie przyszła wiadomość, że w Kieżmarskiej spadli z lawiną Janusz Kurczab i Jacek Woszczerowicz. Jacek umrze w szpitalu za kilka dni. . .

W tym nastoju przynębienia, nudy i marazmu, przy rozmowie o wypadku Aligatora sprzed kilku lat, Mróz mówi do mnie: „A może by zjechać z eRa?” [...]

Pomysł uważam za trochę głupi, ale skądinąd zawsze bardzo lubiłem zjazdy. [...] Kupa ludzi mówi nam, że to bez sensu, że rzucamy wyzwanie, itd. I to mnie przekonuje, żeby pojechać [...]
Nazajutrz wchodząc na Mnicha przez płytę, spotykamy Andrzeja Heinricha. Nie słyszałem tego, ale Mróz mi potem powiedział, że Heinrich mu doradził, żeby sprawdził, czy ja nie mam za wysoko założonego prusika (partner Aligatora miał właśnie za wysoko, co stało się przyczyną tragedii). [...] Mróz jedzie pierwszy, ja sobie stoję przypięty do haka asekuracyjnego. Andrzejem obraca w kółko, ale jedzie. Haki suszne. Ale mówię „dla jaj”. „Jedź szybciej, bo ten hak się powoli wysuwa, a ja jestem do niego wpięty” [...]
Komentarze w schronisku [...] „i po co wam to było?”

Ale było fajnie, no bo przecież „nikt przed nami...” Ale najważniejsze, że od tego momentu zaczęła się nasza przyjaźń z Mrozem...

W tym przypadku, Andrzej Mróz i Kolorado za „lekkomyślne i nieodpowiedzialne postępowanie” – wg pomysłu Janka – nie zostali postawieni przed Sądem Koleżeńskim KW.

ALIGATOR NAD MORSKIM OKIEM

Po wydaleniu z KW Janek przez około dwa lata nie pojawiał się w Morskim Oku, jednak nie porzucił taternictwa, ani nie zniechęcił się do jego środowiska, wręcz przeciwnie – związał się z nim jeszcze ściślej. Około 1963 r., od ówczesnych, wymagających przecież gospodarzy schroniska w Morskim Oku Czesława i Wandy Łapińskich, uzyskał niezwykłą zgodę: na stawianie namiotu pod werandą schroniska. Dwuosobowy namiot dokładnie tam się mieścił i był przy tym doskonale zabezpieczony przed deszczem i wiatrem.

I tak przez następne lata 60. i początek lat 70. ubiegłego wieku Janek mieszkał rokrocznie w taki szczególny sposób w Morskim Oku, niekiedy przez cały taternicki sezon. I dlatego znali go niemal wszyscy wspinacze przewijający się w ciągu lata przez Morskie Oko. Na początku lat 60. był członkiem towarzyskiego

Klubu Gadów m.in. z Bohdanem Paczyńskim (później wybitny astronom, swego czasu polski kandydat do Nagrody Nobla) i Andrzejem Szarkowskim. Wtedy właśnie, w tamtym klubie został mu nadany tytuł „Aligatora”. Ponieważ do namiotu pod werandą schroniska w Morskim Oku Janek wchodził niczym aligator do swojej jamy – ów, przeniesiony w Tatry, pseudonim dobrze do niego pasował i szybko się przyjął. Środowisko taternicze, a przynajmniej część, nie stosowała się do zakazu „wychodzenia w góry” z Aligatorem. Potwierdzały to jego liczne wspinaczki ze znanymi taternikami, także na nowych drogach. Z czasem Aligator stał się autorytetem w różnorodnych taterniczych problemach. Posiadał szczegółową i praktyczną wiedzę o okolicznych ścianach i drogach wspinaczkowych. Jak trzeba było się czegoś dowiedzieć o danej wspinaczce, jakie tam skały, jak z asekuracją, albo jaki powrót – to chodziło się do Aligatora. Życzliwie odnosił się do młodszych kolegów wstępujących do taternickiego środowiska, chętnie służył im radą i pomocą. Bywało, że na czas nieobecności w Morskim Oku, z własnej inicjatywy udostępniał swoją „aligatornię”, by mogli w niej przenoćować późno powracający wspinacze. Nam, przy takiej niezapomnianej okazji powiedział: „... nie będziecie musieli tłuc się po nocy na taborisko”.

W Morskim Oku spełniał ważną rolę w łączeniu taternickiego środowiska. Bywał współorganizatorem długich nocnych biesiad przed starym schroniskiem, ze śpiewami i grażnecem, który w wielkim garze przygotowywał z odpowiedniej liczby butelek „jabłkoc” (bo nie było wtedy do kupienia gotowego grzańca) i osobiście taternikom serwował. Śpiewy pozornie były dekadentki, bo głównie słowackie i ...rosyjskie(!), a dużo rzadziej polskie. Jednak odgrywały znaczącą rolę w integracji środowiska i jak się wkrótce okazało, niewielki w nich udział polskiego nie przeszkodził zaangażowaniu taterników w działalność opozycyjną, a potem w ruch „Solidarność” z początku jawnej – „naziennej”, a potem w stanie wojennym – w „Solidarność” podziemną.

W okresie swojej bytności w Morskim Oku Aligator był krótko żonaty z Barbarą Dynowską. Latem 1967 r. w Morskim Oku wypowiediane były i takie słowa: „Oo! Aligatory wchodzą do jamy!”.

POKER W CIENIU MIĘGUSZY

Był zapałym pokerzystą. Grywał często i często wygrywał z rezydującymi w Morskim Oku fotografami polującymi na wycieczkowiczów pragnących mieć stamtąd pamiątkowe zdjęcie, bo telefony komórkowe z aparatem fotograficznym wtedy nie istniały. Wiktor Szlpacki zapamiętał okolicznościowy zwrot Aligatora: „Panowie fotografowie, czy któryś z was

nie zechciałby zagrać w krótką męską grę pięciokartową?” I w ten sposób część dochodów uzyskanych przez fotografów na turystach, przepływała do portfela Aligatora, który bywało, że dzielił się wygraną z kolegami, a czasem im „odpuszczał”. Wspomina o tym Marek Lipiński „Francbródka”, który jak stwierdził – od Aligatora nauczył się „męskiej pięciokartowej”: *Pamiętamy słynne rozdanie, w którym Aligator miał pokera, a jeden z kolegów karekę króli. Stawka była olbrzymia. Po wygranej Aligator podzielił się z grającymi, zwracając co do grosza wkład kolegi, który przegrał (wszystko co miał w Moku). A taką pokerową historyjkę przypomniał Piotr Semkowicz vel „Libella” – „Libeś”: *Tamtego lata w lipcu pogoda w Tatrach była beznadziejna. Na taborisku, środkiem namiotu, w którym spałem, płynął potok wody. Spadł śnieg. Zmknięta orzechówka wyjadła mi ostatnią konserwę spod podestu. Aligator miał superkomfort, bo spał w dziurze pod schodami schroniska. Cóż było robić? Godzinami graliśmy w krupa czyli pokera. Przerwa na obiad, mielonego z podwójnymi ziemniakami zamawiamy u pana Stefana. Płacimy drobnikami wyjętymi z Morskiego Oka, przymocowaną do długiego patyka łyżką.**

Aligator ponagla nas:

– *Kończcie jeść. Do roboty. Trzeba grać.*

Rozdaje karty. Ostra jazda. Ful max i kolor. Kolor i kareta. Zgarnia dużą pułę. Na drugi dzień podobnie. Coś nie tak. Męska rozmowa uczestników rozgrywek z Aligatorem.

Final: wystawny obiad dla kilkunastu osób u „Jędrusia” w Zakopanem. Stawia Aligator. Barwna to była postać i barwne czasy. Pokerowy temat wspomina też Boguś Stama:

A ten fotograf, co to go Aligator ogrywał pokera w Moku, jest teraz bardzo zamożnym człowiekiem w mieście Zakopane. Na szczęście te szulerki Aligatora, co było faktem, nie zaszkodziły mu za bardzo. Mam nadzieję, że te karciane i inne słabości, będą Aligatorowi wybaczone.



Partnerami pokerowymi Aligatora m.in. bywali także: Michał Gabryel, Janusz Hierzyk, Jan Kielkowski, Andrzej Mierzejewski „Jembas”, Antek Pomianowski i inni.

RATOWNIK GOPR

W 1970 r., może w intencji zadośćuczynienia za współudział w wypadku na Mnichu, Aligator wstąpił do Grupy Tatrzańkiej GOPR. 24 września 1970 został przyjęty jako członek kandydat. W kronice GOPR odnotowany jest jego udział w czterech akcjach ratunkowych. 3 października 1972 r. przed ówczesnym Naczelnikiem Grupy Tatrzańkiej Michałem Jagiełłą złożył przysięgę i został ratownikiem ochotnikiem. Praktycznie oznaczało to pełną rehabilitację z zarzutów związanych z tragedią sprzed 12 lat. Ostatni dyżur ratownika GOPR pełnił w 1973 r.



TAJEMNICZY LIBAN

W 1973 r., lub nieco później, opuścił Tatry i wyjechał do Libanu. Wiadomości o tamtym okresie życia jest bardzo mało. Jedynym, jak dotąd, ich źródłem pozostają powtórzone przez kilkoro przyjaciół skąpe relacje z opowiadań samego Aligatora, po jego przyjeździe do Polski. Wynika z nich, że zajmował się tam szkoleniem specjalnym w oddziałach chrześcijańskiego stronnictwa Falanga walczącego ze zbrojnymi ugrupowaniami istniejącymi w obozach uchodźców palestyńskich. Ten, początkowo lokalny konflikt, który wybuchł w 1975 r., wkrótce przekształcił się w długoletnią, z udziałem państw ościennych, wojnę domową. Mówiono o niej, że była „wszystkich ze wszystkimi”, zginęło w niej około 800 tys. ludzi, a kwitnący Liban zamieniła w ruiny.

W nagrodę za udział w zwalczaniu zbrojnych grup palestyńskich Aligator otrzymał od władz libańskich stację benzynową w ajencji. Od tamtego czasu nie radził sobie jednak z życiem. Wpadł w alkoholizm...

POWRÓT DO POLSKI NA ZAWSZE

Na przełomie lat 1994 – 1995 powrócił jednak do Polski.

W Warszawie odnalazło się kilkoro dawnych przyjaciół, którzy mu pomagali. Jeszcze zdążył skutecznie przygotować do matury z fizyki córkę Krystyny Nasiegniewskiej, Agnieszkę. Jeszcze zdążył odwiedzić Tatry! Tak zapamiętał to wydarzenie Boguś Słama, wówczas kierownik Centralnego Ośrodka Szkolenia PZA w Betlejemce:

Ostatni raz widziałem Aligatora kilka miesięcy przed jego śmiercią. Przyszedł do Betlejemki z Andrzejem Marczakiem. Wyglądał na bardzo wyniszczonego. Miał długie siwe włosy, był podobny do Sabaty. I tylko uśmiech pozostał mu ten sam. Po tym uśmiechu dla mnie był rozpoznawalny. Pomyślałem taki, aby Aligator pozostał trochę w Betlejemce. Odpoczywałby sobie, coś tam mi pomagał etc. Bałem się tego trochę. Sam wtedy nie pijąc, lękałem się kontaktu z drugim alkoholikiem pod jednym dachem. Ale przecież z moralnego punktu widzenia nie miałem prawa odmówić. Zgodziłem się, stawiając jeden warunek: jeżeli dotknie alkoholu, rozstaniemy się natychmiast. Któregoś dnia zszedł do Zakopanego, aby przynieść swoje, pozostawione tam rzeczy. Miał wrócić za dzień czy dwa. Do Betlejemki nie dotarł już nigdy...

Okoliczności Jego śmierci 13 grudnia 1995 r. wskazują na samobójstwo przez skok na nadwiślański bulwar z wiaduktu Mostu Poniatowskiego... Został pochowany na Cmentarzu Bródnowskim, w kwaterze 87D-5-10.

W TATRACH, W ALPACH JULIJSKICH, MOTOCYKLEM W GÓRY IRANU

Aligator był współautorem i zapewne głównym inicjatorem kilku interesujących dróg w Tatrach Polskich, zazwyczaj logicznych i w mocnej skale: na Żabim Szczycie Niżnim, Żabim Mnichu, Zamarłej Turni, przez Żelazko na Cubryński Zwornik, a najbardziej znanej – Przez Grzybek na lewym filarze Świerza północnej ściany Pośredniego Miękusowieckiego (w przewodniku WC nr 10 formacja ta nazwana jest Wieżą Świerza). Ta ostatnia zyskała w latach 60.–70. dużą popularność i wydaje się, że w dalszym ciągu pozostaje godna polecenia. Maciej Włodek „Kolorado” wspomina okoliczności jej pierwszego przejścia (16 września 1965): *Ta droga była jego obsesją, chodził tu i spadał kilka razy. Zapropował mnie, a nikomu z wielkich, bo byłem mały*

znany, choć w opinii dobrego wspinacza. Ale potem lojalnie mówił, że to ja wkosiłem główne trudności.

Z jak niezwykłymi emocjami odnosił się Aligator do problemu na Filarze Świerza Pośredniego Miegusza, przypomina Józef Nyka: *Kiedy szczykaliśmy się z Adamem Szurkiem do naszego przejścia tej formacji. Aligator groził, że będzie w nas „walił kamieniami”. Był tak wzburzony, że brzmiało to całkiem realnie. „To mój problem, ja na nim straciłem zęby, mam z nim porachunki” – wykrzykiwał, co zapisałem w moich notatkach.*

Pamiętam też, jak pod koniec lat 60. mówiło się, że widoczne uzupełnienia przedniego uzębienia Aligatora, to skutek wybicia zębów po odpadnięciu w trakcie prób przejścia słynnego Grzybka. A tak wspomina przejście drogi Przez Grzybek Andrzej Tarnawski „Hrabia”: *Parę razy korzystałem z aligatorni, a jedną noc zapamiętałem szczególnie z wiadomych względów, bo przed wyjściem na „grzybka” z Jasiem Franczkiem. Pamiętam zarówno wyjście ze schroniska, jak i powrót, bo rankiem mimowolnie usłyszałem spod ganku: „będą loty, bo ani Hrabia, ani Franczuk nie są jakimiś atletami, a tam trzeba mieć trochę siły”, a po powrocie sam Aligator gratulował nam, bo ponoć byliśmy pierwszym polskim zespołem, który to przeszedł bez latania.*

Wspinał się z wybitnymi wspinaczami swojego czasu, m.in. z Haliną Krüger, Jerzym Hirszowskim, Adamem Szurkiem, Maciejem Włodkiem, Jarosławem Uszyńskim, Jackiem Woszczerowiczem, Andrzejem Jankowskim. Oto wykaz nowych cyro dróg w Tatrach wg Przewodnika Szczegółowego Władysława Cywińskiego (WC):

- sierpień 1960 r. – pierwsze przejście filarem *Innominaty*, w pn. ścianie Rysów, z Haliną Krüger, V- 3,5 godz. WC t. 9 droga nr 10 (WC 9/10)

- 1 września 1963 r. – nowa droga na pn. ścianie Cubryny, z Małej Galerii Cubryńskiej przez „Żelazko”, z Jackiem Woszczerowiczem, V+ 4 godz. WC 8/79

- 2 września 1964 r. – pierwsze przejście prawym filarem pn. zach. ściany Żabiego Szczytu Niżniego, V+ 2 godz. z Jarosławem Uszyńskim, WC 7/162

- 3 września 1964 r. – nowa droga na zach. ścianie Żabiego Mnicha (wg WC Żabiego Kapucyna), VI 2 godz. z Andrzejem Jankowskim, WC 7/66

- 16 września 1964 r. – nowa droga środkiem ściany czołowej Filara Świerza na Mieguszowieckim Szczycie Pośrednim „Przez Grzybek”, z Maciejem Włodkiem, VI- 4 godz., WC 10/99

Wziął udział w dwóch wyprawach: w Alpy Julijskie z Sekcją Wysokogórską Akademii Medycznej w Warszawie w 1970 r. (*Taternik* 3, 1970) i w roku następnym – w góry Iranu z Kołem Warszawskim Klubu Wysokogórskiego (*Taternik* 1, 1972).

Warto przypomnieć, że na wyprawę do Iranu Aligator dojechał samodzielnie motocyklem WSK Świdnik 175 cm³, co było osobnym, godnym odnotowania wyczynem. Po zakończeniu tej wyprawy we wrześniu 1971, motocyklowa podróż powrotna Aligatora trwała około roku, w której trakcie przebywał w kilku krajach Bliskiego Wschodu. Nieznane są szczegóły tej podróży. Natomiast dzięki niezwykłym fotografiom Henryka Kałużnego znamy dzień przyjazdu Aligatora do Morskiego Oka: 26 września 1972 r. Oddajmy głos Henrykowi:

Z Aligatorem spotkałem się tylko ten jeden raz w 1972 r. Jan Łącki już był wówczas żywą legendą chociażby z racji słynnej „aligatorni” pod schodami do schroniska w Moku, z której również dane mi było podczas tamtego pobytu przez kilka nocy korzystać. Byłem wówczas początkującym taternikiem i spędzałem w Moku końcówkę urlopu. Warunków wspinaczkowych już od dobrego tygodnia nie było i w schronisku pozostało niewiele osób m.in. Wojtek Dzik. Spędzaliśmy czas na grze w karty, taternickich posiadach przy piwie oraz śpiewaniu nie tylko taternickich pieśni. Aż tu nagle, któregoś dnia pod schronisko podjeżdża ktoś na motocyklu. Wkrótce okazało się, że to Aligator we własnej osobie. W pewnym momencie wyszedł sam Czesław Łapiński obejrzeć z bliska aligatorowy motocykl i wówczas wykonałem kilka zdjęć. Pamiętam, że później przez kilka godzin siedzieliśmy z Aligatorem przy piwku, wsłuchani w jego opowieści, z których niestety niewiele już pozostało w mojej pamięci. Pamiętam jedynie, że Aligator opowiadał o swoim pobycie w Adampolu, polskiej wiosce nieopodal Stambułu i o tym, jak uczył języka polskiego tamtejszych Polaków.

Z fotografii Henryka można odczytać umieszczone przez Aligatora na sakwie motocyklowej napisy z nazwami miast z trasy swojej podróży. Są to: Warszawa, Teheran, Bagdad, Ateny, Praga, Berlin, Wiedeń, Budapeszt, Ankar, Damaszek, a także Bejrut, w którym wkrótce Aligator znajdzie się ponownie, by pozostać w nim przez około 20 lat.

A tak wspomina dziś tamto zdarzenie Wojtek Dzik: *Pamiętam przyjazd Aligatora do Moka. Człowiek–legenda przyjechał na motorze pod koniec sezonu. Wcześniej słyszałem o nim wiele, o jego „aligatorni” – gdzie spał, o drodze Aligatora na Pośrednim Mieguszu, o mistrzu pokera. Czuło się powiew wolności i niepospolitej fantazji, jaki od niego bił, kiedy pojawił się jak z zaświatów, czyli z Iranu, na swym stalowym rumaku. Właściwie gdyby ktoś powiedział, że Aligator właśnie przybył z Marsa, nikt by się nie dziwił – wydawało się, że dla niego nie ma barier. Oglądaliśmy jego niesamowity pojazd i słuchaliśmy jego barwnych opowieści.*

Szkoda, że z tych opowiadań tak mało pamiętam... Ale atmosferę nieposkromionej swobody i fantazji Aligatora jeszcze czuję.

W obu wymienionych wyżej wyprawach Aligator był współautorem nowych dróg: w Alpach Julijskich na pn. ścianie Travnika, 800 m V, z Teresą Długokęcką i Janem Lewickim, a w Iranie pn. ścianą Siah Sang, 700 m V, z Andrzejem Sikorskim, Rafałem Świdorskim i Ryszardem Wroną.

W rozmowie telefonicznej z Wiktoorem Szłapackim, po 40 latach niewidzenia i niesłyszenia się, na moje pytanie, czy pamięta Aligatora, od razu odpowiedział: *On był dla mnie legendą. Ktoś mi go wtedy pokazał: To jest właśnie Aligator!*

NIESPODZIEWANY CIĘŃ: „ALIGATOR” VEL „TALIMAK”

Opowiadanie o Aligatorze miało się kończyć na ciepłych słowach Wiktora Szłapackiego – przywołanych na końcu poprzedniego rozdziału. Tymczasem niespodziewanie wynikała konieczność dodania jeszcze jednego. Piszący to opowiadanie, sądząc, że postawił już ostatnią kropkę, zajął jeszcze do słynnej listy Wildsteina, a wtedy okazało się, że znajduje się na niej Jan Andrzej Łacki. Należało to sprawdzić znacznie wcześniej, ale niestety stało się inaczej, dlatego zarówno czas pisania, jak i samo pisanie istotnie się wydłużyły. Zarząd Klubu Wysokogórskiego Warszawa podjął decyzję, by zwrócić się do Instytutu Pamięci Narodowej o udostępnienie materiałów dotyczących Jana Łackiego. W lipcu 2013 r. z IPN odebrane zostało ok. 140 stron kopii tych dokumentów pochodzących z archiwów MSW PRL. Niestety, ich treść nie pozostawia wątpliwości, Aligator był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa PRL w latach 1965–1974.

Jak wynika z dokumentów, dobrowolną zgodę na współpracę podpisał pod koniec 1965 r., przyjmując pseudonim „Talimak”. Ten bezwzględnie i wysoce naganny fakt to dla środowiska wspinaczy niespodziewany, wielki zawód i zarazem ponury cień na legendzie Aligatora.

Z drugiej strony jednak, w oparciu o wspomniane dokumenty brak jest podstaw do stwierdzenia, że Aligator prowadził inwigilację i składał donosy o działalności opozycyjnej konkretnych osób. W udostępnionych materiałach znajdują się sporządzone przez Aligatora na żądanie SB charakterystyki jego znajomych – w każdym przypadku pozytywne. W innym dokumencie, wiążącym się z głośną w PRL w latach 1968–1971 „Sprawą Tatarników”, Aligator przedstawia lakoniczne charakterystyki niektórych uwikłanych w nią osób, a jedną z nich jako niepoważną, nieodpowiedzialną – być może w celu złagodzenia oceny motywów ich działań przed PRL-owskim sądem. Na temat „Sprawy Tatarników” przekazał Aliga-



tora sprowadza się do tego, co już było bezspornie znane. A można przypuszczać, że wiedział o tym, że niektórzy ówczesni nasi kole-dzy taternicy przenoszą przez Rysy i Przełęcz pod Chłopkiem książki wydawane przez paryską „Kulturę” – zanim zostali aresztowani. Aligator mieszkając wówczas w „aligatorni”, przebywał chyba najdłużej w sezonie w Morskim Oku spośród wszystkich jego bywalców. Będąc tam jedną z centralnych postaci taternickiego środowiska, zapewne nie jedno widział i słyszał. Potwierdzeniem niespełnionych oczekiwań bezpieki wobec Aligatora odnośnie „Sprawy Tatarników” jest sprawozdanie oficera SB w dokumencie ze stycznia 1970 r.:

...zwróciłem „Talimakowi” uwagę na to, że środowisko taterników i nieodpowiedzialne kroki niektórych jego członków były mu znane wcześniej, o czym nie informował nas, a zwrócił się dopiero, gdy poszczególne osoby zostały zatrzymane przez aparat ścigania.

W treści dokumentów znajdują się decyzje SB o rozwiązaniu współpracy z Aligatorem, uzasadniane negatywnymi ocenami jego działań jako tajnego współpracownika. Mówi o tym notatka oficera SB z czerwca 1972:

Zwróciliśmy mu uwagę, że od kilku lat nie przekazał naszej Służbie żadnych interesujących nas informacji, a podczas spotkań zwraca się o udzielenie pożyczek pieniężnych. „Talimak” oświadczył, że konkretnie nie widzi możliwości, by podczas obecnego pobytu za granicą [od autora: chodziło o wyprawę w góry Iranu] mógł wykonać dla naszej służby konkretne zadanie. W związku z powyższym, a także z uwagi na brak operacyjnych możliwości tw. ps. „Talimak” został powiadomiony, że jego współpraca z naszymi organami zostaje zakończona.

Niestety, jeszcze wtedy się nie zakończyła. W maju 1973 r. na propozycję SB przywrócenia współpracy Aligator odpowiedział pozytywnie. Znow próbował podjąć z bezpieką grę, niczym partię pokera. W długich pisemnych wywodach przedstawił



mętną, bez konkretów wizję swojej przyszłej agenturalnej działalności, której zasadniczym elementem byłyby... długie zagraniczne podróże. Jednak nieufni już oficerowie bezpieki szybko zorientowali się w intencjach Aligatora i tym razem ostatecznie z nim zerwali. Mówi o tym notatka oficera SB z maja 1974: *W toku kontaktów z „Talmakiem” stwierdzono bezspornie, iż dążenie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa motywowane jest wyłącznie korzyściami materialnymi oraz potrzebą zapewnienia sobie możliwości częstych wyjazdów zagranicznych. Z uwagi na powyższe – proponuję zrezygnować z utrzymywaniem dalszych kontaktów operacyjnych z wymienionym.*

Opowiadanie to nie powstałoby bez licznego udziału koleżanek i kolegów. Ci, którzy nadesłali włączone do tekstu wspomnienia bądź zdjęcia, stali się jego współautorami. Bardzo pomocne uwagi redakcyjne bądź przedmiotowe przekazali: Kostek Bałuciński, Wojciech Brański, Michał Jarościński, Anna Glińska, Jan Krzysztof – naczelnik TOPR, Anna Okopińska, Marek Lipiński, Marek Majle. Dziękujemy szczególnie Ryskowi Pilchowi, którego unikalne fotograficzne zbiory pozwoliły na zilustrowanie niniejszego opowiadania zdjęciami. Wszystkim bardzo dziękujemy, a jeżeli kogoś pomieliliśmy, to temu komuś również dziękujemy i go przepraszamy.

Fotografie:

1. Jan Łącki „Aligator”.
2. Widok zakratowanej i zamkniętej „aligatorni” przedstawia Anna Lipińska, żona Marka Lipińskiego „Francbródki”. Fot. Marek Lipiński.
3. 3 października 1972, Aligator składa przysięgę ratownika GOPR, za nim Naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR Michał Jagietto.
4. 26 września 1972 Aligator przy swoim motocyklu w Morskim Oku. Fot. Henryk Kałużny.
5. Iran 1971, spotkanie motocyklistów: Aligatora i irańskiego policjanta. Fot. Ryszard Wrona.

I tak się stało.

Po tym fakcie miał miejsce, około dwudziestoletni pobyt na Bliskim Wschodzie. Powrócił stamtąd w stanie życiowej ruiny z zaawansowaną chorobą alkoholową. Kilka miesięcy później nastąpił tragiczny finał...

Aligator to być może najbardziej tragiczna postać z naszego grona. Licznych przymiotów i talentów, jakimi został obdarzony: umiejętności zdobywania wiedzy, zdolności językowych, rzutkości organizacyjnej, zdecydowania, odwagi, łatwości pozyskiwania znajomych i przyjaciół, osobistego wdzięku – nie potrafił wykorzystać. Zabrakło mu moralnej siły i pomysłu na własne życie, by zbudować w nim fundament jakiejś spokojniejszej drogi, na późniejsze lata.

Czy wobec przytłaczającej odrzy, jaką budzi współpraca ze zbrodniczą PRL-owską SB, z legendy Aligatora pozostało coś dobrego i trwałego?

Wydaje się, że jednak tak. Dla tych spośród nas, którzy go pamiętają, pozostają chwile, gdy Aligator przed starym schroniskiem w wielkim garze grzał wino i razem śpiewaliśmy. Chwile, gdy objaśniał, jakie na dane wspinanie zabrać haki i jaką drogą potem schodzić. Chwile, gdy w cwanglii przed schroniskiem w Moku pojawił się na motocyklu. Gdy zapraszał – na czas swojej nieobecności – na nocleg do „aligatorni”, zachęcając, że „nie będziecie musieli tłuc się po nocy na taborisko”. Chwile, dzięki którym czuliśmy się włączani do taternickiej braci, w której jedni byli wybitni, niektórzy jakby ubodzy krewni, ale wszyscy pozostawali członkami tej szczególnej rodziny. I choć wiele już lat minęło, poczucie to pozostaje do dziś. Świadomość tę w niemałej części zawdzięczamy naszym legendarnym koleżankom i kolegom, także okrytej cieniem kontrowersyjnej postaci Aligatora.

GREG CROUCH

– WPROWADZENIE

Grega Croucha poznałem w Patagonii w 1997 r. Wszedł się tam z Charliem Fowlerem (wielka sława Doliny, eksplorator Himalajów) oraz Jimem Doninim (choćby pierwsze wejście na Torre Eger) – dwoma wspinaczami światowej klasy. Greg, przesympatyczny facet, był częstym gościem w naszym obozie, a że nie stronił od napojów wysokokowych, to dogadywanie się nie stanowiło problemu (zresztą ten „wyskokowy” element przewija się w nazewnictwie jego dróg). Greg wszedł wówczas razem z Charliem na Cerro Torre, dzień po wejściu Jacka Fludera i Staszka Piecucha.

Potem natrafiłem przez lata na informacje o Gregu poprzez Alpinista i Mountain Info – zrobił liczne drogi na Alasce i w Patagonii, wszystkie z Jimem, bo Charlie zginął w lawinie w Chinach w 2006 r. Wszedł na Fitz Roya i Cerro Torre. Na Aguja Poincenot wytyczył The Old Smuggler's Route (to nazwa whiskey). Na Mont Bradley na Alasce poprowadził w 1996 nową drogę The Bourbon Bottle Route, a na Moses Tooth wielki dzisiejszy klasyk – Shaken, Not Stirred.

W 1999 r. dokonał pierwszego zimowego przejścia zachodniej ściany Cerro Torre wraz z Thomasem Ulrichem, Davidem Faselem i Stefanem Siegristem – chłopakami ze Szwajcju, których poznał w Patagonii w tym samym czasie co nas.

W tak zwanym międzyczasie Greg rozpoczął karierę pisarską, zdobywając uznanie czytelników i szereg nagród. Szczególną sławę zyskała jego Enduring Patagonia. My publikujemy dziś jego bogato ilustrowaną relację o pierwszym przejściu przepięknej A fine Piece na niezdozbytym patagońskim szczycie Cerro Pollone w 1999 r.

Artur Paszczak



Greg Crouch

A FINE PIECE

OPOWIEŚCI Z PIERWSZEGO PRZEJŚCIA

Mimo że *A Fine Piece* poświęciłem tylko pojedyncze, napisane naprędce zdanie w *Enduring Patagonia* i nie padła nawet jego nazwa, zawsze o nim myślałem jako o perfekcyjnym celu alpejskiej wspinaczki – ze względu na nieskomplikowane podejście, obiektywnie minimalne zagrożenie, rewelacyjną skałę i nadzwyczajny plener.

Wspinaczka przebiegała wspaniale. Mieliśmy stabilną pogodę i obydwaj byliśmy w szczytowej formie. Myślę, że od tego czasu droga została powtórzona raz czy dwa razy, i choć nigdy nie słyszałem, by ktoś ją zrobił, spodziewam się, że stanie się bardzo znana w dłuższej perspektywie. (I faktycznie – odkąd to napisałem, już słyszałem o kilkunastu wejściach!).

1





To było jak spełnienie najskrytszego marzenia – zrobić pierwsze przejście tak niesamowitej formacji... Gdyby *A Fine Piece* był w Yosemitech, znalazłby się w *Pięćdziesięciu klasycznych drogach Ameryki Północnej* Stecka i Ropera, i stałby się jedną z najbardziej znanych dróg wspinaczkowych na świecie. Z drugiej strony, nigdy nie zrobiłbym pierwszego przejścia, gdyby był w Yosemitech, więc piekielnie się cieszę, że jest tu, gdzie jest.

Natknąłem się na zachodni filar Pollone i inne obiecujące ściany w cyrku lodowcowym Marconi w czerwcu 1998, schodząc z Paso Marconi po zimowym przejściu zachodniej ściany Cerro Torre z trzema chłopakami ze Szwajcarii (Thomasem Ullichem,

Davidem Faselem i Stephanem Siegristem). Wcześniej dyskretnie wybadałem Rolo Gariobottiego, co, oprócz *Greenpeace* na Piergorgio, zostało już zrobione w tym cyrku.

Zachodni filar Pollone był atakowany przez Michela Piolę i Daniela Ankerę w 1988, lecz bez sukcesu, choć udało im się pokonać 2/3 drogi. Zostawili pojedyncze spity na stanowiskach, których Jim i ja byśmy nie umieścili, choć ostatecznie to właśnie one umożliwiły nam powrót do domu z odrobiną sprzętu dla odmiany. (Nie zebysmy wrócili do domu po tej wspinaczce. Spędziliśmy tam ponad miesiąc przy paskudnej pogodzie, ale w którymś momencie spakowaliśmy sprzęt i poszliśmy z Chalten do Estancia La Maipu, doświadczając jednej z najbardziej ekscytujących przygód w Patagonii, ale to już historia na inną okazję).

W każdym razie, wracając do Kalifornii po zimowej wyprawie na zachodnią ścianę, doniosłem Jimowi, że mam na oku dobre linie w Marconi Valley, jednak odmówiłem przysłania zdjęć z obawy przed jego niezdolnością do dochowania sekretu. Zgodził się więc na wyprawę w ciemno. Oto, moi drodzy, jest ostateczna definicja partnera, który Wam ufa. I jednocześnie braku Waszego zaufania. Lub jak kto woli wiedzy, co on potrafi, a czego nie.

Pojechaliśmy w listopadzie i trafiliśmy na okres dobrej pogody na początek sezonu.

Najpierw wspięliśmy się na dziewiczą Torrecita Tito Carrasco. Początkowo moja propozycja nazwy brzmiała Torrecita de la Breeder's Choice, gdyż miała harmonizować się z pewnym tematem, jaki Jim i ja wykorzystaliśmy, nazywając *The Old Smuggler's Route*, *The Bourbon Bottle Route*, and *Shaken, Not Stirred*, a także ponieważ wierzchołek był w kształcie butelki, ale uległem sugestii Jima, by nazwać turnię na cześć boliwijskiego przyjaciela jego żony Angeli, Tito Carrasco, który zmarł



na jej rękach po wspinaczkowym wypadku w Portero Chico. Koniec końców, Angela podarowała mi punkty zniżkowe na przelot na południe w zamian za obietnicę, że nie spadnę na głowę jej męża, co w świetle pewnych wydarzeń na Thunder Mountain na Alasce nie było ani próżnym prezentem, ani czczą obietnicą.

Zła pogoda nadeszła po tym, jak wspięliśmy się na Tito Carasco, więc wycofaliśmy się do Piedra del Fraile, a potem do Chalten.

Spędziliśmy kilka dni w Chalten, śpiąc pod dachem w prawdziwych łóżkach i kąpiąc się pod gorącym prysznicem, podczas gdy silna burza smagała Andy. Pewnego ranka złapaliśmy podwózkę do górnej części drogi podejściowej i z zaruconymi na ramiona plecakami wypakowanymi żywnością pode-

szliśmy do Piedra del Fraile. Kierując się wyłącznie intuicją, bez żadnych widzialnych lub meteorologicznych dowodów potwierdzających naszą teorię, wyczuliśmy początek dobrej pogody i zdecydowaliśmy nie zatrzymywać się na Piedra del Fraile, ale kontynuować podejście prosto do naszej bazy wysuniętej w cyrku Marconi.

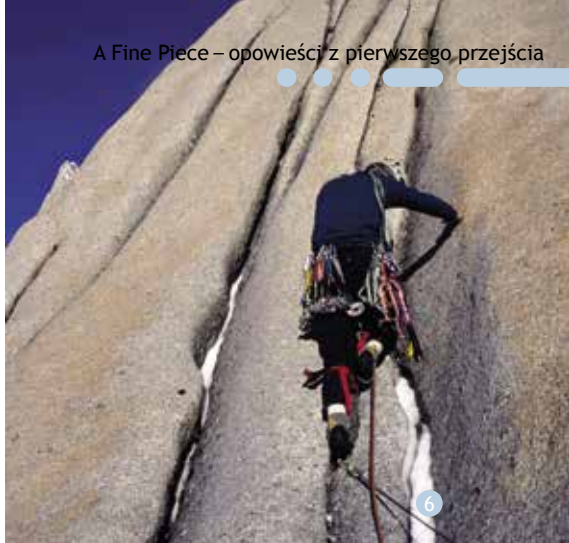
Obaj niewiele mówiliśmy, ale czuliśmy, że pokutą jednodniowego podchodzenia zastrzyliśmy na dobrą pogodę. Wiem, głupie przesady, i kiedy przebyliśmy ostatnie 15 mil z nawiązką do obozu, oba moje biodra krwawiły od napakowanej uprzęży, a źle dopasowane buty uciskały ścięgna Achillesa, sprawiając, że były obrzmiałe i przejmująco bolesne. To głupie, wiem, ale nigdy nie uznawałem Patagonii za Patagonię, dopóki nie powisiałem trochę na krzyżu.



Rankiem pogoda była niezła, ale to akurat mnie nie cieszyło. Marzyłem o dniu odpoczynku, ale nie byliśmy gotowi do uderzenia i obawialiśmy się, że tego dodatkowego dnia pracy mogłoby potem zabraknąć w ścianie, a pogoda się właśnie poprawiła. Zrobiliśmy szybki przegląd sprzętu po śniadaniu i kawie, i wtaszczyliśmy go najpierw długim stromym piargiem pokrytym śniegiem, a potem ławym lodowcem do podnóża zachodniego filara Pollone. I, o mój Boże, czy był gdziekolwiek piękniejszy, bardziej ogromny kawał cudownego, szarozłotego granitu? Skała wyglądała zdrowo i czysto, a układ szczelin wydawał się dołączać do niewielkiego łuku po lewej stronie. Jedynym problemem była cienka warstwa lodu pokrywająca początkowo 300 stóp filara. Ukryliśmy sprzęt w torbach wodoodpornych, przymocowaliśmy je liną do skały i wróciliśmy do obozu.

Tego popołudnia oglądaliśmy z dołu, jak wiatr ustał, chmury rozeszły się, a słońce zaświeciło wysoko nad filarem. Dzień łagodnie zmienił się w piękne patagońskie popołudnie.

Mieliśmy, jak zawsze, nadzieję na dwa kolejne dni dobrej pogody, a wtedy jeszcze przed epoką internetowej prognozy pogody nie mieliśmy pojęcia czy taka nastanie. Doświadczyłem głę-



bokiej wewnętrznej przemiany na tej wyprawie i rozkoszowałem się nią tamtej nocy, gdyż inaczej niż w poprzednich latach nie uważałem, aby mój los zależał od możliwości wspinania następnego dnia. Zrobiłem mnóstwo wspaniałych dróg wspinaczkowych na Alasce i w Patagonii w ostatnich pięciu latach i zarówno nadzieja, jak i pragnienia nie były już torturami, jak to miało miejsce w przeszłości. W końcu mogłem żyć zgodnie z łacińską maksymą *adveniat* – cokolwiek się stanie.

(Niemniej jednak pozostaje faktem, że byłem na dwóch wyprawach w Patagonii w owym roku, w lutym i na przełomie czerwca i lipca, w dodatku w sierpniu na wspinaczkę w Iranie, więc może ta filozofia nie miała z tym wiele wspólnego, a może po prostu byłem zmęczony).

Zmęczenie minęło następnego dnia. Podejście było łatwe i całkiem bezpieczne. Czekaliśmy, aż lód na skale stopnieje, i dlatego wystartowaliśmy całkiem późno.

Niemal od pierwszych chwil mogliśmy zobaczyć szczyty na zachód od lądolodu. Wspinaczka była wysmienita, skała niemal doskonała, a wspinanie szło naprawdę świetnie. Jedynym, czym się martwiłem, było tylko wspinanie, wykonanie prawidłowo każdego ruchu i dokładnie w odpowiednim momencie. Chciałbym móc przywołać taką życiową perfekcję w mojej codziennej egzystencji. Czasami dopada mnie ona w czasie surfingu, czasami przy pisaniu, czasem przy kilku innych czynnościach... Ale nigdy wystarczająco często i nigdy tak, jak podczas robienia pierwszego przejścia.

Biwakowaliśmy po siódmym wyciągu, na płaskiej półce. (Zrobienie całej drogi w jeden dzień byłoby opcją bardziej odpowiadającą współczesnym normom).

Przygotowywaliśmy z Jimem obiad, kiedy zachodzące słońce zapłonęło ogniem. Niektóre pasma chmur rozjarzyły się pomarańczowo, podczas gdy inne pozostawały czarne, a jeszcze inne



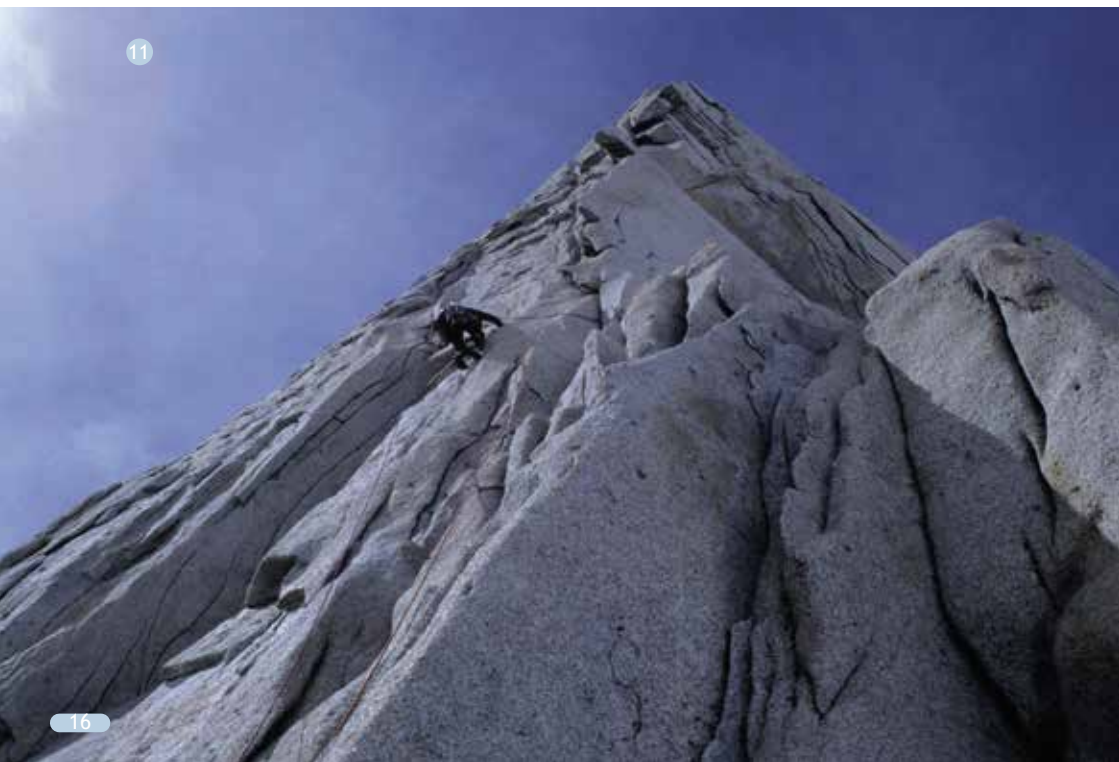


zabarwiły się na różowo, purpurowo i czerwono. Nakładaliśmy makaron i tuńczyka zastygli w niemy podziw.

następowały po sobie, ale zrobić co w mojej mocy. Skąta była idealna, taka, o jakiej zawsze marzyłem na górskich wspinaczkach.

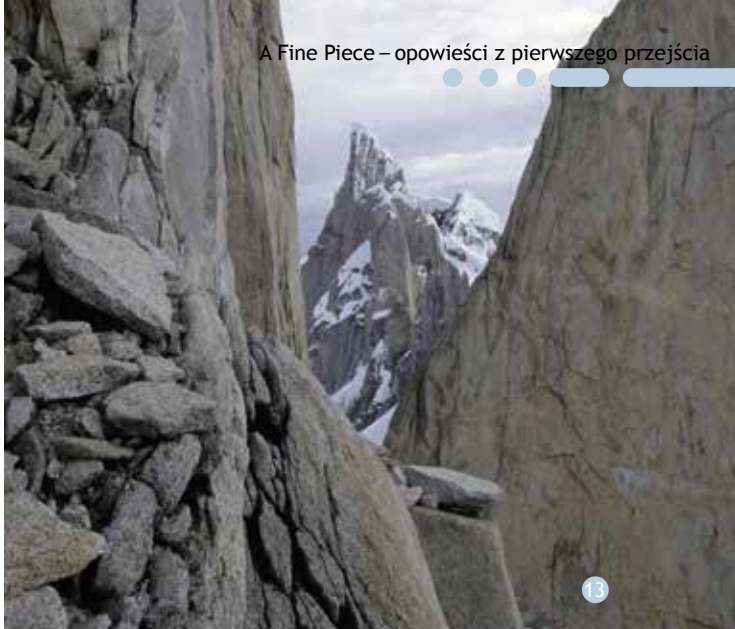
Wspinanie następnego dnia było kapitalne. Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, w jakim porządku te wszystkie rzeczy

Dziwna pogoda nastała w obydwu popołudnia. Żaden podmuch wiatru nie przeszkadzał nam na filarze, ale kłębek





12



13

chmur maszerował od strony Pacyfiku każdego popołudnia, zawisał nieruchomo na niebie, a następnie zmienił kierunek i sunął powoli z powrotem do morza. Z moich stanowisk widziałem pajęczynę cieni rzucanych w dół przez chmury na szaro-białą płaszczyznę lądolodu.

W końcu w polu widzenia zjawił się Cerro Torre, a my osiągnęliśmy przyjemną półkę. Odpoczywaliśmy na niej ze świadomością, że mamy drogę w kieszeni.



14

17



15

I wreszcie, chociaż raz, to ja poprowadziłem „wyciąg chwalebny” ostatni, który pozostał do wierzchołka.

Po chwili obaj stanęliśmy na najbardziej spektakularnym szczycie, jaki w życiu widziałem.

Spojrzeliliśmy w dół, z naszego obserwacyjnego punktu wysoko ponad dolinę Torre i ujrzeliśmy wszystko aż poza Lago Viedma.

Zachodnia strona Fitzroya wyglądała jakby można ją było dotknąć. Widzieliśmy północną ścianę Aguja Poincenot, gdzie spotkała nas niezła przygoda trzy lata wcześniej. Zachodnia krawędź Innominaty i zachodnia ściana Aguja Saint Exupery, sceneria dwóch innych epopei, stały w rzędzie obok Poincenot, a po drugiej stronie doliny wyrastał spoza nich południowy



16



filar Cerro Torre – *Compressor Route* – z profilu jak fundament latającej katedry.

Z naszego gniazda mogliśmy rozpoznać cechy szczególne zachodniej ściany ponad headwallem. Widziałem małą półkę, gdzie Szwajcarzy i ja spędziliśmy naszą ostatnią

noc na Torre podczas zimowego wejścia. Jim wskazał miejsce, gdzie on, Stefan Hiermaier i ja rozbiliśmy awaryjnie biwak w czasie naszego burzowego powrotu ze szczytu *Compressora* i wpatrywał się w szczyt Torre Egger, którego pierwsze wejście zrobił z Johnem Braggiem i Jayem Wilsonem w połowie lat 70.



19

Patrzyliśmy w dół na podkowę lodowca Marconi i na szczyt Torrecita Tito Carrasco, jak nazwaliśmy ten wierzchołek. I na zachód, gdzie biegnący na północ i południe ku krawędziom horyzontu leżał południowy patagoński lądolód, jeden z najmniej znanych obszarów na ziemi.

Byliśmy w świecie absolutnej alpejskiej perfekcji.

I ujrzelśmy też niewiarygodną płetwę Piergorgio, w idealnym profilu, z południową patagońską czapą lodową w tle, od której widoku nasza droga wzięła swą nazwę...

...a to dlatego, że Jim, blisko już wierzchołka Pollone, ujrzawszy ową zachodnią ścianę Piergorgio z drogą *Greenpeace*, wyrzucił z siebie coś na kształt: *No co za ściana, niech mnie diabli, to wygląda jak przedupione łojenie, ale kto nazywa drogę od ruchu ekologicznego? Pieprzone wieloryby, greenpisujcie mnie w dupę... ta droga to jest piękny kawałek!*

Pogoda wciąż była dziwna, ale stabilna, a półka, na której zostawiliśmy rzeczy do spania, tak dobra, że zrobiliśmy bonusowy nocleg po drodze w dół, a Patagonia potraktowała nas kolejnym efektownym widowiskiem.

Byliśmy z powrotem w bazie wysuniętej około południa, mając mnóstwo czasu na wcześniej przelaną whisky. Zasłużyliśmy na nią. I na całe to żarcie, które na nas czekało.

Nigdy nie byłem na na tak pięknym dziewiczym szczycie przed tą wyprawą, a wtedy zaliczyłem dwa w przeciągu tygodnia. I wciąż nie mogę uwierzyć, że zrobiłem pierwsze przejście tak pięknej drogi.

Najprawdziwszego *A Fine Piece*.



20

POST SCRIPTUM

O ile mi dziś wiadomo, oto historia zdobywania zachodniego filara Cerro Pollone:

1988: Michel Piola i Daniel Anker – próba przejścia.

1999: Crouch i Donini – pierwsze przejście *A Fine Piece*.

2011: Blake Herrington i Scott Bennett. 4-wyciągowy wariant startowy do *A Fine Piece* jako część ich trawersu Pollone.

2013: Joel i Neil Kauffman oraz David Allfrey.

Fotografie:

1. Torrecita Tito Carrasco po lewej (zrobiliśmy pierwsze wejście tydzień wcześniej), i zachodni filar Cerro Pollone dominujący w centrum fotografii. *F.P.* swobodnie podąża linią słońca/cienia dzieląc się na 15 wspaniałych wyciągów.
2. Tito Carrasco po lewej, zachodni filar Pollone na drugim planie w centrum.
3. Autoportret autora - przelewa butelkę whisky Breeder's Choice na wypad w górę doliny Marconi.
4. Ostatnie promienie słońca na wschodniej ścianie Piergorgio.
5. Udział autora pierwszego dnia.
6. Jim podczas swojej szczyty jeszcze nisko na drodze.
7. Słońce zachodzi.
8. Jim napiera.
9. Jim prowadzący ten sam ciąg rys.
10. Autor prowadzi kapitalne rysy.
11. Greg znowu na prowadzeniu.
12. Jim prowadzi, a chmury napływają...
13. Cerro Torre na horyzoncie.
14. Greg na „odpoczynkowej” półce, chthonący Patagonię (prawdopodobnie to droga powrotna - nie przypuszcza, by wyglądał na tak zrelaksowanego w czasie wspinania).
15. Autor na ostatnim wyciągu.
16. Jim szczytuje.
17. Fitzroy, de la Silla, Desmochada, Poincenot, Inominata, Saint Exupery, de la S i Lago Viedma ze szczytu zachodniego filara Pollone.
18. Filar Cerro Pollone z drogą *Greenpeace*.
19. Widok ze szczytu.
20. Jim w bazie.

REKLAMA

FUNDACJA KUKUCZKI

**WSPIERAJ z nami
SZCZYTNE CELE!**

Więcej na
WWW.FUNDACJAKUKUCZKI.PL

Przekaz **1%**
KRS: 000084062

27 lat temu podczas zejścia z wierzchołka Makalu zginął nasz klubowy kolega Ryszard Kołakowski. Jego ciała nigdy nie odnaleziono, można się jedynie domyślać, że huraganowy wiatr, który zerwał się w czasie zejścia, przyczynił się do tragedii. Rysiek był w tamtych latach jednym z filarów naszego klubu, szefem kursów i kierownikiem wypraw, aktywnym uczestnikiem towarzyskiego życia. W tym numerze, po raz pierwszy od jego śmierci, wspominamy Ryśka i publikujemy jego do bólu szczere i niebawale autentyczne pamiętniki z ostatniej wyprawy. Pamiętniki, o których przez wiele lat krążyły legendy, i o których byliśmy przekonani, że zaginęły. . .

Artur Paszczak

Jerzy Kołakowski

RYSZARD KOŁAKOWSKI „KOŁEK” HARDMEN DO KOŃCA 1954-1988

Mój Tata, Ryszard Kołakowski, „Kolek” urodził się w Warszawie 13 grudnia 1954 roku. Skończył Politechnikę Warszawską, wydział Inżynierii Łądowej. Jego przygoda z górami zaczęła się już w latach licealnych. Wielokrotnie wyjeżdżał z rodzicami w Tatry do znajomych górali na całe wakacyjne miesiące. Już wtedy zrodziła się w nim pasja do zdobywania szczytów, której podporządkował bez reszty swoje życie. Początkowo wspinał się w skałkach, gdzie powoli zdobywał niezbędne doświadczenie. W trakcie studiów w październiku 1973 wstąpił do Akademickiego Klubu Alpinistycznego Politechniki Warszawskiej. To otworzyło mu drogę w Tatry i umożliwiło spełnianie górskich marzeń. W 1978 roku zostaje członkiem Klubu Wysokogórskiego Warszawa, a dwa lata później zdobywa stopień taternika zwyczajnego. Na tym jego ambicje się nie kończą, zaczyna szkolić się na instruktora. Prowadząc kilka kursów w stopniu pomocnika w maju 1987 roku, zdobywa

pełne uprawnienia instruktorskie. To właśnie wspomnienia z tamtych lat przedstawiały mojego Tatę jako barwną, lecz nietuzinkową postać, rzadko idącą na kompromisy i twardo stąpającą po ziemi. Niestety, nie było mu dane prowadzić kursów dalej i wychowywać kolejne pokolenia wspinaczy według swoich żelaznych zasad.

W sierpniu 1988 roku Tata wraz ze swoim wieloletnim partnerem Tomkiem Kopsiem wyruszył na wyprawę pod kierownictwem Anny Czerwińskiej. Celem było zdobycie szczytu w Himalajach – Makalu 8481 m n.p.m. Relacje z tamtej wyprawy są głównie autorstwa Anny Czerwińskiej, między innymi w książce *Gór Fanka. Na szczytach Himalajów*. Z jej treści wynika, że stosunki pomiędzy uczestnikami wyprawy układały się źle, a za to zawsze istotną część odpowiedzialności ponosi jej kierownictwo. A złe relacje między uczestnikami wyprawy źle wpływają na skuteczność jej działania i bezpieczeństwo.



Dlatego też przedstawiony tam przez Annę Czerwińską obraz mojego Taty w zestawieniu z poniższym tekstem, wydaje się być mocno przesadzony i wręcz grubiański. Takich słów jak Anna Czerwińska we wspomnianej książce nie używa się w stosunku do tragicznie zmarłego na wyprawie kolegi, którego było się kierownikiem, nawet jeżeli doszło z nim do poważnego konfliktu. Nadmienię jeszcze, że zwróciłem się do Anny Czerwińskiej o udostępnienie mi nagrania magnetofonowego z zapisem dramatycznych rozmów z moim Tatą, ale prośba moja pozostała bez odpowiedzi.

Prezentujemy Wam relację drugiej strony – pamiętnik Ryska z tamtej wyprawy. Prawie dzień po dniu skrupulatnie przelewał on na papier relacje, myśli i wątpliwości na temat sensu wspinania, które towarzyszyły mu w drodze na szczyt. Nie zapisał on jednak kartki ze słowem SUKCES. Zginął podczas ostatniej próby ataku szczytowego 14 października, prawdopodobnie osiągając wierzchołek, lecz nigdy z niego nie schodząc.

Swojego Taty nie pamiętam prawie wcale, jak zginął miałem zaledwie dwa lata. Dlatego wspomnienia o nim pozostawiam ludziom, którzy go znali i się z nim wspinali. Nie do wszystkich udało mi się dotrzeć i ich poznać. Swoje podziękowania przede wszystkim kieruję do: Tomka Kopysia, Artura Paszczaka, Jerzego Brenejzyna, Piotra Korczaka, Leszka Cichego, Andrzeja Spychały, Ryska Urbanika – i mojej Mamy. Ich relacje pozwoliły mi wyobrazić sobie, jaki był mój Tata, a także zainspirowały do napisania tego artykułu i powrotu do wspinaczki.

POWIEDZIELI O RYSKU:

IWONA KOŁAKOWSKA

Zawsze zastanawiałam się czy Rysiek myśli o nas, kiedy jedzie na wyprawę. Czy ma świadomość konsekwencji, jakie tego rodzaju wyjazdy ze sobą niosą i czy gdzieś w głębi nie jest samolubny w tym swoim alpinistycznym świecie. On jednak to po prostu kochał i nie mógł bez tego żyć, a ja nie mogłam mu tego zabronić. Taka jest cena związku z kimś, kto ma pasję, trzeba się po prostu do tego przyzwyczaić. Ale miało to swoje plusy, zawsze jak wracał to mieliśmy milion tematów do rozmów i nie było czasu na kłótnie. Po prostu cieszyliśmy się wspólnymi chwilami.

ARTUR PASZCZAK

Rysiek był kierownikiem mojego kursu wspinaczkowego, a potem jednym z instruktorów zimowych. Był nietuzinkową postacią – to pewne. Myślę, że w dużej mierze pozował na „twardego człowieka”, taka postawa ułatwiała mu po prostu życie i przebywanie w środowisku. Dla wielu ludzi był po prostu egoistą, ale ci, co znali go lepiej, wiedzieli, że w gruncie rzeczy kryło się w nim dużo więcej. Nigdy do końca go nie rozgryzłem, zawsze stanowił dla mnie dziwną mieszankę przeciwieństw. Twierdził na przykład, że wspinął się wyłącznie dla sławy, a potrafił jednak zachwycić się przyrodą. Do skarbnicy anegdot przeszło jego westchnienie do Ryska Gosa w Bergel-

lu: „Ku... ale tu pięknie! Nie, Gos?”. Zresztą, ilość anegdot, które po sobie pozostawił, jest podziwu godna i wiele z nich wykorzystałem w rozmaitych opowiadaniach, w jakiś sposób utrwalając Jego postać. Lubiliśmy się, a jednak nie chciałem mi pozwolić zrobić stopnia „samodzielnego” czy pojechać w Alpy. Dziś myślę, że po prostu martwił się o mnie i uważał, że było



na to za wcześnie. Z perspektywy czasu rozumiem go dużo lepiej, a lektura pamiętnika pozwoliła mi zobaczyć w nim również te cechy, o które zawsze go podejrzewałem, a którym on niezmiennie konsekwentnie zaprzeczał.

RYSZARD URBANIK

Miałem okazję być z Kołkiem na wyprawie na Satopanth (7075 m n.p.m.) w 1986 roku. To była jedna z jego pierwszych podróży do Indii. Totalnie nie czuł tego kraju i nie nawiązał kontaktu z jego mieszkańcami. W pamięci zapadły mi jego słowa: *Jak ja nienawidzę tych pie...nych dziczków*. Przyzwyczajony był do porządku panującego w NRD, gdzie często był, pracując jako tłumacz. Wkurzał go bajzel panujący w Indiach.

TOMASZ KOPYŚ

Rysiek Kołakowski „Kotek” nie był najlepszym alpinistą lat 80., ale należał do czołówki. Wśród wielu alpinistów (czołówka wtedy była znacznie szersza) wyróżniał się postawą. Fizyczną i psychiczną. Silnie zbudowany i jeszcze silniej wytrenowany (w młodości był zapasnikiem) był przykładem faceta zdecydowanego, jasno i dobitnie wyrażającego swoje opinie. Taką postawą powodowała, że miał sporo wrogów i osób nieprzychylnie nastawionych, ale jednocześnie równie dużo osób ceniło jego twardość i niezawodność. Dla jednych był chamelem, dla innych twardzielem. Dla wszystkich bohaterem wielu anegdot. Miał dar wyszukiwania najlepszej drogi w nieznanym terenie, także w załamaniu pogody. Choć kierował kilka razy wieloosobowymi wyprawami (również himalajskimi), to ściany atakował sportowo – w minimalnym zespole. Jako hima-

laista miał jedną słabą stronę, aklimatyzował się wolniej i słabiej niż wielu innych. Na wysokości 7 tys. metrów potrafił prowadzić bardzo trudne wyciągi, ale już 1500 metrów wyżej (Makalu) szedł bardzo wolno. Oczywiście bez tlenu, gdyż tylko taką wspinaczkę dopuszczał. Mimo późnej pory i naddciągającego huraganowego wiatru, nie chciał zawrócić z drogi

na Makalu. Jego postawa i los spłoty się trochę z Wandą Rutkiewicz, która cztery lata później także nie chciała zawrócić z drogi na szczyt. Wanda chodziła wolno od czasu kontuzji nogi, jakiej doznała przy próbie pierwszego polskiego zimowego wejścia na Elbrus. Porachunki zimowe na Elbrusie wyrównał dopiero Kołek. Meksykanin Carlos Carsolio namawiał bezskutecznie Wandę do powrotu. Cztery lata wcześniej ten sam Carlos życzył Ryśkowi (i mnie) sukcesu na Makalu. W przeciwieństwie do „kierowniczek” wyprawy *Żebyś, k... zdechł* było ostatnim życzeniem przekazanym Kołkowi. Makalu 1988 było drugą, po Gasherbrum 1975, najbardziej skłóconą wyprawą. (Mieszana – dosłownie i w przenośni). W 1975 kierowniczka Wanda Rutkiewicz doprowadziła część składu do jawnego buntu. Na Makalu w 1988 Anka nie radziła sobie w roli kierowniczki. W tym czasie Rysiek miał już na koncie kierowanie himalajskimi wyprawami zakończonymi sukcesami. Niestety nie miał w sobie tolerancji dla słabego kierownictwa. Skrajnie skłócona wyprawa z 1975 roku na Gasherbrum zakończyła się dużym sukcesem, Makalu 1988 tragedią. W następnych miesiącach po Ryśku wysokie góry zabrały bardzo wielu naszych najlepszych. Upadła też komuna.

PIOTR KORCZAK

Nie znałem dobrze Kołka, ale sprawiał on wrażenie twardego i zdecydowanego faceta. W pamięci zapadła mi jedna sytuacja z wyjazdu, gdzie miałem okazję go spotkać. W 1984 uczestniczyłem w obozie unifikacyjnym PZA na Słowacji w Tatrzńskiej Łomnicy. Kołek mieszkał wtedy z Kopsiem w jednym namiocie. Strasznie dawali się nam we znaki dwaj Dederoni (od DDR),

którzy obok co noc we dwóch obracali jedną panienkę (te odgłosy!) i w końcu na swoją zgubę zorganizowali imprezę dla rodaków. Po alkoholu padła tam fraza *Polnische Schweine* i Kotek wtedy wyszedł z namiotu w slipkach i Himalajach na nogach i pie... ną z buta pierwszego z brzegu niemiaszka.

Na przestrzeni lat mój Tata rozwijając swój wspinaczkowy i alpinistyczny talent (wspinając się w Tatrach, Alpach, Kaukazie, Andach i Himalajach) dojrzał do coraz trudniejszych przejęć i coraz to pod względem sportowym bardziej wartościowych. Warto zaznaczyć, że w latach 1983-1985 mój Tata uczestniczył w pierwszych zimowych wyprawach na Kaukaz, mając swój udział w ich wybitnych sukcesach. Poniżej przedstawiamy wykaz wybranych dróg, które zrobił przez prawie 10 lat.

1. Kościelec – wschodnia ściana, z Jurkiem Brennejzenem, zima 1977/78
2. Skrajny Granat – Żleb Drege'a, z Jurkiem Brennejzenem, zima 1977/78
3. Zamarła Turnia – Klasyczna, z Jurkiem Brennejzenem, zima 1977/78
4. Trois Dents du Pelvoux – Kuluar Chaud, Alpy, z Jurkiem Brennejzenem, lato 1978
5. Barre des Ecrins – południowy filar, Alpy, z Jurkiem Brennejzenem, lato 1978
6. Grand Pic de la Meije – południowa ściana, Alpy, z Jurkiem Brennejzenem, lato 1978
7. Wyżnia Mnichowa Przełęczka – Stanisławski, z Jaśkiem Grudniewiczem, zima 1978/79
8. Mont Blanc – Ostroga Brenvy, Alpy, z Wiesiek Grzybowskiem, lato 1979
9. Petit Dru – południowa ściana Allain, Alpy, z Wiesiek Grzybowskiem, lato 1979
10. Les Courtes – południowa ściana *Deska Szwajcarska*, Alpy, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1979
11. Wielki Mięguszowiecki Szczyt – pn ściana *Direttissima*, z Andrzejem Królem, zima 1979/80
12. Kazalnica Mięguszowiecka – Kant Filara, z Wacławem Wacjo Sonelskim, lato 1980
13. Filar Wołowego Grzbietu, z Jurkiem Brennejzenem, zima 1980/81
14. Aiguille Verte – Nant Blanc Flanke, Alpy, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1981
15. Aiguille de Roc – Filar Cordiera, Alpy, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1981
16. Grandes Jorasses – Filar Walkera, Alpy, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1981
17. Kocioł Kazalnicy – *Sprężyna* z Adamem Smólskim, Andrzejem Zakrześ Zakrzewskim, lato 1982
18. Kazalnica Mięguszowiecka – *Warianty Małolata*, z Piotrem Panufnikiem, lato 1982
19. Mięguszowiecki Szczyt Wielki, Filar, z Piotrem Barabasiem, zima 1982/83
20. Pik Komunizma, Pamir, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1983
21. Kazalnica Mięguszowiecka – *Schody do nieba*, z Jackiem Tafelem, lato 1983
22. Kazalnica Mięguszowiecka – *Momatiukówka*, z Arturem Sułowskiem, lato 1983
23. Kazalnica Mięguszowiecka – lewa część *Długosz*, z Tomkiem Kopsyiem, zima 1983/84
24. Pik Szczeruwskiego, Kaukaz – środkiem północnej ściany, drogą Kęśickiego *Avangard*, pierwsze wejście zimowe, z Janem Wolfem i Tomkiem Kopsyiem, zima 1983/84
25. Mięguszowiecki Szczyt Wielki – *Szare Zacięcie* + Filar + kopała szczytowa, z Arturem Sułowskiem, zima 1984/85
26. Elbrus, Kaukaz, pierwsze polskie wejście zimowe, z Tomkiem Kopsyiem, zima 1985
27. Baszkara, Kaukaz – nowa droga środkiem północnej ściany (Centralny Kuluar) - zarazem pierwsze wejście zimowe, z Tomkiem Kopsyiem, zima 1985
28. Rumanowy Szczyt – północno-wschodnia ściana (Korytem + Północny Filar), z Tomkiem Czarskim, zima 1985/86
29. Satopanth 7075 m.n.p.m. – pierwsze przejście południowej ściany, Himalaje, z Tomkiem Kopsyiem, lato 1986
30. Aconcagua 5462 m.n.p.m. – przejście południowej ściany Filarom Jugosłowiańskim, Andy, z Leszkiem Cichym, zima 1987
31. Brigupanth 6772 m.n.p.m. – pierwsze przejście zachodnim filarem, Himalaje, ze Zbyszkiem Krośkiewiczem, lato 1987
32. Galeria Gankowa – północno-zachodnia ściana, droga Łapińskiego-Paszuchy, z Jurkiem Brennejzenem, zima 1987/88
33. Makalu 8481 m.n.p.m., z Tomkiem Kopsyiem, lato 1988

Fotografie:

1. Wyglupy na drzewie.
2. Karawana pod Makalu.

Ryszard Kotakowski

MAKALU '88

19 SIERPNI 1988 HILLE

Jednym słowem zacząłem tak jak westman. Kajecik, długopisik, herbatka i do roboty. Piszemy pamiętniczek z wyprawy na Makalu. Ha! Ha!

Minęły prawie trzy tygodnie – niby ciągle coś się działo, ale wszystko razem? Nie wiem, co o tym sądzić. Jak na razie to styl wielkwyprawowy niezbyt mi odpowiada. Jesteśmy mocno zróżnicowaną grupą. Nawet pomijając podziały męsko-damskie to i w podgrupach różnimy się znacznie. Właściwie to kilka oddzielnych zespołów plus soliści. A wyprawa to jednak mechanizm czyli zespół, każda śrubka na własnym miejscu. Poza tym różne charaktery, temperamenty, style działania. Jak na razie to wypracować wspólną koncepcję. Dobrze i tak, że wreszcie dojechaliliśmy do punktu formowania karawany. Tu wszystko powoli będzie się upraszczać i ukonkretniać, mniej zajęć pobocznych – po prostu trzeba dojść z ładunkami do bazy. Być może stworzy się wspólnota, my i z drugiej strony kulisi, których trzeba gonić, pilnować i mobilizować do współpracy. A w bazie wszystko zacznie się od nowa. A może nie? Zobaczysz.

Pobyt w Delhi był upiorny. Mieszkanie na Tourist Campie bezsensowne. Błoto, syf, wilgoć w barakach zwanych szumnie *de luxe room* i ciągle dojazdy do Pakargan. Ale tutaj właśnie po raz pierwszy pojawiła się konieczność podporządkowania interesu osobistego ogółowi. Chociaż właściwie też nie do końca – czyli wkurwiającego podwójnie. W Delhi, a przynajmniej w Pakarganju czują się o wiele lepiej niż w Warszawie na Bazarze Różyckiego. Tak się porobiło. Mimo wszystko zamiast gnania z towarem i obustronnego przekonywania się o zaletach swoich wyrobów wolałbym mieć wystarczającą ilość pieniędzy. Tylko że to nie w naszych układach. I tak wygląda, że wyprawa będzie do przodu. Męczące jest to ciągle splatanie się różnych przeciwstawnych wątków działania

czyli sprzedaży zakupów, działalności sportowej, współzycia międzyludzkiego i usiłowania, żeby wszystko wyszło na plus. W końcu zainwestowaliśmy w to kupę szmalu, czasu i energii. A w Tatrach zaczyna się najlepszy okres do wspinania – przełom sierpnia i września. Nie powiem, że bym specjalnie był sentymentalny – Tatry góry jak góry – szczególnie latem widziałem bardziej interesujące i ładniejsze, ale coś ciągnie na tabrowisko, do schroniska. I tu następuje konflikt: niestety trzeba wybierać albo egzotyka, Himalaje, ośmiotysięczniki, sława jednym słowem, albo tatrzańskie zerwy, użeranie się z bufetową w schronie, sprawdzanie Kart Tatarnika i cały ten nasz kociołek. O dziwo, i to, i to przyciąga, jest atrakcyjne i wybór wcale nie jest prosty.

Koszmarna podróży z Delhi do Katmandu. Autobus przeciążony ponad wszelką możliwość i przyzwoitość odmawiał posłuszeństwa kilka razy. Załoczone ulice, drogi, ruch jak na grach zręcznościowych. Wszystko razem: riksze, piesi, krowy, małe samochody, wielkie ciężarówki, autobusy. Podziwiać spokój i opanowanie kierowcy. Do tego deszcz i fatalne drogi. Na granicę indyjsko-nepalską przybyliśmy w środku nocy. Nerwowe poszukiwanie hotelu, przepychanka z urzędnikami, wszystko w deszczu i miękkim, wilgotnym syfie. Padło na mnie, że mam pilnować bagażu – czyli nocka w autobusie. Trudno, wykręcony w chińskie zero, odganiając się od komarów, próbowałem urwać choć dwie, trzy godziny snu. I wszystko w absolutnym poczuciu bezsensowności tego działania. Rano w nagrodę kierownictwo przesadziło mnie i dwie uczestniczki do publicznego autobusu i kazało jechać jako forszpica do Katmandu. Dwanaście godzin smrodu, ścisku i walki o miejsce. Dotychczas każdy miał przynajmniej swój plac do życia, teraz z jednej strony łokieć czarnego, a z drugiej kolana i ciągle potracanie tłoczących się w przejściach dzikich. Chyba tylko zmęczeniu zawdzięczam to, że jakoś dotrwałem do koń-

ca. Chociaż gdy zrobiło się ciemno, a kierowca długo nie mógł poradzić sobie z włączeniem świateł, to myślałem, że to już koniec i nigdy nie dotrzemy do Katmandu. Ale na miejscu trochę sobie odbiliśmy, nareszcie można było smacznie zjeść i wypić piwo. W ogóle darzę Nepal jakąś sympatią – może to skutek lektur lub zasłyszanych opowieści, ale czuje się tutaj o wiele lepiej niż w Indiach. Nie noszę Hindusów jako rasy, natomiast Nepalczyków, a Tybetańczyków w szczególności akceptuję. W ogóle jest tu czystiej i porządniej. No i można zjeść coś ludzkiego, a nie te syfy palące i bez smaku.

Znowu nie mogłem zobaczyć Katmandu. Jeden dzień spędziłem na przepakowywaniu bębnow czyli niekończące się przekładanie rzeczy z miejsca na miejsce, a drugi grzebiąc w sklepach w poszukiwaniu sprzętu. Trudno, trzeba to będzie załatwić po wyprawie – znając swój ciąg do domu, wiem, że nie będzie to łatwe.

Teraz jestem kilkaset kilometrów dalej, środek Azji, dżungla, góry, ludzie noszą wszystko na głowach, chodzą boso, a w kącie salki hotelowej gra kolorowy telewizor i piwo z lodówki (i nie tylko) jest na każde zawołanie. Że nie wspomnę o herbacie i smacznym żarciu. Naprawdę jak się czasami zastanowić, to człowieka ogarnia wściekłość i furia, że by wył. Coś jest chyba zupełnie popierdalone.

Formujemy karawanę. To znaczy na razie odpoczywamy. Jechaliśmy ponad 30 godzin w niewygodnej szoferce. Panie jadące autobusem przybyły dosłownie godzinę po nas, a wyjechały 8 godzin później. Reszta teamu używa jeszcze w Katmandu. Podziwiam doktora. Haruje jak wół, leczy, przepakuje te cholerne bębny, jest na każde żądanie, łagodzi spory i jeszcze zabawia nas anegdotami i dowcipami. Czasami mi go żal, a widząc ma już taki charakter. Natomiast leaderki coraz bardziej działają mi na nerwy – to nie jest dobry objaw. Znając siebie, nie chciałbym, żeby przerodziło się to w permanentną agresję. Prosiłem nawet doktora, żeby mnie hamował i kopał w kostkę przy tak zwanych dyskusjach. Może w górach będzie lepiej, ale nie koniecznie. Cóż, znowu znana z książki „wyprawowa atmosfera” – a lekturę Machnika mamy na bieżąco*.

20 SIERPNI

Kolejne macanie bębnow. Noc przespałem niezłe – trochę za miętko. Śniadanko niezłe, a po śniadanku bębny. Rysiek dziękuję mi sekundował. Szczzerze mówiąc, jak słyszę maglowany po



setki razy temat ilości, ciężaru i zawartości ładunków, to chce mi się wyć. Pogoda monsunowa – trochę leje, czasami świeci słońce. Jestem coraz bardziej brudny, ale przy tej pogodzie żadne pranie nie wyschnie. A na kąpiel to na mój gust za zimna woda. Lepiej być brudnym i zdrowym niż czystym i chorym. Z przerażeniem myślę o karawanie. Dwa tygodnie w tym syfie – a ja przecież tak nie lubię wilgoci.

Tragarze jak sępy krążą już od rana wokół hotelu. Co odważniejsi wchodzą do środka, sprawdzają wagę ładunków. Wcale mi ich nie żal – dostają za swoją pracę duże pieniądze, a są niesłowni, skorzy do buntów, wszystko niszczą. Nie przesadzajmy z tą litością.

W napięciu czekamy na obiad. Jedzenie jest tu bardzo smaczne, do tego po piwku, korzystamy póki można. Żeby tylko nie zachorować. Niestety choroba eliminuje z gry. Mam lekki katar i pokaszluje od czasu do czasu – trochę mnie to niepokoi. To jeszcze pozostałości po delhijskiej infekcji. Natomiast Mela rozłożyła się zupełnie. Rysiek podejrzewa jakąś nietypową malarię – jeżeli to prawda, to koniec wyprawy dla niej.

21 SIERPNI, GODZ. 16:30

Pierwszy etap mamy już za sobą. Wreszcie w drodze. Ale początek był syty. Wczoraj wieczorem uporaliliśmy się z bagażem, zrobiliśmy numery, zostało więc tylko kolacja i lulu. Kulisi mieli być o 6:00. Doktor powiedział, że mamy wstać o 5:00. Po co? Zapytałem.

– No wiesz, trzeba się ogolić. . .

– Ja się nie gołę, o piątę proszę mnie nie budzić.

Doktor jak zwykle nie miał nic przeciwko temu.

Noc zaczęła się standardowo – wypite piwo ogłuszyło mnie na początku, potem walczyłem z kołdrą i poduszką i jęczącym materacem. Wreszcie wypieprzyłem poduszkę i jakoś usnąłem... Obudziło mnie ni to buczenie budzika, ni to stłumiony



klakson samochodu. Cholera – myślę – to pewnie doktor nastawił budzik. Trudno, trzeba relaksować dalej. Nagle chałupa zaczęła się trząść. Kurwa mać, co jest, czyżby jakiś oszalały samochód najechał na budę – niemożliwe. Na zewnątrz podniósł się wrzask kobiet, płacz dzieci i krzyki. Chałupa rzuciła na wszystkie strony – trzęsienie ziemi. Wyskoczyliśmy z łóżek i zaczęliśmy błyskawicznie ubierać się i pakować rzeczy. Jesteśmy na grzbiecie, nie powinna nas przysypać żadna lawina – kombinowałem gorączkowo.

– Szybko na zewnątrz – mówił doktor – może przyjąć drugi wstrząs.

Wszystko trwało około minuty, potem okazało się, że dokładnie 40 sekund. Była piąta rano. Wstrząsy ustały, a wrzaski na zewnątrz nasiliły się. Byliśmy spakowani i ubrani, chałupa stała, obruszały się pojedyncze belki stropowe i podpadał tynk – co robić dalej? Nic, śpiemy, jest jeszcze ciemno.

Ciekawi byliśmy, czy kulisi będą chcieli iść dalej, okazało się, że poranne wydarzenia nie zrobiły na nich większego wrażenia, praca jest praca. My mieliśmy więcej do myślenia – największy problem stanowili brakujący członkowie ekspedycji przebywający w bliżej nieokreślonym miejscu pomiędzy Katmandu a Hille. Czekać czy ruszać w drogę? Podobno niżej w Daranbazar i [---] straty spowodowane trzęsieniem były większe. Gdzie ich wciąło? Po krótkiej, acz burzliwej naradzie postanowiliśmy wyruszyć. Po śniadaniu ceremonia rozdania bagażu kulisom. O dziwo, poszła całkiem sprawnie. Natomiast potem z rozbawieniem

przyglądałem się wymarszowi naszych uroczych pań. Wyjście z hotelu, nie przesadzając, trwało około 30 minut. Na zewnątrz oczywiście lało. Owinieży płaszczykiem, z rozłożonym parasolem i ponurą miną zagłębiłem się w mgłę. Dzisiejszy etap to 1500 metrów w dół, około pięciu godzin. Teraz siedzę z Bernim i czekam na resztę. Otoczeni jesteśmy dziećmi i dorosłymi, którzy pilnie śledzą każdy nasz ruch. Berni epatuje ich walkmanem. Naszych nie widać. Umyśliśmy się w błotnistym kanale, jesteśmy przed kluczową decyzją co jeść. Być może poczekamy na resztę – zawsze będzie kogo obwinąć ewentualną sprawką. Jeszcze raz wracam myślą do porannych wydarzeń. Podczas wstrząsów miałem ten sam głupi odruch próby przytrzymania trzęsącej się chałupy, jak pod Eigerem, kiedy usiłowałem zatrzymać obsuwającą się lawinę. I to uczucie zupełnej bezsilności, i strach – tak głupio dać się upierdolić. Potem jednak zdobyłem się

na żart – wychodząc do dziewczyn, zapytałem, która zamawiała budzenie na piątą? Ale nie było im do śmiechu. Znowu uzmysłowiłem sobie, po jak kruchoj ścieżce poruszamy się. I zaraz pytanie – czy warto? W imię czego? Po co? Nie lepsze są wczasy w skrzynkach czy nad morzem? I tak przeżyłem tyle, że mogę spokojnie snuć mroźące krew w żyłach opowieści dla chętnych słuchaczek. „Cienka czerwona linia”. A to przecież dopiero początek.

22 SIERPNIĄ, RANO

Kolejne niespodzianki. Berniemu ukradli wczoraj portfel z permitem i dokumentami. Oczywiście kulisi nie doszli. Spaliśmy sami. Jedzenie okropne, a woda z gliną. Syf. Przed chwilą przenieśli przed naszymi nosami trupa zawiniętego w płótno. Chyba był to orszak pogrzebowy. Ciekawe, że człowiek po śmierci wygląda jak każde inne martwe zwierzę. Chyba przesadziłem z tą refleksją.

Boli mnie kolano i obtarłem nogę. Do tego mam całkiem mokre adidas. Wciąło mi też skarpetkę. Same problemy.

GODZ. 16:30

Etap z głowy. Dostaliśmy nieźle w dupę. Dobrze, że nie padało. Ale temperatura grubo powyżej 30 stopni i wilgotno. Były momenty, że poruszałem się jak w piecu. Błyskawicznie chwyciliśmy czerwony kolorek na ramionach i barkach. A mokre paski znakomicie obcierały poranioną skórę. Szliśmy wzdłuż

Arunu – woda brązowa. Udało nam się w jednym miejscu napotkać czysty strumień. Nareszcie po tygodniu umyłem głowę. Katar nasilił się, wziąłem prochy na gardło, bo czuję, że mam lekkie zapalenie. Do tego ból kolana, no i tydeczki napierdalają równo. A przed nami 12 albo więcej dni. Zachciało się, kurwa, wycieczek egzotycznych.

23 SIERPNIĄ, GODZ. 16:30

I znowu dzień z głowy. Mam, kurwa, tego dosyć. Wczoraj trzy godziny usiłowałem coś zjeść, w końcu się wkurwiłem i zrobiłem sobie sam. Wszyscy poczuli się oczywiście mocno obrażeni. Doktor tyra jak wół – święty człowiek. Na dźwięk naszych uroczych koleżanek dostaje wysypki. Ale to jest dla mnie charakterystyczne. Niestety wpadłem już w swój normalny humor, także lepiej do mnie nie podchodzić. Fakt, że są to kobiety, ale zupełnie inaczej traktuje się „miss Polonia”, a inaczej „koleżanki klubowe”. Nawet jakby człowiek chciał jak najlepiej, to trzeba zamykać oczy, bo się wraca. No cóż, jesteśmy ułomni. Ale istota rzeczy nie leży w estetyce, tylko w skuteczności działania, a ta jest minimalna w porównaniu do ilości przebitej piany. Tak więc ogólnie jest wesoło, a będzie jeszcze weselej, jak dogoni nas reszta ekipy. Oby tylko dogoniła. Tutaj w Tumlingtarze może dojść do poważnych dyskusji, konfliktów i decyzji. Sytuacja rzeczywistości jest mętna i na dobrą sprawę nie wiadomo, co robić. Każde rozwiązanie może okazać się fałszywe i kosztowne do tego. Na razie przeszliśmy do Tumlingtaru i ku naszej radości jest piwo i cold drinki. Wprawdzie niezbyt cold, ale zawsze. No i inne zarcie niż ryż z [---]. Tak trochę z niepokojem patrzę w przyszłość. Sytuacja niejasna, grupa skłócona, Mela chora, a inni podchorowują. Mnie katar doprowadza do wściekłości, a i z gardłem nie najlepiej. Pomijam inne drobne mechaniczne dolegliwości. A przed nami sam miód. To przecież była dopiero uwertura. Jeszcze pijaweczki i wysokość. Ponad pięć tysięcy metrów to nie jest miejsce na leczenie dolegliwości ani sanatorium. A wygląda na to, że dojdziemy i umrzemy – jedni natychmiast, inni silniejsi następnego dnia. A tu trzeba, żeby ktoś wlaź na te głupie M. No, po obiadku, piwku i przy [---] czekam na resztę grupy. Deszczyk napierdala równo. Jest dobrze!

24 SIERPNIĄ

Było tak [---], że nawet nie miałem czego opisać.

25 SIERPNIĄ

Pierwsze pijawki mamy za sobą. Nie wiem, co robić – zanim się zorientowałem, miałem już trzy ranki na stopach, a potem

jeszcze dwie. Wydaje mi się, że trzeba po prostu biec. Tak szybko jak to jest możliwe pokonywać zagrożony teren. Ale to jest małe piwo. Najgorsze, że brak mi już w ogóle suchych rzeczy do noszenia. Buty, skarpetki, majtki, koszulki – wszystkie mokre. Dzisiaj lało cały dzień, mam tylko suchą zmianę na postój, a iść muszę w mokrym. Sięgnąłem do rezerw – to znaczy po chlorof[---], bo wcale nie jest tak ciepło. Nie wiem, jak to przeżyję.

Wracając do wczorajszego dnia. Zaczęło się oczywiście niewinnie. Po śniadaniu poszliśmy dalej, ścieżka sprowadziła nas z powrotem nad Arun i zaczęły się obejścia zalanych miejsc... Z zapałkami i dziką odwagą toiliśmy zarośnięte strome zbocza w górę i w dół, nie pomyślawszy nawet, że niemożliwe jest, aby przeszło tędy osiemdziesięciu tragarzy przed nami. Wściekły marsz trwał trzy godziny. Oczywiście nie zwracaliśmy już uwagi, czy stajemy w suchym miejscu, czy w błocie po kostki, a przejście wpływ rzeki wyzbywało nas wszelkich złudzeń. Krótko za mizerną wioską przyszło mi do głowy zapytać napotkanego tubylca czy dobrze idziemy do Kangbari. Ujrzałem zdziwioną twarz i wymowny gest ręki wskazujący strome zarośnięte zbocza nad nami. Powtórzyłem nazwę wiochy, dodając słówko „hospital” i znowu ręka ku górze. Kurwa mać, zabłądziliśmy – trzeba skrócić w bok. Wściekli ruszyliśmy z powrotem, zagarniając doktora z Krystyną. Szybko drogę zagrodziła nam przebyta już raz rzeka. Tylko teraz było to rwący potok. Doktor odważnie wszedł do wody, gdy było prawie mu po jaja, włos zjeżył mi się na głowie. Dzięki Bogu na nasze przerażone wrzaski zawrócił. Spróbowaliśmy w innym miejscu. Prąd wyrwał nam piach spod nóg. Znowu musieliśmy się cofnąć. Musimy przejść po drzewie – zawyrokował doktor. Trudno. Rzuciłem się w nurt, kurczowo obejmując spróchniałe pień. Woda odpychała mnie od tej wątej pomocy. Spróbowałem z drugiej strony. Woda początkowo dociskała mnie do pnia, potem straciłem grunt pod nogami i poczułem, jak wciska mnie pod pień. Zaciśnąłem ręce na drzewie i zawiąsałem pionowo w kipieli. *W porządku, trzymam cię!* – krzyczał doktor uczepony jedną ręką pnia, a drugą mnie. Kurwa mać! – to dopiero początek karawany, a już strać plecak lub życie lub obie rzeczy na raz. Trzeba walczyć. Centymetr po centymetrze przesuwalem się z powrotem. Żeby tylko ten pierdolony pień nie zламаł się. Uf! Wróciliśmy z dalekiej podróży. Znowu razem nad rwącą wodą. Nic, najwyraźniej czekamy do jutra jak woda opadnie. Ale doktor zajadle atakował dalej. Kiedy wypierałem piach i żwir z butów i skarpetek, ujrzałem jego postać bohatersko

przedzierającą się na drugi brzeg. Znalazł bród. Rzuciliśmy się za nim. Mokrzy, ale cali byliśmy po drugiej stronie.

I cóż, to właściwie koniec przygody. Dalej to monotonne tomatanie pól ryżowych, błotniste ścieżki, dobrzy ludzie, którzy dali nam herbaty, prażonej kukurydzy i zaprowadzili do Kangbari. A tam po nudelsach, omelecie, piwie i jeszcze godzinkę do Momoja Dari, do naszej kierowniczkii, która miała szanse stracić w czwartym dniu karawany 80 procent składu. I to by było na tyle!

Właśnie dogonił mnie Kaczuba z Hiszpanem.

Coś się zacznie dziać!

Panie z dnia na dzień rozkręcają się coraz bardziej. W każdym razie nie są tak wspaniałe, jak myślałem. Brak im zupełnie koncepcji, organizacji i energii działania. Myślałem, że Anka jest lepsza w roli lidera. Na razie typowo babskie działanie. Jolunia jest strasznie mądra, ale w teorii, a o Kryśce nie wspomnę. Parę jobów już jej posłałem i będę konsekwentny w działaniu. Mela na razie jest chora, idzie bez plecaka, a przy najmniej mało mówi i nie wtrąca się bez sensu.

Dzisiaj zresztą jest już dzień pijawkowy, więc wszystko usunęło się w cień.

Oddałem porterowi konflachy i trochę ciuchów – plecak jak namoknie, waży piorunisko – zresztą nie mogą niszczyć sobie kolan. Niestety daleko mi do supermieństwa.

26 SIERPNI

Kolejny etap. Leje od rana. Dzisiaj po raz pierwszy idziemy w komplecie. Dopiero zaczną się pańskie jaja. Trzeba coś zrobić z żarciem. To znaczy rozsądnie gotować. Ale to się załatwi.

Dotarliśmy do pięknego miejsca. Nazywa się Num. Niestety chmury zawalają widok. Ale jest woda bieżąca, dach nad głową i piwo. Może trochę przeschniemy. Teraz kluczowe zagadnienie to mokre skarpetki i majtki. Po drodze wstąpiliśmy z Bernim do chatki czang. Dzielnie wypiliśmy po szklance, zjedliśmy kluski, a potem zażądaliśmy herbaty. Babcia zrobiła ją po tybetańsku. Szerpa czija. To znaczy najpierw herbatę zagotowała w czajniku, jednocześnie do czegoś w rodzaju maselnicy wrzuciła sól i tłyche tłuszczu. Gotując herbatę wlała do tego i zamieszała, potem miksturę do termosu i dopiero po chwili do szklanek. Większość membersów ma po tym szczękę.

Mgły podchodzą wzdłuż stoków. Jest wilgotno i ponuro, ale przy słońcu musi być tu pięknie. Pomieszkać tu z miesiąć! Oczywiście poza monsunami.

Pijawki gryzły umiarkowanie. Dopiero zacznie się jutro.

27 SIERPNI

Pijawek nie było. Etap fizycznie bardzo przyjemny. No, bardzo to może przesada, ale trochę żeśmy się zregenerowali. Zaczęło się wszystko potworną awanturą z panią P. (nomen omen). Nawyżywałem sobie od P i CH i [---]. Potem było tysiąc metrów w dół i sześćset w górę. Ale nie padało, nawet świeciło słońce. Tylko często szliśmy w błocie i wodzie. Udało mi się umyć i wysuszyć ciuchy. Śmierdzą, bo śmierdzą, ale są suche. Pani kierowniczkia miała ze mną tzw. męską rozmowę. Ciekawe, że zupełnie nie możemy się dogadać; niby parę lat różnicy, a zupełnie inne podejście do rzeczywistości. Poszło oczywiście o żarcie. Pani leaderka, przyzwyczajona do ekspedycji, zaczęła sobie centralnego gotowania, bo niby sprzyja wzajemnej integracji. Większość, to znaczy wszyscy oprócz trzech pańienek, byli przeciw i w rezultacie gotujemy w podgrupach. Ale ja oczywiście napysskowałem najwięcej. Za karę mam „dzikiemu”, czyli sedarowi wydawać jedzenie. Chyba się nie pożywi.

Teraz o czymś przyjemniejszym. W Sedoa trafiliśmy na targ. Co za typy, jacy ludzie. Dzieci, kobiety, mężczyźni. Wszyscy odświętnie ubrani – głównie kobiety – kolorowe spódnice, ni to koce, ni to ręczniki na głowach, pasiaste samodziaily i mnóstwo biżuterii. Kolczyki, ozdoby do nosa, naszyjniki, drobne gadzety – ekstra. Większość mężczyzn wyglądała jak żywcem wzięta z filmów *jakuzo*. Zresztą już wczoraj spała z nami taka czwórka, że na sam ich widok można było zdefekować. A jednocześnie wyglądają bardzo malowniczo. Na targu był dziadek w brązowych wełnach – świetny kubrak, czapeczka, z pięknym kukri ze srebrną rączką – bomba. Wszyscy oglądają nas jak małpy – jest to trochę uciążliwe, ale nie pozostajemy im dłużni – szczególnie kobietom. Ogólnie buzie są ładne, o ile ktoś lubi szerokie twarze i skośne oczy, a trafiają się wręcz śliczne. Umyć, ubrać, umalować. . . Niektóre nasze panie wyglądają przy nich wprost karykaturalnie – *Elefantparade*. Na razie nie będę więcej złośliwy.

Tak ogólnie to uczucia mam mieszane. Chętnie powłóczyłbym się tutaj w małej grupie i w dobrą pogodę. Ale taki kolchoz zupełnie mi nie leży. Mam poczucie marmowanego czasu. Kurwa, mija miesiąc i nic – idziemy. A co będzie dalej, w bazie? Jak się nie da nigdzie wyjść, nawet na osiem tysięcy. Przecież może być syf, niebezpieczne, góry są góry. Naprawdę jestem tym zaniepokojony. Dopiero byłoby gadanie w Polsce. Już by koleżanki literatki nie zostawiły na mnie suchej nitki. Nie dość, że cham, kutas, skurwysyn, to jeszcze nigdzie nie wszedł. A przecież mogę zachorować – kolana, zęby, kontuzje, szczeliny – włoś mi się języ na samą myśl.

Kulisi śpiewają, napili się pewnie kangu i świętują. Część z nich wraca z forsą na dół. Żywię do nich umiarkowane uczucia. Podziwiam za wytrzymałość i ciężką pracę, ale widzę jednocześnie, że cechuje ich cwaniactwo, kręctwo, oszukiwanie, niesłowność. Każdego białego trzeba naciągnąć, ile tylko się da, i nie można traktować ich jak współpartnerów – niestety! A sedarowi to ja chyba przyłożę. Razem z Melą zresztą, ona też się odgraża.

Okolice przepiękna. Czasami jest takie oświetlenie, że okoliczne wzgórza są na wyciągnięcie ręki. Pełna gama zieleni i gdzieś tam brązowe chaty. Na przeciwległym zboczu srebrna nitka wodospadu. Ciągi wzgórz dzięki zróżnicowanej roślinności mają bardzo plastyczną fakturę. Przepięknie.

28 SIERPNI

Nic nowego. Łało cały dzień. Pijawki niezbyt dokuczliwe. Bałagan w dalszym ciągu. Na końcu miła niespodzianka – szopa z dachem. Dużo placu do spania. Piękny widok – pod jedną ścianą trzy panienki, pod drugą reszta. Zbyszek Skierski przejął wreszcie karawanę.

A ja wydałem sedarowi żarcie. Może to się ustabilizuje.

29 SIERPNI, GODZ. 11:30

Podobno opuściliśmy ostatnie zadaszone miejsce. Dalej tylko groty i namioty. Chyba trochę za wcześnie wyszliśmy. Tak jakoś wyszło. Jesteśmy teraz gdzieś w dżungli i korzystamy ze słabych promieni słońca. Dotychczas cały czas łało, a błoto było takie, że raz nie wytrzymałem i głośno zakląłem. Trafiliśmy w jakąś dziurę w chmurach. Wokół bure mgły podchodzą po zarośniętych zboczach, a u nas słońce. Suszymy mokre ciuchy i czekamy na kulisów. Parę metrów poniżej ścieżki mieszkają ludzie. Mieszkają to określenie trochę na wyrost: po prostu płotek upleciony z bambusów i przykryty daszkiem. Na glebie trochę gałęzi i słomy. Jeden z tych ludzi, kilkunastoletni chłopiec, uważnie obserwuje moje wszystkie ruchy. Poczęstowałem go popularnymi – pozostałości po pijawkach. Barni robi nam zdjęcia. Małemu papieros bardzo smakował. Oni tutaj palą rodzaj „bidi”, czyli same liście zwinięte w rulon. Doszła do nas kobitka. Kukri ma takie, że jednym ruchem uciąłaby mi głowę, nie mówiąc już o czymś innym. Słońce świeci, my się grzejemy, dupieńka jest – jednym słowem sielanka.

W czasie podejścia myślę o dalszej działalności. Układam jakieś fantastyczne plany ataku. Szczytowego, choć wiem, że to wszystko bez sensu. Czymś trzeba zabić nudę podejścia. To już, kurwa, prawie miesiąc, ciężko mi prawdę mówiąc. Anka powiedziała, że chciała mnie wypróbować, bo właściwie to do wyprawy nie jestem jej potrzebny. Głupia pizda! Bez nas to znaczy mnie i Kopysia nie dostałaby żadnej forsę z klubu – no może po sto czy dwieście tysięcy. Ale to nie jest ważne. Przecież to ja sam chcę się sprawdzić na wysokości. A wcale nie jestem pewien czy takie ekspedycje mnie interesują. Ogromna starta czasu, nakładu sił, idiotyczna taplanina w błocie i deszczu, a efekt niepewny i wątpliwy. W końcu mam dom, rodzinę, czy ja muszę szlajać się w ten sposób i tak długo. Mały zespół, mały bagaż, wielka ściana – sieknać i do domu – umiar, wdzięk, elegancja. Ale jak nigdzie nie wejdę to będzie krewa.

Znowu nasuwają się mgły. Kobitka poszła pod daszek, my jeszcze trochę leżymy. Sprawdzam buty i skarpetki – gnój. Pojawiają się pierwsi kulisi, trzeba dalej.

Ale się, kurwa, zmieniło!

Koniec etapu okazał się błotnistym stokiem nasyconym wodą jak gąbka bez płaskich miejsc, gdzie o dziwo nie było pitnej wody. To znaczy była woda w takich bajorach z zabami i pijawkami. Namioty i żarcie dochodzą stopniowo – leje. Syf do kurwy nędzy.

Kolejna niespodzianka – brak odpowiedniej liczby porterów. Nastąpiła też nieoczekiwana zmiana miejsc.

30 SIERPNI

Dobrze, że rano nie leje, jest nawet trochę słońca. Doktor i Zbyszek są chorzy, zostają. Karawana rozciąga się jak dżdżownica. Pierwszy wysokogórski etap. Szkoda tylko, że nic nie było widać. Pogoda zmienna, dała trochę odetchnąć. Biwak znośny. Czarny rozbił namiot i robi żarcie.



31 SIERPANIA

Dzisiejszy dzień jest bardzo udany. Przynajmniej do godziny 19:00. Początkowo zejście było trochę uciążliwe, ale potem zeszliliśmy nad Barnu i zrobiło się okay. Pojdźcie jak pod Kedar Valley. Namioty rozbili nam czarni. Jesteśmy susi, najedzeni, umyć i wcale nie

zmęczeni. Dolina piękna, nareszcie poczułem się jak w górach. Lubię takie podchodzenie – dwa, trzy dni dziką doliną. Ale to już jest jedenasty dzień!

Okazuje się, że mimo wysokości i oddalenia wszędzie mieszkają ludzie. To niesamowicie jak niewiele potrzeba do życia. Płytki jaskinia, okap, mata z bambusów, garnek do gotowania – to wszystko. I ci ludzie są szczęśliwi i uśmiechnięci. Witają zawsze uśmiechem. Owszem, są brudni, ale wykorzystują każdą okazję do umycia się, a kobiety bardzo dbają o siebie – oczywiście według tutejszych norm. Kolorowe części ubrania, biżuteria – to nie cepelia na pokaz, to rzeczy użytkowe. Wszyscy mają bardzo dobre zęby.

Ciekawe czy możliwe byłoby tutaj zamieszkać – na jakiś czas – zapaść we wiosce. Po prostu żyć w oderwaniu od wszystkiego. Chciałbym być tutaj sam albo w małym zespole. Chyba jestem odludkiem.

Mój osobisty bęben targa kobieta – taka w średnim wieku, w ogóle ich wiek jest bardzo trudno określić. Ta ma około 25 – 30. W karawanie mamy chyba z pięć kobiet, pozostałe są młodsze, nie mają dwudziestki. Uśmiechamy się do siebie, usiłujemy rozmawiać, częstujemy je herbatnikami. Są miłe i ufnie. Co też one sobie o nas myślą?

1 WRZEŚNIA

Wrzesień, miesiąc w drodze. Nasza karawana wygląda jak koszmarny sen. Dzień w dzień to samo. Pobudka, jedzenie,



wyjście z mokrych namiotów, ciągłe pakowanie i rozpakowywanie. Dzisiaj i tak dobrze, że nie padało. A potem krok za krokiem, kamienie, błoto, woda. Wszystko tonie w burej mgle, stukot kijków i przekleństwa od czasu do czasu. Zwirowany niekończący się film. Złapałmy kontakt z lodowcem, wysokość ponad cztery tysiące, głowa pobolewa. Dokarmiam kobitkę noszącą mój bęben. Robi to dzielnie, więc daję jej co mogę, ciastko, cukierki, cytronadę.

Jestem z Barnim w namiocie, rozmawiamy już na dosyć różne tematy o tyle, o ile pozwala mój niemiecki. Dla mnie to świetna okazja do nauki. No i Barni jest jedną z nielicznych osób, z którą mam bliższy kontakt. Kopyś został w tyle. Spotkamy się pewnie dopiero w bazie. Jak to dalej rozegrać? Włączenie Barniego w nasz grafik jest nęcące, ale niesie ze sobą ryzyko – jest jednak młody i trochę delikatny. Trzeba to zresztą obgadać z Tomkiem. On też ma pewnie swoje koncepcje. Zawsze byłem egoistą i pewnie dlatego jestem sam. Ale przyzwyczałem się do tego – poza tym umiem o kogoś zadbać, o ile ten ktoś tego potrzebuje – a darmożjadów i w dodatku burdelarzy nie znoszę. Trudno, taki już jestem. Jeżeli wejdem, wygram – jeżeli nie, wołam o tym nie myśleć. Z drugiej strony, ja naprawdę nic nie muszę! No chyba że umyć się od czasu do czasu i obciąć regularnie paznokcie.

C.D.N.

Fotografie:

1. W mesie pod Makalu.
2. W bazie.
3. W obozie na Makalu.
4. Memoriali Ryśka.

Bogdan Śmigieński „Danek”

MIRABELKI

JACEK JASIŃSKI „PÓŁKMIEĆ” IN MEMORIAM

Do klubu wysokogórskiego zachodziłem rzadko. Już się nie wspinałem, a i sporo znajomych odpuściło tę najważniejszą niegdyś dla nas rzecz na świecie. Składki jednak trzeba było płacić. W korytarzyku spotkałem Bogusia Mazurkiewicza „Kikusia” i jakiegoś chudego, stojącego tyłem faceta. Dopiero pytanie: „Co to, forse się robi? Na klub już nie ma czasu?” mnie oświeciło.

Półkmięć. „Dziwnie wygląda”, pomyślałem. Pół roku później Jacek już nie żył. Rak wątroby. Miał raptem 56 lat. To było dziesięć lat temu. Nasz Krakowski Akademicki Klub Alpinistyczny winny jest Jackowi wspomnienie. Jacek nie był co prawda jego członkiem, ale wiele razy kierował naszymi tatrzańskimi i alpejskimi obozami, bywał w klubie i brał udział w walnych zebraniach. Był wybitnym wspinaczem – wykaz alpejskich przejść Półkmięcia należy do najlepszych wśród polskich, a nawet europejskich alpinistów. Myślę, że jego postać zasługuje na pamięć całego polskiego środowiska wspinaczkowego. Ewa Kuczaj-Jasińska-Roszkowska, dziś już doktor habilitowana taternictwa (gratulujemy!), dała w *Górach* obszernie wspomnienie, ale nie ma tam obrazu Jacka takiego, jakim był na co dzień, w górach i poza nimi. Pozwólcie, że spróbuję go po swojemu opisać.



PUDEŁKA

Najbardziej lubiłem jackowe pudełka. Miał tam niezliczoną ilość opisów i schematów dróg. Schematy były znakomite, bo Jacek miał fenomenalną pamięć do detali (pamiętam, że gdy wybierałem się z Bularzami na *Skłodowskiego* na Szpiglasowym Wierchu, Jacek powiedział: nietrudna, w kluczowym

miejscu chwyt jak kostka szarego mydła; i tak było!). Najwspanialsze schematy powstały w czasach, gdy Półkmięć był nauczycielem w technikum. Kiedyś spytałem go: „Chce ci się kolorować schematy?”. „Eee, ja tego nie robię. Jak tuman nic nie umie albo się źle zachowuje, to dostaje schemat do przerysowania i wykolorowania”. Bajka.

Najważniejsze było pudełko alpejskie. Nikt w całej Europie nie miał takich materiałów. Schematy, tłumaczenia, zdjęcia, podręczny słowniczek, przewodniki. Kto wie, czy do dzisiaj nie jest powielany znakomity opis Filara Walkera z tego archiwum.

„ARBEIT”

Półkmięć miał bardzo nieszablonowe podejście do wielu rzeczy, na przykład do pracy. Sceptycznie przyglądał się robieniu „milionów” na wysokościach. Siedział w baraczkach przy elektrowni Łęg i kontestował nasze wyczyny na kominie. Firma, w której pracował, jakaś ochrona środowiska, była fajna. Mało

wymagano, nic nie żądano, dawano długie urlopy na życzenie. Boskie czasy. Z czasem przekonał się jednak do „arbeitu”. Jacek bardzo imponował mi swoim zdroworozsądkowym podejściem do rzeczywistości. Nie lubił jednak, jak ktoś zamiast coś powiedzieć wprost, kręcił i d...cył po próżnicy. Na jakimś walnym zebraniu KAKA naczelny klubowy złotousty, zmarły niedawno mistrz Konstanty, w charakterystycznych meandrach słowno-muzycznych nawijał sprawy tak skom-

też prezenty od Jugoli: zupy w proszku, przyprawy... Najbardziej smakowała mi zupa o nazwie Jucha Celestina z małymi kosteczkami chleba. No i fanta. Tak naprawdę nie fanta, tylko butelka po fancie, a w środku rakija. Co wieczór zasiadaliśmy do herbatki, a Jacek ją doprawiał, aby to była herbata góralska. Próbował i mówił: „Jeszcze więcej fanty!”. I dziś, po tylu latach, kiedy piję ten mój ulubiony pomarańczowy napój, błyskawicą przechodzą mi przez głowę te słowa: „Jeszcze więcej fanty”.



WOLNE RODNIKI

Jacek był chemikiem po polibudzie, a ja z wielkim trudem i obrzydzeniem ciągnąłem studia na analityce medycznej. Sama chemia i biochemia. Czego się jednak nie robi dla rodziców! Czasami, w rozmowach z nim, zeszło coś na temat chemii: absorbcja, kuwety, spektroskopia. Siedzieliśmy pod wiatą na Włosienicy, a Półkmięć spytał: „Wiesz co to są wolne rodniki?”. Coś tam się plątałem w zeznaniach, a on cały czas kręcił głową, po czym pokazał na bar: „Popatrz, łapińscy od tygodnia smażą frytki na tym samym oleju. To są wolne rodniki, rakotwórcze”. Pomyśleć, że to właśnie Jacka dopadło, choć się tych frytek nie tykał.

WYJAZDY

Trzeba przyznać, że przy organizacji wyjazdów Półkmięć to był leń śmierdzący. On się po prostu do takiej roboty nie nadawał, nie lubił jej. Za to doskonale rozdzielał zadania i ochrzaniał za ich niewykonanie. Po prostu mityczny „Pan kierownik szatni” i co ciekawe nikt nie miał do niego o to pretensji. Nie był też typem gawędziarza, choć jego opowieści z wypraw budziły moją chęć przygody i podróży. Często wspominał Afganistan, tak odległy, że aż abstrakcyjny. Dużą częścią opowieści były historie „biznesowe”. „Sprzedaliśmy wszystko”, wspominał, „prócz stopionej i zestalonej ze złotkiem czekolady. Nawet mój silnik od pralki Frania, który trzymałem w piwnicy na wszelki wypadek, wrzuciłem na Stara przed wyjazdem. W Kabulu Afgan podłączył go do prądu, maszyna ruszyła, a ja stałem się bogatszy o trzy kozuchy”. Świetna była opowieść o centralnym wyjeździe PZA w Alpy: „Jechałem z Jaśkiem Wolfem i warszawiakami z klubu jednym pociągami. Temu w Centralnym Ośrodku Sportu, który wystawiał bilety, coś się pochraniało i dostaliśmy bilety na pierwszą klasę. No wyobraź sobie, walimy przez Szwajcarię pulmanowskim wagonem, z tymi wszystkimi bambetłami w przejściu dla pasażerów. To mało. Warszawiaki przytaczały bęben z jakiejś wyprawy, gdzie były konserwy. W pewnym momencie jakiś Szwajcar wszedł

plikowane, że aż proste. Trwało to i trwało i pewnie do dziś trzeba by było słuchać (nie bez pewnej przyjemności) jego wywodów, gdyby Półkmięć na pół sali nie wypalił: „Od razu widać, że on chyba jeszcze baby nie miał...”.

FANTA

Przez Jacka mam słabość do fanty. Przyjechałem do Chamonix po sławetnym obozie w Dolomitach. Wylądowałem w obozowisku, gdzie wiara zbierała się już do kraju. Jacek zrobił z Mirkiem Dąsałem „Falkiem” Narożny, Walkera, Majorkę. Tadzium Skrzyszowski z jakimś Angolem też Walkera. Jano Kurczab Croza. Tak więc sława i chwala. Chłopak z innych krajów też wracały do domu. Pławili się więc w darach. (W postnych solidarnościowych czasach był taki dobry zwyczaj, że zostawia się jedzenie i inne niepotrzebne rzeczy tym, którzy zostają. Czy teraz też tak jest?). Intrygująca była zielona torba z długimi uszami (mam ją do dzisiaj!) od Anglika, z którym Tadek robił Cassina. Chyba jakiś wojskowy, bo puszki były bez etykiet. Każde sięgnięcie po konserwę wywoływało dreszczyk oczekiwania. Co puszka przyniesie: pasztet, mleko skondensowane, rybkę? Były



3

i jak zobaczył ten cały rejwach i towarzystwo w pierwszej klasie, to wypadło mu cygaro z ręki ze zdumienia. Prawdziwe jaja były jednak w Turynie. Wytargaliśmy bęben na peron i w kilka chwil zrobiło się na peronie pusto, makaroniarze wiali w podskokach. Za moment zleciała się policja i karabinierzy. To było po atakach bombowych Czerwonych Brygad. Czy może być coś lepszego na bombę niż warszawski wyprawowy pojemnik na konserwy?”

GAZ

To był pierwszy rok, kiedy władze Chamonix nie zgodziły się, aby wspinacze pomieszkowali na dzikim kempingu na Biolayu i koło tunelu. Niezawodny Wowkon załatwił jednak leżący na uboczu, pagórkowaty laszek w Le Praz. Miejsce na początku wydawało się być okropne – wiatrołom, latające szerszenie i blisko położona, rwąca z hukiem L'Arve. Jak ktoś za blisko rzeczki postawił namiot, to trzeba było się drzeć jak głupi, żeby było słyhać. Chodziło się tam przez taki małpi, wiszący na linach nad potokiem, mostek. Warunkiem pobytu było wypalenie wiatrołomów. Dwa razy nie trzeba nam było powtarzać. Znakomite to było, jak w dawnych czasach na Szałasiskach, co wieczór ognisko. Aby się dostać do Le Praz przechodziło się koło supermarketu Lachenal i oplotkami kidało dwa kilometry. Kiedyś po drodze wyczałem sklep militarny. Zaglądałem tam, aby pooglądać kurtki wojskowe. Wówczas marzenie każdego Polaka – kurtka z US Army zamiast kupionego od zomowców mora. Odkryłem też, że można kupić

gaz obezwładniający CS. W Polsce niedostępny, prócz wyposażenia sił prewencji, od tfu na psa urok, „człowieka honoru” Kiszczaka. Kupiłem sobie taki rozpylacz, Andrzej Karst dwa, a Półkmić trzy. „Na co ci trzy gazy?”, zagadnąłem, „Zomowców będziesz truć?”. „No nie. Jak chodzę do rodziców na Salwator, to idę przez Błonia, a tam gonią te rozwydrzone psy i atakują ludzi. Teraz to ja z nimi inaczej pogadam”. Zaraz po przyjeździe na tabor postanowiliśmy wypróbować gaz. O, przyleciał szerszeń! Gazem go. Dałem ze spreju ze dwa razy, a gadzina tylko otrzępała skrzydła i odleciała. Zero efektu. Do kitu z takim gazem, ale... w namiotach niżej rozpoczął się żywiołowy ruch. Wiara wychodziła z namiotów, kasłała, tarła rękami oczy i rozglądała się za niewidzialnym wrogiem. Alpy..., tu się oddycha.

MIRABELKI

Siedzieliśmy z Leszkiem Bednarzem „Lechem” w ciągu do Chamonix, a w worach leżał namiot mikrus z japońską podłogą. We Wrocławiu wszedł do przedziału jakiś łebek, który zanim usiadł to już gadał, że jedzie zrobić interes życia na zbieraniu mirabelki. (Słowo honoru, że nie był to prof. dr hab. Stefan N.). Znow byliśmy w miasteczku. Najważniejszym miejscem w Chamonix była apteka. Tak, oczywiście wiem, że również z uwagi na to, że można tam było kupić spirytus po przystępnej cenie. („Słyszeliście”, dał się kiedyś na taborze któryś z warszawiaków, chyba ten od fioletowego języka, „w aptece sprzedają spiroł już tylko w 5 litrowych bańkach!”). Tym niemniej najważniejsze było okno wystawowe z prognozą pogody. W te pędy poleciałem sprawdzić jaka będzie. Stało tam: będzie piękny czas, choć izoterma wysoka.

Nasz mikrus stał w kotłince pod dawnym, usytuowanym na grani, schroniskiem Cosmique. Już rankiem pierwszego dnia było źle – wszystko mokre, bo szron z naszych oddechów spadał na spiwory. Poszliśmy na włoską drogę na Filar 3-Punktów na Mont Blanc du Tacul. Taka sobie dróżka, tylko w jednym miejscu opresyjna, gdy lina nie chciała schodzić. Pamiętam zaśpiewaliśmy wtedy przebój Maanamu *Falowanie i spadanie* i jakoś poszło. Nazajutrz zaoiiliśmy kolejny standard dla aklimatyzacji. Wracając po zrobieniu drogi, przekonaliśmy się, że prognoza pogody rozminęła się radykalnie z rzeczywistością. Błądziliśmy we mgłę i padającym śniegu, szukając namiotu, wpadłem nawet po pas do szczeliny. Niech będzie przeklęty na wieki ten mikrus! W desperacji próbowaliśmy przenocować w budzie Cosmique, ale wszystkie miejsca były

zajęte, bo jak powiedział panoszący się tam wtędy guide: „To świetne schronisko, bo darmowe”. Rano zdołowani wróciliśmy do miasteczka. Łało bez przerwy, jak w Moku. I wtędy pojawiła się myśl – a może by ruszyć na te mirabelki?

Międzynarodowy bilet kolejowy, gumka myszka, polska kalka fioletowa i wyruszyliśmy do Dijon, gdzie akurat przeprowadził się szwagier Lecha. Noclegu użyczył jakiś znajomy Lecha, francuski łożant. Wielkie mieszkanie. Właściciel wychodził wcześniej rano na pocztę, gdzie pracował i wracał z jakąś panienką, gdy już spaliliśmy. Narzekał, że na pocztę słabe zarobki, bo tylko raz do roku może jechać na wspinaczkę w Yosemite! W każdym razie, po tylu latach, wielkie dzięki! Dosłownie dwa kroki dalej była katedra, którą wieczorami podpięrały łalunie. Rozumiem, tak po krakowsku, że na ul. św. Filipa i pl. Biskupim i owszem, ale żeby tak na Wawelu? To byłaby zgroza. I na koniec, pierwsza w życiu wizyta w barze „świętego” McDonalda. Czy dzieci dałyby teraz wiarę, że można mieć 26 lat i jeszcze tam nie być? Czy i Wam, szanowni koledzy, w czasie tej inicjacji jedzenia śmierdzących sznyci z psa i kota razem wziętych, smakowało? Dla mnie to było cudowne, bajeczne żarcie, nie mówiąc o późniejszych, boskich bengalach...

Ale wróćmy do mirabelek. Trafililiśmy do jakiejś zagrody i Lechu (ja – „nieczytaty i niepisaty” – milczę) podjął próbę rozmowy. Mówił kilka słów i pokazywał międzynarodowy znak dojenia kóz wypowiadając magiczne, w znaku zapytania, słowo: „mirabel?”. Francuz i Francuska, zdumieni wykonują podobne



4

do Lecha ruchy, pociągania za cucky, powtarzali: „Mirabel, mirabel???” „MIRABEL, MIRABEL!!!” – głośno poparłem Lecha, bo przecież ten co mówi najgłośniej, ma rację. „Och, ca wa, mirabel”. Nareszcie ówki zrozumiały. Podjechaliśmy kilka kilometrów do sadu i tu mirabelki stały się ciałem. Żadne tam kozie cucky i obieranie śliwek z drzewa, ale trzęsienie drzewem nad rozłożonymi płachtami. Trzęśliśmy tak do wieczora w znoju i zimnie. Nazajutrz odebraliśmy te kilkadziesiąt franków, akurat tyle co na dwa serki camemberki, dwie bagiety, dwa piwa i podróż powrotną do Szamoniowa.

FRENEY

Znów byliśmy razem na taborze w Le Praz, ale już wiedziałem, że z naszych planów nici. Często tak w życiu bywa, że im większe mamy zamierzenia, tym mniej z tego wychodzi. Mocno ścisnąłem dłoń mojego przyjaciela Lecha i patrzyłem ze smutkiem jak wyjeżdża... Nie spałem, ale wstawać mi się nie chciało. Zresztą ten sssyyyk mówił mi wszystko. Przez ściankę namiotu słyszałem, jak Jacek Jasiński otwierał 18. na tym wyjeździe puszkę „karp w sosie pomidorowym”. Za chwilę pewnie sięgnie do paczki po katalog Bon Prix albo inną Burdę, które lubił oglądać przy jedzeniu. Pewnie też Teściu sarkastycznie powie: „Co, Półkmięciu, kolejny kręgosłup zasuwasz?”. Na „szerszeniwisku” leżała na kocyku, opalając się, Aśka Derda „Juhasówka”, do której Jacek smażył cholewki. Ot szamoniowe, taborowe życie. No, ale czas już w okolicy srajkamenia. Zabrałem papier, odwinęty pieczołowicie w toalecie kolejki na



5

Midi i wyszedłem na placyk przed namiotem. „Ty, Danek, co będziesz robił?”, padło pytanie znad puszki z rybką. „No...”, nie dokończyłem, bo Jacek szybko dodał: „Może byśmy poszli na Freneya?”. „No... a co z Aśką?”. „No, razem z Aśką...”. Kurza twarz. Dostałem przyspieszenia, według Szalonego, kupki nerwówki. „Poczekaj chwilę”, rzuciłem. Myłem ręce w koszmarnie zimnej wodzie wypływającej z rury spod wejścia do tunelu elektrowni i myślałem intensywnie. „Nie, nie rób tego, bo te półkmićciowe amory doprowadzą cię do zguby”. Z drugiej strony ten stary zbuk (37 lat!) chyba wie co robi. Wróciłem bardzo powoli i powiedziałem: „Trzaskamy!”.

Staliśmy na peronie kolejki i nikogo prócz nas i Angoli nie było. Tak to jest z ostatnim kursem na Midi. Anglik, a może Szkot, kto to wie, wyjął okulary lodowcowe, napluł do nich i roztarł palcem ślinę. O, dobry znak, tego nam trzeba. A więc: w drogę. Nie wiem do dzisiaj, który schron bardziej lubiłem: ten na Tridencie czy Fourchu. Było w tych miejscach coś biblijnego, boskiego – przed tobą wschodnia ściana Mont Blanc, ściany Filara Narożnego, Freneye, a strach przed nieznanym mówi: „Wróć, oddał ten kielich goryczy”, a z drugiej strony: „Muszę tam pójść i nadstawić karku, aby spełnić swoje sny”. Jednak spać się tam nie dawało – ciąguł przeciąg, ludzie przychodzą, odchodzą, jedzą, otwierają i zamykają drzwi od budy albo od sroca.

Przyszła też pora na nas. Środek nocy, a my schodziliśmy w dół z Col Moore, szukając mostu na szczelinie brzeżnej. Potem jeszcze płaski teren przecięty lawiniskami seraków. Biegiem! Leciałem potykając się o grudy, grzęzłem, przewracałem się, przekraczałem spiętrzone bryły lodu, dyszałem przy tym jak gruźlik. W końcu miałem dość. Niech się dzieje co chce, niech mnie zasypie, zabije, ale dalej gnać nie będę. Powoli zeszliśmy pod osłonę ostrogi Filara Narożnego. Lepiej, bezpieczniej. Eee, z tym horrorem pod wschodnią Mont Blanc to jednak przesada... Stok na Col de Peuterey stromy i też wisiał serak, ale lód był dobry, więc wkosiliśmy solo. W końcu ile się można bać. Tylko w jednym miejscu, przy lodowym korycie, użyliśmy liny. Na przełęcz wyszliśmy o czwartej rano. Na środku spał gość, trzymając nogi w plecaku. A więc to tak wygląda to mityczne miejsce. Byłem zmęczony, niewyspany i ogólnie miałem dość. Krótki odpoczynek i do roboty. Prowadziłem, torując po pas w sypkim śniegu. Po kilkudziesięciu metrach miałem tak dość, że zaproponowałem odwrót. Na szczęście Jacek znał lepiej te klimaty—dylematy. „Gdzie wrócimy? Powoli, nie spieszy się. Dawaj do przodu”. Jeden wyciąg, drugi

i wtedy wzeszło słońce. Zrobiło się cieplej i kryzys minął. Oj, Jasiński, skąd to wiedziałeś?

Znaleźliśmy się już w terenie skalnym, a droga przed nami była prosta jak drut. Jak to kiedyś celnie Władek Vermesy powiedział: „drogi ładne dają przyjemność, a trudne satysfakcję”. Ta przynosiła przyjemność. I tak wieczorkiem pojawiliśmy się pod Świecznikiem. Najpierw obchodzi

się filar z prawej, a później kosi zacięcie. W sumie nie takie trudne, bo kupa haków, pętli. Poda mną pojawił się Francuz, solista, który dzisiaj zrobił już Czerwony Filar Brouillard. Jacek powiedział, żeby go przepuścić, ale facet nie kwapił się, by wyjść na prowadzenie. Wspiął się tak, aby w przypadku jaja przyciąć się mojej liny. Pod kluczowym miejscem wyminął mnie jednak i pognał dalej. Koniec Świecznika to zaiste dziwaczna formacja, jedyna w swoim rodzaju. Dajesz przewieszonym zacięciem w prawo, jakby pod absydę, dochodzisz jak najwyżej, aby wpiąć się w pętlę po lewej i zejść niżej do kolejnych punktów, po czym przeczucić się na płytę. Jak ten Janek Długosz z Angolami to robił bez haków, nie mogę sobie wyobrazić. Gdy zapadał zmierzch, byłem pod płytą. Zostawiłem ławki i zrobiłem szybki pater noster, lądując już w łatwiejszym terenie. Aśka doszła już w ciemnościach, a Jacek budząc w nas przerażenie i podziw odwalił po płycie wielkie wahadło i wszedł po linie. Cóż, szybka trójka.

Byliśmy na samej iglicy, coś jak na Mnichu. Zjechałem na lewo w kular oddzielający Filar Centralny od Filara Ukrytego. Wylądowałem w terenie stromym, kaprawym, ale dającym nadzieję,



że da się coś w tym lodzie wykuć. Pracowaliśmy intensywnie. Czy czujecie ten dyskretny urok nocnych przygotowań, gdzie sprawdza się każdy manewr i przepinkę pięć razy, aby czegoś nie zawalić, aby jakoś przetrwać do rana? Trwało to długo. Nagle dotarł do mnie odgłos grozy. Coś przeleciało bardzo blisko, ocierając się wręcz o mnie. Hospodi pomiluj. Podniosłem głowę, świecę i... wszyscy są. To tylko wór. Aśka coś źle zapięła. Każdemu może się zdarzyć. Tak więc nogi słonia i kurtki puchowe Aśki i Półkmięcia wylądowały 800 metrów niżej, pod Skałami Grubera. Trochę złośliwie pomyślałem: „A dobrze cwaniaczki, że kolderek i piżamek wam zabraknie. Sam mam tylko NRC i płachtę”. Co jeszcze poleciało? Dwie pary raków, a to było już mniej zabawnie. Rano podzielił się Jacek wzięty lewy, ja prawy, Aśka zero. Dwa wyciągi i platforma na dziesięć osób. Cholera, gdybyśmy wcześniej wiedzieli... Sklarowaliśmy sprzęt, ale gdzie tu iść? Mgła, szarówka, wieje, nic nie widać. Jacek wyjął mapę i mały kompasik. Po chwili wywinął szakalem i powiedział: „Tam idziemy!”. Jak tu nie wierzyć. Znał te okolice jak mało kto: dwie drogi na Naroznym, cztery na wschodniej Mont Blanc, górna część grani Peuterey. Szło się okropnie, bo verglas, no i ten straszny brak raków. Trochę się asekurowaliśmy, trochę szliśmy z lotną, w każdym razie koszmarnie wolno. Kilka lat później z Piotrkim Fastnachtem przelecieliśmy ten kawałek grani w 5 godzin, a z Bogusiem Stefką chyba jeszcze szybciej. Tu cały dzień i końca widać nie było. Szarzało, a my ciągnęliśmy z lotną leniwie po lodzie. Nie było stromo, jakieś 50 stopni, więc byle jak się dziabało, byle do przodu. Pierwszy szedł Jacek, w środku Aśka, ja na końcu. Nagle zobaczyłem, jak Półkmić, kopyrdając się, przelatuje koło mnie. „Jakoś głupkowato”, pomyślałem, jeszcze pełny



spokoju, że Aśka go wychwyci. Sekundę, może dwie, ale na pewno nie trzy później Juhasówka też została wyrwana. Ryjąc przyrządami zniknęła mi z pola widzenia. Stałem na jednej nodze, bez stanowiska, nikogo nie asekurowając. Dziabki wbite byle jak. W dół półtora kilometra lodowej ściany na lodowiec Miage. Tędy spadali Piotrowski z Dworakiem. Tu zginęło małżeństwo Pobożniaków. Za moment odgadniemy zagadkę nieśmiertelności. O św. Judo Tadeusza! W sekundę, ale nie dwie, wyciągnąłem dziaby i waliłem nimi w lód zza głowy. Po chwili wyrwało mnie z miejsca i sakramencka siła zaczęła ciągnąć mnie w dół. Zawisnąłem na pętłach taśm, które opłatały mi ręce i na linkach zabezpieczających dziaby. Lina tak ciągnęła, że panicznie, durnowato myślałem, że zerwie ze mnie uprzęż biodrową. Nie rachuję do dziś, jak to długo trwało. Ciągnięcie zelżało, więc może... Nagle, wyrwało mnie ponownie. To Aśka. Tak bardzo się bałem, że nawet nie myślałem, że mogę to przeżyć. Przystało ciągnąć, szarpać, a ja zawisnąłem na przyrządach jak trusia i bałem się nawet głośno oddychać. Powoli,

z szarości nadciągnął Jacek. Nawet nie rozmawialiśmy. Zakręciliśmy tylko śruby i ściągnęliśmy Aśkę. Dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo bliska była czarnego worka.

Na dziś koniec – 50 metrów wyżej położona kupa kamieni, trzeba odparować i nie prowokować więcej losu. Może jutro będzie lepiej. Wleźliśmy do płachty i gotowaliśmy. Musiało jednak paść to pytanie: „Ty, Półkmić, co się stało?”. „To ten twój rak. Ja mam buty dwa numery mniejsze od ciebie. Zrobiłem wyrok w lewo, rak się wykręcił i w dół”. Nigdy więcej do tematu nie wróciliśmy, bo tak to już w tym wspinaniu bywa, że takie przeżycia przy orderach trzeba trzymać. Było już całkiem ciemno,



gdy coś zaczęło chrobać i dało się słyszeć jakieś pojedyncze, według naszej oceny szwabskie, słowa. Trzeba było poprosić o pomoc. Co prawda nie było jeszcze w obrocie publicznym sposobu zwrotienia uwagi na polskie problemy poprzez okrzyki: „Ludzie! Ratujcie mnie! Biją mnie Niemcy!”, a Jacek szwargotał coś po niemiecku. Nordyki były sympatyczne, wracały z Brouillardów, a jeden deklarował, że odepnie raki i pożyczycy Asi. Podziękowaliśmy grzecznie, bo ten patent przed chwilą przerabialiśmy i stało na tym, że z telefonu alarmowego znajdującego się w Vallocie dadzą znać żandarmerii, aby w czasie porannego patrolu podrzuciła nam raki.

Nazajutrz świetna pogoda. Okazało się, że kiblowaliśmy prawie pod samym szczytem Mont Blanc de Courmayeur. Niemcy dotrzyli słowa. Szybko pojawiła się alluetta, zdesantowała ratownika i po chwili mieliśmy raki. Zebraliśmy się dziarsko i już po godzinie zmieściliśmy Vallota. „Wstąpimy?”, spytałem, „Nigdy tam nie byłem i chciałbym zobaczyć jak tam jest w środku”. „Co to, rzygów w budzie nie widziałeś? To schronisko ratunkowe. Idziemy do Goutera”. Tu pofolgowaliśmy sobie i zamówiliśmy obiad za, bagatela, 180 franków. Na dzisiejsze raptem jakaś stówka, ale wówczas... Schodziliśmy i schodziliśmy, a ja dostawałem szajby od plastikowych koflachów. Cisnęły, ocierały, pot dosłownie wylewał się z butków wewnętrznych. Życ się odechciało. Później, na jesieni siedzieliśmy na Zakrówku pod Freneyem i snuliśmy opowieści z mchu i paproci o mijającym roku. Moją opowieść o cierpieniach młodego Polaka w plastikowych butach z rosnącym zmiecierpliwieniem słuchał Tadek Skrzyszowski. Jak skończyłem, powiedział: „Co ty wiesz o cierpieniu, co ty wiesz o koflachach? Jak ja schodziłem z Blanca, to najpierw szedłem

normalnie w butach, później w samych butkach wewnętrznych, w butkach bez skarpetek, próbowałem też w samych skorupach, dalej w korkarach: w skarpetkach, bez skarpetek, na koniec w samych skarpetkach i na bosaka”. A duśił się przy tej opowieści ze śmiechu, że o mało się nie popłakał. Była już noc, gdy dotarliśmy na tabor. Wszyscy spali, tylko Teściu na nas czekał. Uśmiechnął się w ten charakterystyczny dla siebie krzywy sposób, pogratulował drogi i odpałił maszynkę na herbatę. Do mnie wyciągnął flachę z Kronenborgiem. Ja co prawda gustowałem wówczas w piwie alzakim „33” tzw. półzechyku, ale kto by w takiej chwili grymasił. Do dziś pijąc piwo szukam owego wieczornego smaku pierwszego łyka. Takich ludzi, takie gesty pamięta się zawsze.

Tyle lat minęło, że strach pomyśleć. Aśka na pięćdziesiątce Andrzeja Marcisza wyglądała jak laska do wyjęcia, Lechu, niestety, gdzieś daleko w Wiedniu, Teściu pijał ostatnio na Zakrówku wodę mineralną (!), ale w ogóle się nie zmienił, nawet nie posiwiiał. Tylko Jacka nie ma...



Przypisy:

¹ „Góry”, nr 3 (118), marzec 2004

² Wowkon – Tadeusz Wowkonowicz, mieszkał w Le Praz k. Chamonix. Bezinteresowny przyjaciel Polaków. Pomagał w wielu sprawach. Patriota. Nigdy nie przyjął obywatelstwa francuskiego.

³ Później poznałem patent na spanie w tych i innych schronach. Ludzie nie tylko hatają, to da się znieść, ale koszmarnie chrapia. Tu można tylko zabić chrapiących, albo założyć stopery do uszu i używać małego ruskiego budzika wielkości zapalniczki. To działa!

⁴ Szakał (Schakal) – wówczas najlepszy czekanomotek do lodu, dziś pewnie eksponat muzealny.

⁵ Św. Juda Tadeusz – jeden z dwunastu apostołów. Podobno spokrewniony z Jezusem Chrystusem. Męczennik, zabity pałąk lub włócznią. Pochowany w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Patron Armenii i spraw trudnych i beznadziejnych.

⁶ Kto gra bydzą, ten wie o co chodzi. Kto nie gra, ostatnia pora by się nauczyć.

Fotografie:

1 Centrum Chamonix. W drugiej kamieniczce od lewej stynna knajpa „National”. Tam się popijało piwko po powrocie z gór.

2 Pod schroniskiem CAI Monte Bianco. Od lewej Milena Kartińska, Krzysiek Dziubek, Marek Olczyk, Jacek Jasiński.

3. Autor pod schronem Vallota.

4. W zejściu z col. Eccles. Krzysztof Dziubek, w głębi Janusz Księski.

5. Pod fontanną w miasteczku, w głębi stynna apteka, gdzie wywieszano komunikaty meteorologiczne.

6. Bivacco Marco Crippa pod granią Innominaty.

7. Nasz francowaty namiot mikrus.

8. Na lodowcu Freney, po prawej południowa ściana ścian Aiguille Noir du Peutery.

9. Na taborze w Le Praz. Od lewej: Joanna Derda „Juhasówka”, Jacek Jasiński „Półkmić” i Krzysztof Dziubek.

10. Autor na zejściu z Mont Blanc po przejściu filara Freney.



Tomasz Klimczak

TAKTYKA NA OGRA

Ogr (Eiger) jest mitycznym stworem, którym straszy się małe dziewczynki. Jest atawistyczną postacią głęboko zakorzenioną w ludzkiej świadomości. Podpowiada do ucha: nie rób tego, bo pożałujesz, nie idź tam, bo zginiesz. Ogr jest uosobieniem strachu i pojawia się wszędzie tam, gdzie podejmujemy się czegoś, co może nas przerosnąć. Dla jednych będzie to pierwsza trudna droga w Tatrach, dla innych duża alpejska ściana. W obu przypadkach kluczową rolę odegrają nasz umysł i nasze nastawienie. Steve House w swojej książce *Training for the new alpinism* twierdzi, że psychika to 80% sukcesu w górach. W przypadku naszego przejścia północnej ściany Eigeru stwierdzenie to było szczególnie prawdziwe.

Chciałbym w tym artykule podzielić się z Wami kilkoma swoimi obserwacjami i patencikami, które pomogły mi dojść do szczytu i być może pomogą Wam osiągnąć wymarzone górskie cele. Zacznijmy zatem od początku.

MUSISZ CHCIEĆ

To proste i podstawowe. Musisz bardzo mocno chcieć zrobić swoją drogę. Na tyle mocno, żeby zaryzykować dla niej niezadowolenie klienta w pracy, ochrzan od szefa czy też kwaśną minę Twojej drugiej połowy lub dzieci. Droga powinna być Twoim marzeniem i musisz mieć na tyle dużo egoizmu, żeby po to marzenie bezwstydnie sięgnąć. Jeśli zatem chcesz zrobić swoją wyśnioną drogę, czytaj dalej.

SMS – STRATEGIA MAKSYMALIZACJI SZANS

Tak ją sobie roboczo nazywałem. Zasadniczo polega ona na tym, aby robić wszystko, co się da, żeby tylko zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu. Stosuję ją od momentu podjęcia decyzji o wyjeździe, do momentu bezpiecznego zejścia z drogi. W wolnej chwili wielokrotnie zastanawiam się: czy jest jeszcze coś, co mogę zrobić, żeby było mi potem łatwiej? Szybko pojawia się pomysły: zamontuję sznureczki do suwaków, aby sprawniej operować nimi w rękawicach, albo oprawię topo, aby nie zamokło, albo zjem

trochę aminokwasów, aby w nocy lepiej się zregenerować, albo przypnę lonżę do uprząży, żeby na podejściu nie zgubić dziabki itd. Często drobiazgi decydują o rzeczach dużych.

ZAPAS MOCY

Jeśli planujesz przejście drogi klasycznej na Eigerze lub jakiegokolwiek innej ściany alpejskiej, powinieneś prowadzić zimą w Tatrach drogi o przynajmniej jeden stopień trudniejsze. W przypadku klasycznej na Eigerze trzeba prowadzić wyciągi za M7, a w terenie M6 poruszać się szybko i sprawnie, w stylu OS. W Alpach dochodzi wysokość, taszczenie plecaka i zmęczenie długością drogi. Po biwaku nie będziesz tak świeży jak po wygodnej nocy w schronisku i obfitej kolacji. Musisz mieć zapas mocy w garści.





3

DESKTOP STUDY

Czyli po naszymu analiza zza biurka. Zakładam osobny folder na komputerze i wrzucam tam tyle zdjęć, opisów i schematów, ile znajdę w sieci. Rozkminiam dojazd, gdzie będę spał, ile będę jechał, o której najlepiej wyjechać i przyjechać, aby zdążyć wypocząć po podróży. Szczegółowo analizuję linię drogi, możliwości zejść i ewakuacji. Analizuję Google Earth. Czytam relacje i porównuję warunki w różnych latach. Jeśli trzeba, zamawiam przewodniki. Kontaktuję się z ludźmi, którzy tam byli i to robili. Zazwyczaj po tym wszystkim ochota na zrobienie drogi się wzmaga. Jest to nic innego jak uzbrajanie się w informacje. Posiadając taki oręż, czuję się spokojniejszy.

CO Z PARTNEREM?

Nastawienie partnera jest tak samo ważne jak Twoje. Upewnij się, że Twój partner naprawdę chce tego samego co Ty, czyli założyć drogę. Najlepiej jeśli w zespole są dwa konie pociągowe. Nawet jeśli tak nie jest, to nadal się uda jeśli będzie determinacja. W rozmowie z partnerem używaj stwierdzeń: „robimy to”, „musi się nam udać”, „droga jest nasza”. Zobacz jak na nie reaguje. Jeśli zobaczysz cień zwątpienia na jego twarzy, to poważnie zastanów się nad wspólnym wyjazdem.

NIE OSZCZĘDZAJ

O ile rzeczywiście nie masz kasy, odpuść sobie krzonowanie, spanie w aucie i nędzne żarcie. Pamiętaj, że jedziesz zrealizować swoje wielkie marzenie. Długo się do tego przygotowywałeś i Twoje wszystkie drogi prowadziły właśnie do tego

punktu. Te kilka zaoszczędzonych złotych może skutkować brakiem regeneracji, przeziębieniem i spadkiem motywacji. Aklimatyzując się na Eigerze, spaliśmy w ciepłym wyrku, codziennie brałem gorący prysznic na rozluźnienie mięśni, jedliśmy normalne obiady. Inwestowaliśmy w organizm, aby w chwili próby nas nie zawiódł. Lepiej wydać kilka złotych więcej i założyć niż trochę przyoszczędzić (bo przecież dojazd zawsze kosztuje) i się wycofać. Pamiętaj o taktyce SMS. Marzenia są bezcenne.

AKLIMATYZACJA I ROZPOZNANIE

Aklimatyzacja polega na wprowadzeniu organizmu w stan szoku wywołanego spadkiem tlenu, a potem umożliwienie mu dobrej regeneracji. Czyli krótko mówiąc: wychodzić wysoko, spać nisko. Rozpoznanie podejścia i najlepiej też zejścia bardzo uspokaja i często stanowi kartę przetargową, gdy waży się decyzja o wycofaniu. Ponadto pomaga uniknąć jaja. W przypadku Eigeru stosowaliśmy prostą taktykę. Pierwszego dnia po przyjeździe przespaliliśmy się na ok. 2300 m w hotelu na stacji kolejki. Kolejnego dnia wyspani weszliśmy w północną ścianę, dochodząc za Trawers Hinterstoissera na ok. 3200 m. Następnie wycofaliśmy się do okna kolejki i zeszliśmy tunelem do hotelu. Miało to na celu: wstępną aklimatyzację, rozruch, zapoznanie ze strukturą skały i zaznajomienie z dolną częścią ściany. Kolejnego dnia restowaliśmy, robiąc małe spacerki. Następnego dnia weszliśmy drogą zejściową na szczyt, co pozwoliło złapać klimę i zapamiętać zejście. Jak się później okazało, bez tego byłoby ciężko. Po tym znów cały



dzień restowaliśmy. Organizm mógł zaabsorbować większe obciążenie i się dobrze zregenerować. Kiedy następnego dnia weszliśmy w ścianę, czuliśmy się wybornie i piszczeliśmy z radości, tak szybko nam szło.

DZIEŃ PRZED WSPINACZKĄ

Zadbaj o to, aby być wypoczętym. Jedz dużo węglowodanów i białek. Pij sporo płynów. Weź lodowaty prysznic (podobno przyspiesza regenerację). Unikaj alkoholu. Zrób sobie szybki spacer w tętnie ok. 130-140. Często mam problem, aby zasnąć w nocy przed wspinaniem. Dużo myślę i martwię się na zapas. Mimo to nawet leżenie w półśnie regeneruje i nie ma się tym co przejmować. Staram się nie myśleć o wspinaniu, kiedy się kładę. W schronisku zawsze mam pod ręką stopy do uszu.

NIEPOKÓJ

Niepokój pojawia się zawsze wtedy, gdy podejmujesz się czegoś, co może Cię przerosnąć. Czyli innymi słowy wbijasz w drogę, która jest na granicy Twoich możliwości. To uczucie jest zdrowym symptomem. Pomaga się skupić na celu i zmusza do myślenia. Mnie towarzyszy od momentu pakowania wora w Warszawie. Osiąga apogeum, gdy robię przepak w schronie wieczorem dnia poprzedzającego wspinanie. Są dwie kategorie ludzi, którzy niepokoju nie odczuwają. Pierwsza to wariaci – lepiej się z nimi nie wiązać. Druga to tacy, co nie wiedzą, na co się w ogóle piszą – z tymi też się nie wiąż, bo jaja masz murowane.

SPRZĘT

Musi być lekki i oszczędny. Średni kartusz gazu starcza na dwa dni zimą dla dwóch osób. Liofów biorę tyle ile nocy, nie więcej. Wszystko powinno być wyliczone i zważone. Nie ma nic gorszego niż taszczyć zbędne kilogramy. Lepiej schodzić głodnym niż zwozić żarcie. Jeśli planujesz biwak, przećwicz sobie wchodzenie do śpiwora i płachty. Zdziwisz się, jak trudno to wykonać wysoko na małej półeczce.

W ŚCIANIE AGRESJA JEST WSKAZANA

W nomenklaturze anglojęzycznej często przewija się termin *aggressive push*. Dobrze oddaje on istotę ataku ścianaowego. Nie idziemy się wspinąć z myślą: „no zobaczymy jak będzie, coś tam poprobujemy, może się nawet uda”. Idziemy z myślą: „robimy to!”. Uderzenie powinno być stanowcze, agresywne i konsekwentne. Lekki wkurw sportowy i rywalizacja z partnerem też się przydadzą. Podczas każdej większej wspinaczki coś się chrzani. A to ktoś dostanie lodem w twarz, a to pogoda się popsuje, a to ktoś poleci i się poobija. Bez agresywnego podejścia łatwo w takich chwilach odpuścić. Pisząc o agresji, nie mam na myśli wydzierania się i rzucaania przekleństwami. Chodzi o cichy i konsekwentny proces, jaki zachodzi w naszej psychice.

SKUP SIĘ NA TERAŹNIEJSZOŚCI

Często popadam w pułapkę myślenia typu: „zanim znajdę się w bezpiecznym miejscu i sobie odpocznę, to jesz-



cze mam nużące podejście, dwa dni wspinania, biwak w ścianie, trudności techniczne, niebezpieczne zejście po serakach, a potem jeszcze te wielkie szczeliny". Jednym słowem tragedia. Od takiego myślenia od razu czuję się jak męczennik. W rzeczywistości każdy moment wyprawy jest piękny i fascynujący. Wystarczy się na nim skupić w danej chwili i myśleć o następnych dziesięciu krokach zamiast o tym, co nas czeka pojutrze. Wielokrotnie bałem się jakiegoś etapu wspinania, który okazywał się potem banalny i całkiem bezpieczny. Aklimatyzując się na północnej ścianie Eigeru, przeszliśmy dół ściany na lotnej. Jest to jakieś 500 m różnicy wysokości, więc czuć ekspozycję. Są tam takie pionowe prożki może za 4. Jeden z nich sprawił mi pewien kłopot. Było krucho i w tym miejscu polewka nie trzymała. Wiedziałem, że w dniu ataku będziemy tędy szli bez asekuracji. Od tego czasu ciągle myślałem o tym prożku. Wyobrażałem sobie, jak odpadam i lecę fikołkami do podstawy ściany. Ta myśl nie dawała mi spokoju, gdy kładłem się spać. Kiedy wreszcie nadszedł sądny dzień, przebiegliśmy z Kolą ten prożek na żywcą bez najmniejszych kłopotów. Umysł spłatał mi figla.

TEMPO

Niezwykle istotne w dużej ścianie. Miej ze sobą zegarek, kiedy prowadzisz i regularnie kontroluj czas. Prowadzenie wyciągu w lodzie nie powinno Ci zajmować więcej jak 30 minut do momentu „mam-auto”. Poruszaj się jak najwięcej na lotnej. To drastycznie poprawia tempo i robione z głową może być

równie bezpieczne. Idąc na drugiego, nie bawię się w klasykę, tylko prę do góry na wszystkie sposoby. Łapię się tego co wystaje ze ściany. Jeśli jest trudno, to mam już przygotowany sprzęt do podchodzenia po linie. Drugi wspinacz robi czas i jego jedynym zadaniem jest znaleźć się jak najszybciej przy stanowisku.

NIE BÓJ SIĘ NOCY

Moment zapadającej ciemności jest ciężki psychicznie. Ogr w mojej głowie podszeptuje wtedy: „pospiesz się człowieku, nie widzisz, że zapada noc? Jak cię złapie ciemność, to się od razu pogubisz. Będziesz się tak mიაł w ścianie po omacku, wykończony i spragniony. W końcu popełnisz błąd i spadniesz lub zamarzniesz”. Najlepszym na niego sposobem jest... zrobić sobie przerwę i poczekać aż zupełnie się ściemni. Wyciągam wtedy kuchenkę, jem, piję i żartuję z partnerem. Kilka lat temu złapała nas z Kolą gęsta mgła zimą na Zadniej Baszcie. Weszliśmy na szczyt, lecz schodząc zgubiliśmy się i nie mogliśmy znaleźć jednego żlebu, który wprowadzał ze ściany. Teren był ciągle wspinaczkowy i musieliśmy się asekurować. Widoczność na 15 m. Łaziliśmy tak pod szczytem w tą i z powrotem aż zaczęło się ściemniać. Byliśmy już mocno wymarznięci i zmęczeni. Wystraszeni, że po ciemku to już na pewno nie odnajdziemy zejścia, zacząłem wykonywać nerwowe ruchy. W pewnym momencie złapałem się na tym, że z pośpiechu przestałem się asekurować. Postanowiliśmy zrobić sobie przerwę, odpocząć i popić. W międzyczasie zrobiło się zu-

pełnie ciemno. Kiedy zapaliłem czołówkę, aż podskoczyłem z radości. Świecąc wzdłuż stoku uwypukliły się niewielkie grudki śniegu, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. Była to pozostałość po śladach Paszcza, Siwego i Siekiery, które wyprowadzały ze ściany.

BIWAK

Podczas biwaku przyświeca mi tylko jeden cel: regeneracja. Jej podstawą jest nawodnienie, węglowodany, białka, tłuszcze i sen. Piję jak najwięcej letniej wody z isostarem i karbo (nawodnienie + cukry), jem suszone mango (proste węglowodany), pobieram BCAA (białka), wciągam liofa i zagryzam kabanosem (tłuszcze). Przygotowuję też butelki z gorącą wodą na rano i wkładam je do śpiwora jak termoфор. Próbuje

się przespać. W trakcie fazy REM wydzielają się hormony odpowiedzialne za wzrost i regenerację. Nawet godzina snu potrafi zdziałać cuda.

FLOW

Wolność i satysfakcja – to uczucia, których doświadczam, kiedy przechodzę pierwszy wyciąg po biwaku w ścianie i rozgrzewam się. Noc nie jest już taka straszna, mróz nie tak dotkliwy. Udało się przetrwać, a nawet nieco zregenerować. Góry niechętnie zgodziły się na moją obecność, a ja jestem ich częścią. Wspinaczka staje się opanowana i regularna. Jak dobrze wykonywana praca, która sprawia radość i w pełni pochłania. Ogr sobie poszedł.

...i tego Ci życzę.

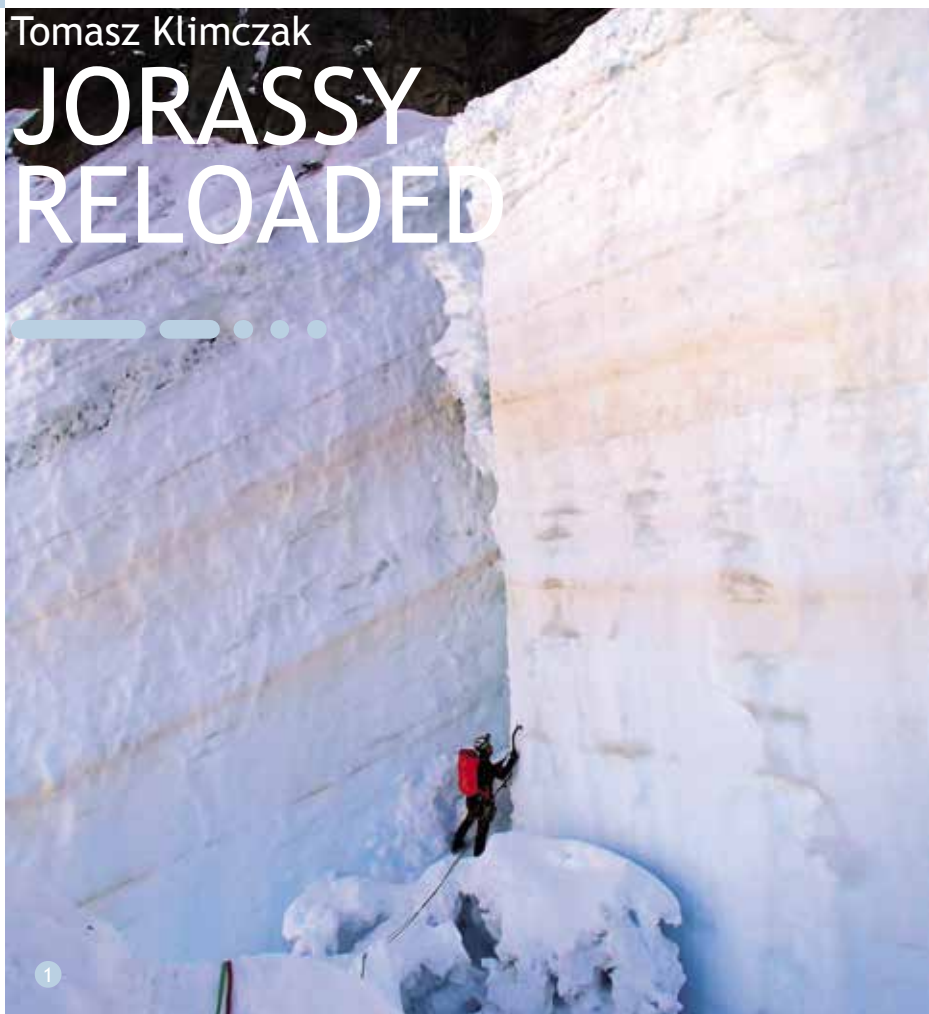


Fotografie:

1. Eiger, droga klasyczna.
2. Luksusowy Biwak Śmierci na Eigerze.
3. Rysy wyjściowe. Fot. Tomasz Klimczak.
4. Północna ściana w pełnej krasie.
5. Trawers Bogów.
6. Biwaki bywają niezapomniane. Fot. Tomasz Klimczak.

Tomasz Klimczak

JORASSY RELOADED



Obserwując zmagania kolegów z fatalną pogodą latem w Chamonix, zacierałem tylko ręce. Było jasne, że po tak mokrym lecie będzie sporo lodu w ścianach czyli superwarun. Tak się też stało. We wrześniu północna ściana Jorassów była świadkiem licznych przejść. Przy dobrej pogodzie przechodziło ją kilka zespołów dziennie. Postanawiamy więc z Maćkiem Bedrejczukiem jechać na drogę *Colton-McIntyre* – klasyk północnej ściany Grandes Jorasses. Przez dwa tygodnie wisimy na telefonie, wpatrując się w prognozy, które zmieniają

się jak w kalejdoskopie. Którejś nocy śni mi się, że pakuję plecak i ciągle czegoś nie mogę znaleźć, przez co nie mogę wyruszyć. To jest jeden z tych wkurzających snów. Budzę się w sobotę mocno zdenerwowany. Natychmiast telefonuję do Maćka.

– Słuchaj, mam w dupie te prognozy i nie mogę dłużej czekać, bo oszaleję. Pakuj bety i jedziemy. O 22.00 zgarniam cię w Katowicach i ciśniemy do Szamo – oznajmiam.

Wieczorem pędzimy już na west. Radosny spręż studzi jednak niespodziewany spadek mocy auta, aż co całkowitego zatrzyma-

nia. Poszła rura od intercoolera i dalszą drogę jedziemy grzecznie 120 km/h. W życiu nie miałem tak ekonomicznego spalania. Dekujemy się w hostelu w Chamonix, po czym ruszamy na szoping. Po drodze ściągamy dwa buchy od Macka, które niespodziewanie doginają mnie do gleby. Po sklepach poruszam się jak zombi. Kolejnego dnia wykonujemy szybką aklimatyzację, przechodząc grań Cosmików i zjeżdżamy na dół kolejką, zanim zaczynają boleć nas głowy. W Chamo obżeramy się jak świnię przed ubojem i idziemy na kolejny szoping. Tymczasem do pokoju dokooptowali nam jakiegoś zarozumiałego Angola. Następnego ranka tradycyjnie serwuję sobie kilkanaście drzemek, uciszając budzik. Po którymś razie Angol podrywa się z wyra i zaczyna ostantacyjnie się pakować. Zarzucając torbę na plecy, wybiega naburmuszony z pokoju pozostawiając na łóżku... okulary. Pan Hilary.

O 8.30 wsiadamy w pierwszą kolejkę na Montenvers razem z oddziałem francuskiego wojska.

– Ej, co to jest: 2000 mężczyzn z rękami uniesionymi do góry? – zagaduję partnera.

– ?

– Francuskie siły zbrojne.

– Pewnie jadą ćwiczyć taktyczne oddalenie się od nieprzyjaciela w terenie lodowcowym.

Z Montenvers sprawnie podchodzimy pod ścianę Jorassów. Podczas podklepki przypomina mi się przejście Filara Croza w towarzystwie Marcina Księżaka i Wernika, również na Jorassach. Odbyło się w połowie grudnia ubiegłego roku, w warunkach pełnej zimy i krótkich dni. Podchodziliśmy wtedy, torując ciężko w miękkim śniegu, nie widząc, co się pod nim kryje. Teraz idziemy po gołym lodzie i kamieniach, ubrani w kalesonki.

Pod ścianą następuje chwila zadumy nad prognozą pogody. Najlepiej byłoby przekimnąć się pod drogą i wbić o świec

w ścianę, przechodząc ją w jeden dzień. Telefon do Paszcza i okazuje się, że następnego dnia po południu nadciąga trzydniowe załamanie pogody. Pomimo zmęczenia podejściem decydujemy się uderzać z marszu w drogę, aby skończyć ją kolejnego dnia przed załamaniem. Jesteśmy sami. Jest około godziny 15.00.

– Zobacz Klimas! Jak w wesołym miasteczku! – beztroško pokrzykuje przede mną Maciek, przeskakując przez oberwany mostek nad wielką szczeliną.

Wyprzedzam go i napotykam miejsce, gdzie trzeba wykonać kilkumetrowy trawers opierając się rękami o jeden brzeg szczeliny, a nogami stępując po półeczce na drugim jej brzegu. Pod mocno pochylonym w przód ciałem zieje wielka czarna dziura. Jesteśmy jeszcze niezwiązani. Pokonawszy szczelinę brzezną zaczynamy się wspinać na lotnej. Maciek przechodzi pierwsze spiętrzenie.

– Zaraz dojdiesz do gównianego miejsca i nie pytaj, co to znaczy – skrzeczy do mnie radyjko.

– Hmm pewnie cienki lód – snują domysły.

Po kilkunastu metrach coś mi zaczyna śmierdzić przed nosem. Podnoszę wzrok i zauważam wielką wstęgę zmarniętego gówna opadającą linią drogi. Zaczynam uprawiać ważki taniec na przednich zębach raków mający na celu ominięcie pechowego ładunku. Lekcje salsy się przydają. Druga sprawa to lina. Przypomina mi się, że czasem biorę ją w zęby, robiąc trudną wpinkę... tfu.

Po kilkuset metrach zaczynam czuć zmęczenie wywołane długim podejściem. Łydki mnie palą. Wieczorem dochodzimy pod Ice Crux i zaczynamy rąbać platformę w lodzie. Jest twardy i trzeba się namachać. W połowie kopania robimy przerwę na picie. Jest ciepło. Zimą już dawno bym zmarzł.

Biwakujemy na siedząco, oparci plecami o ścianę. Przy kolacji zaczynają się pyłówki. Niestety moja płachta nie posiada



kaptura i wyspuje się do niej śnieg. Za plecami robi się bagno. Pociuszający jest jedynie widok Maćka, który biwakuje pierwszy raz w ścianie i po amatorsku przypiął sobie tył płachty do stanowiska. W efekcie utworzyło się coś na kształt lejka za jego plecami, który wyłapywał wszystkie pyłówki i posyłał je w stronę gaci. Na efekty nie trzeba długo czekać.

– Co to k...?! – wykrzykuje po godzinie Maciek, wsadzisz sobie łapę między śpiwór a płachtę i odkrywszy tam zaspę śnieżną.

Po kolacji zjadłem wszystkie becki [tabletki z BCAA], jakie mieliśmy. Siedzimy tak sobie całą noc, obserwując bezkres niebytu pod nogami.

Przypomina mi się grudniowy biwak na Filarze Croza, którego teraz widzę z lewej strony. Warunki wtedy było bardzo wymagające. Z powodu braku lodu wspólnie z Marcinem Księżakiem i Marcinem Wernikiem musieliśmy omijać normalną linię drogi, uprawiając trudny drytooling po litej skale, z wymagającą asekuracją. Temperatury były niskie, ale pogoda trzymała. Gdy zapadał zmierzch, kończyłem eksponowany wyciąg. Podleciał do mnie wtedy śmigłowiec i zawisł 30 m za moimi plecami. Niewiele się zastanawiając, odesłałem go z powrotem. Potem miałem wątpliwości, czy była to słuszna decyzja. Na szczycie byliśmy około godz. 2 rano dwa dni później. Wymagało to wiele woli walki i wytrzymałości. Nie da się ukryć, że istnieje drastyczna przepaść pomiędzy jesienią a zimą, jak również pomiędzy dobrymi a złymi warunkami.

O 4.00 dzwoni budzik i wstajemy. Czuję się całkiem niezłe i na rozgrzewkę przechodzę Ice Crux. Pomimo fizycznego wyciągu nie powróciło mi jednak czucie w dużych palcach stóp. Dalej idziemy na lotnej, aż pod samą kopułę szczytową.



Chcemy wyprostować drogę wariantem *Extreme Dream*. Od dołu dogoniły nas już chmury śniegowe.

- Jeszcze tylko papierosek i idę – oznajmia Maciek.
- Będziesz teraz jarał? Goni nas załamanie pogody. Grzej do góry – oponuję.
- Eee, przestań. Trzy minutki jeszcze nikogo nie zbawiły – odpowiada, odpalając ogień. Dokładnie trzy minuty później wariantem *Extreme Dream* zaczyna się na nas sypać niekończąca się pyłówka. Nie ma mowy o wspinaniu tędy. Maciek stoi osłupiały pod

wielkim prysznicem. Naokoło pada już śnieg.

– Dobra, omijamy to wariantem oryginalnym – proponuję i Maciek rusza w prawo.

Sypie coraz mocniej, a wiemy, że idzie kilkunastokrotne załamanie. Wiejący od południa wiatr zrzuca na nas nieustannie pyłówki. Jest jasne, że ten sam wiatr skutecznie zasypuje ślady zejściowe, a schodzić ze szczytu będziemy w takiej mgłę, jaka nas teraz otaczała. Na dodatek nadal nie czuję dużych palców u stóp.

Przemy jednak do góry i o 14.45 jesteśmy na szczycie. Przez chwilę chmury obniżają się i widzimy słońce, a nawet Pointe Whymper. Mgła jednak szybko nadrabia tę niewagę i schodzić musimy z GPS, aż napotykamy pierwsze ślady poprzedników. Na wysokości seraka Walkera gubimy na chwilę ślad w olbrzymim gruzowisku lodu. Robi się cieplej. Poniżej podstawy chmur zaczyna lać deszcz i do schronu Boccalatte dochodzimy przemoczeni do majtek. Kolejnego dnia pogoda się nie poprawia. Nadal leje. Zejście po śliskich kamieniach wymaga uwagi. Gdy dochodzimy do drogi asfaltowej, musimy wyglądać bardzo mizernie, bo pierwszy mijający nas samochód zatrzymuje się i nas zabiera. Szczęśliwie okazuje się, że miła włoska para jedzie prosto do Chamonix. Tak kończy się nasza przygoda.

Fotografie:

1. Wbitka w drogę. Fot. Tomasz Klimczak.
2. Podejście w kalesonkach. Fot. Tomasz Klimczak.
3. Zejście granią. Fot. Tomasz Klimczak.
4. Whiteout na zejściu. Fot. Tomasz Klimczak.

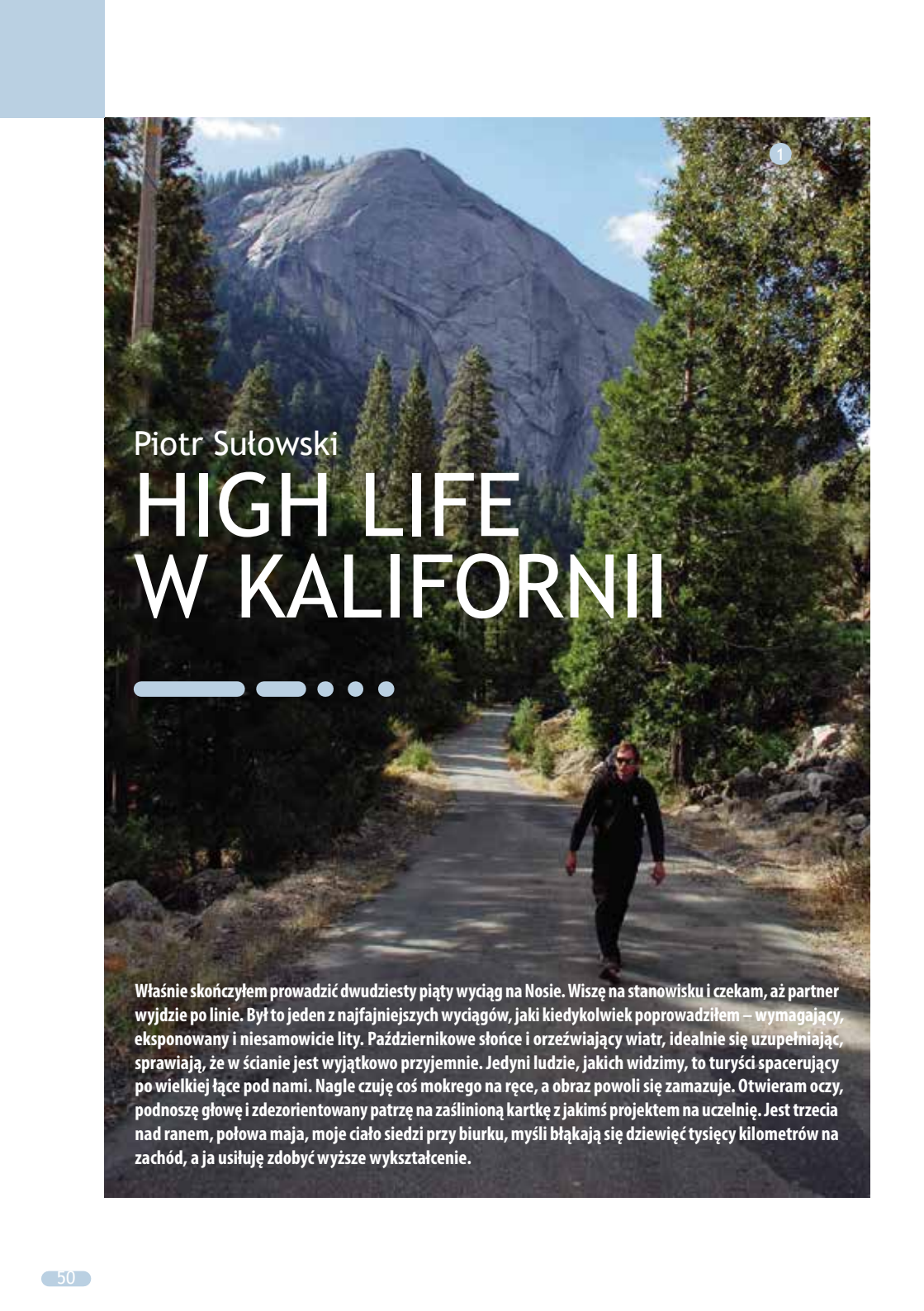
GÓRY

CZYTAJ NA
URZĄDZENIACH
MOBILNYCH



dostępne na:



A man in a dark jacket and pants is walking away from the camera on a dirt path that leads into a dense forest of tall evergreen trees. In the background, a large, rugged mountain peak rises against a clear blue sky with a few wispy clouds. The scene is brightly lit, suggesting a sunny day. The overall mood is peaceful and adventurous.

Piotr Sułowski

HIGH LIFE W KALIFORNII

Właśnie skończyłem prowadzić dwudziesty piąty wyciąg na Nosie. Wiszę na stanowisku i czekam, aż partner wyjdzie po linie. Był to jeden z najfajniejszych wyciągów, jaki kiedykolwiek poprowadziłem – wymagający, eksponowany i niesamowicie lity. Październikowe słońce i orzeźwiający wiatr, idealnie się uzupełniają, sprawiają, że w ścianie jest wyjątkowo przyjemnie. Jedyni ludzie, jakich widzimy, to turyści spacerujący po wielkiej łące pod nami. Nagle czuję coś mokrego na ręce, a obraz powoli się zamazuje. Otwieram oczy, podnoszę głowę i zdezorientowany patrzę na zaślinioną kartkę z jakimś projektem na uczelnię. Jest trzecia nad ranem, połowa maja, moje ciało siedzi przy biurku, myśli błąkają się dziewięć tysięcy kilometrów na zachód, a ja usiłuję zdobyć wyższe wykształcenie.

PECH

Wszystko układało się aż nazbyt dobrze – ustalił się zgrany skład, znalazły się fundusze, tanie bilety mieliśmy już w kieszeni. Tymczasem tydzień przed odlotem znajomy podesłał mi link o kryzysie budżetowym w Stanach. Znudzony, przewijam artykuł i z niedowierzaniem kilkakrotnie czytam rzucający się w oczy nagłówek: „Parki Narodowe w USA zamknięte nawet do miesiąca”. Nurtuje mnie pytanie, czy Los płata nam figla, czy paradoksalnie został naszym sprzymierzeńcem.

CALAVERAS

Zdecydowana większość interesujących nas rejonów wspinaczkowych znajduje się na terenach amerykańskich parków narodowych. Po kilku dniach poszukiwań alternatywnych rozwiązań dostaję namiar na łojanta z Kalifornii, który podsyła mi przewodnik po Calaveras Big Trees. Bliskość Yosemite, duże ściany, darmowy campground i zachęcające zapewnienia naszego amerykańskiego przyjaciela, że to *fucking awesome place!!!!* decydują o tym, że tam właśnie spędzimy pierwsze dni oczekiwania na ponowne otwarcie Doliny.

PODSTĘPNA CYFRA

Po przejściu pierwszej, niezbyt wymagającej drogi na amerykańskiej ziemi, razem z moim partnerem wspinaczkowym – Zygim (miłośnikiem austriackiej psychoanalizy), dochodzimy do wniosku, że spróbujemy czegoś nieco trudniejszego. Wybór pada na *Silk Road*, wycenioną na tajemnicze 5.11. Przez chwilę zastanawiamy się, dlaczego przy tej wycenie nie ma żadnej literki – przecież dotychczas zawsze była – a, b, c lub d!? Szybko domyśliamy się, że 5.11 to po prostu coś pomiędzy 5.10d a 5.11a. Jakie to oczywiste! Pamiętam dobrze, jak jeszcze nierozwspianany, raz po raz spadałem z kluczowej sekwencji na płycie, wycenionej jedynie na owe 5.11, nie szczędząc wulgaryzmów pod adresem swoich umiejętności wspinaczkowych.

HIGH LIFE

Ponad ostatnim wyciągiem *Silk Road* mamy możliwość wyboru jednego z kilku jednowyciągowych wariantów wejścia na turnicę wznoszącą się ponad nami. Ze względu na zachęcającą nazwę oraz kusząco niską wycenę decydujemy się na wariant „High Life”. Wyciąg okazał się 60-metrowym zarośniętym kominem, z którym Zygi zmagają się blisko dwie godziny w totalnych ciemnościach. Tak się złożyło, że startując

w wyciąg przy zapadającym zmierzchu zapomniał zabrać czółówki. Po nocnych zjazdach, późnym wieczorem świętujemy naszą wspinaczkę przy ognisku, racząc się lokalnym trunkiem wyskokowym o nazwie... „High Life”!

GŁOS NATURY

Po kilku intensywnych dniach, z amerykańskim akcentem mówimy „See you, Calaveras!” i kierujemy się ku północy. Dolina wciąż zamknięta, więc decydujemy się odwiedzić kolejne rejony z naszej listy rezerwowej – najpierw skałki nad Eagle Lake, a następnie Lover’s Leap. Tym sposobem znajdujemy się na parkingu przy Tahoe Lake. Lekko zaniepokojony bliskością wielkich kontenerów na śmieci, kładę się do namiotu rozstawionego obok samochodu. Nie minęło wiele ponad 10 minut, kiedy z lasu dobiega mnie donośne TRAAACH. Zawsze przeczorny i czujny Ninja wybiega z sąsiedniego namiotu i wydziera się:

- O ku...! Niedźwiedź! – już wstawałem, a tu kolejne wrzaski
- Dwa! Trzy niedźwiedzie!
- Dwadzieścia niedźwiedzi! – chowam się z powrotem do ściwora przekonany, że to tylko żarty.

Po kilku minutach dwie osoby zajmują się odpędzaniem czterech barabali, a pozostała trójka w popłochu zwija namioty. Od początku wyjazdu, niustannie poddawani nieokreślonym wyrykom Losu, zaistniała sytuację z pełnym przekonaniem i należytą powagą interpretujemy jako znak, by Eagle Lake ominąć szerokim łukiem.

PARADOKS PRĘDKOŚCI

Wreszcie upragniona Dolina! Nie możemy przywyknąć do bliskości i wielkości granitowych ścian. Po kilku dniach decydujemy się spróbować legendarnego Nosa. W ramach odmiany dla nas wszystkich, decydujemy się na powolny i ciężki styl *big wall*. Ostatecznie idziemy w czwórkę, zabieramy dwie świnię, 34 friendy i prowiant na dwa dni. Plan był bardzo prosty – środek drogi wyznacza nam pierwszy, a za razem jedyny biwak; jeden zespół prowadzi pierwszego dnia, drugi zaś drugiego. Zapomnieliśmy tylko o jednym mankamencie El Capa. Po pięciu wyciągach, na tzw. Sickle Ledge, czekamy cztery godziny aż najwolniejszy zespół, jaki w życiu widziałem, poprowadzi szósty wyciąg. Po nieprzyjemnych mijankach, wyprzedzamy gamoni i pomimo zawrotnych prędkości, jakie osiągają Ninja z Johnym na prowadzeniu, noc spędzamy trzy wyciągi poniżej planowanego biwaku. Tym sposobem cały nasz misterny plan legł w gruzach. Trzeciego dnia na śniadanie jemy po garści



suszonych owoców i z litrem wody na osobę, żółwym tempem wspinamy się po ostatnich wyciągach. Po drodze przepuszczamy zespół wspinający się metodą *short-fixing*² i ostatecznie na ostatnim stanowisku meldujemy się późnym wieczorem. Spacerujemy po otulonym ciemnością, rozległym szczycie, by po chwili zarządzić kolejny biwaczek. Można się tłumaczyć, że z pobudek estetycznych – ktoś bowiem nie chciałby zostać obudzony przez pierwsze promienie słońca, delikatnie muskające ogorzałą kalifornijskim słońcem twarz? Kto z nas nie marzył o poranku z widokiem na Half Dome i zmęczeniu po trzydniowej wspinaczce na najwspanialszej ścianie na świecie? – Znowu to jebane słońce! – skutecznie cuci mnie głośny komentarz budzącego się obok Zygiego.

HAKMISTRZ

Dzień przed rozpoczęciem wspinania na Nosie uważnie czytam tabelkę na schemacie zatytułowaną *Climbing Rack*: dwa – trzy zestawy camów – są, małe friendy – są, liny – są, ekspresy, karabinki, bla, bla, bla, mój wzrok zatrzymuje się na „1-2 sets Brass Offsets³”.

- Co to znowu za amerykański wynalazek? – pytam wszechwiedzącego Ninję.
- To chyba jakieś kości – odpowiada, niepewnie drapiąc się po bujnej czuprynie.
- Będą potrzebne?
- Eeee, chyba nie, mamy przecież powiększony zestaw zwykłych. – wyczuwam niepewność w jego głosie, ale przecież to Ninja – zna się na szpeju jak mało kto!

Dwa dni później stoję w połowie *Changing Corners* – bodajże dwudziestego szóstego wyciągu na Nosie. Znajduje się pod dwudziestometrowym zacięciem z ryską szeroką od jednego do trzech milimetrów, czyli mniejszą niż najmniejsza standardowa kość. Na szczęście, przeznorny Ninja dorzucił do zestawu jedną mikro-kosteczkę, więc mogę swobodnie zawisnąć. „Tylko, co teraz?“, pytam siebie samego głupkowato przyglądając się szpejarce. Tak najmniejszy mikrofriend, jak i najmniejsze kości, jakie mamy są zbyt duże! Po jakimś czasie, rozpaczliwie wbijam karabinkiem w rysę najmniejszego, standardowego rocksa. „Cholera, wszedł tylko do połowy“, osobista kontrolka



bezpieczeństwa zaczyna intensywnie pulsować czerwonym światłem. Wstrzymuję oddech, jedną nogą zapieram się o ścianę, żeby w razie odpadnięcia odbić się od niej w powietrze z obawy o przecięcie liny o ostrą krawędź zacięcia i delikatnie staję w ławeczce. Zdziwiony, że jeszcze nie poleciałem, szybko wyciągam mikrokość spod siebie i w błyskawicznym tempie osadzam powyżej. Ławka, fika. Ulga. „Boże, co ja tu robię?!”, teraz jeszcze tylko cztery razy powtarzam manewr i po kilku metrach mogę się przysekurować.

Nie więcej niż dwa dni po przejściu Nosa w Dolinie spadło dziesięć centymetrów białego puchu. Ostatnie dni na Camp 4 to już leniwe wspinanie w pobliskich skałkach, zawody w piciu obrzydliwej King Cobry i łażenie po rozciągniętych taśmach. Z żalem żegnamy się z uśmiechniętymi Kalifornijczykami, ścianami, które zapierają dech w piersiach, i naszym kilkunastu amerykańskim snem.

Wyjazd odbył się dzięki wsparciu finansowemu Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki oraz Polskiego Związku Alpinizmu w ramach projektu Grupa Młodzieżowa Wspinaczki Wysokogórskiej PZA. Dużo pomogła, jak zawsze niezawodna, Rzeszowska Kuźnia Szpeju.



Fotografie:

1. Klimaty *Calaveras*. Fot. M. Dejnarowicz
2. Nos. Fot. P. Sutowski
3. *Serenity Crack* razem z *Sons of Yesterday*. Fot. S. Szlagowski
4. Wejście w zacięcie na *Changing Corner*. Fot. S. Szlagowski
5. Ekipa w komplecie. Fot. M. Dejnarowicz

Przypisy:

¹ Czasem Amerykanie podają wycenę w tzw. starej skali, czyli bez dodatkowych liter przy cyfrach, wtedy 5.11 na ogół odpowiada 5.11b/c, 5.11+ to mniej więcej 5.11d itd.

² Szybka metoda umożliwiająca jednoczesne wspinanie się dwóch osób.

³ Podobno bardzo użyteczne kostki do hakówki w cienkich rysach.

Piotr Kowalczyk

PRZYGODA NA SZARPANYCH



Stoję na lekko pożejniej płycie. Trzymam lewą ręką dość dobrego odciążu. Ostatni przelot znajduje się po lewej stronie, daleko pod nogami. W tym czasie lustruję rysę i zastanawiam się, dlaczego ten cholerny hak nie chce w niej się wbić. Na inną asekurację niż haki nie ma co liczyć. Po dość długim grzebaniu nożem w rysie staje się jasne, że nawet jakbym tak spędził całą wieczność, nie umieściłbym tego skurczybka w szczelinie. Zamieniam noże na fałkę. Jakimś cudem trzyma się i pozwala

mi sięgnąć po młotek. Zamaszystymi ruchami wbijam ją do połowy. Uff! Wpinam ekspres. Przede mną jeszcze kilka czujnych ruchów – potem łatwy teren. Po drodze świadomie zrzucam zaklinowaną płytę, która mogłaby w przyszłości przysporzyć komuś kłopotów. Spada i rozbija się na samym dole. Czuć zapach tłuczonego granitu. To właśnie oddaje charakter wspinaczki w Tatrach. Wspinanie tu bywa czasem pełne nieprzewidywalnych niespodzianek.

Wszystko zaczęło się od chęci założenia jakiejś dużej ściany. Po krótkim rekonesansie rejonów wspinaczkowych padło na Dachstein. Jednak pogoda w Austrii – mówiąc delikatnie – zapowiadała się nie najlepiej. Stańono na Tatrach. Na celowniku: doliny Złomisk i Batyżowiecka. Szarpane Turnie – świetna skała. Ściana objęta słowackim odpowiednikiem akcji „Tatry bez młotka”. Nic nie wróży większych przygód. Zostaje jedynie walka z cyfrą.

U progu Doliny Złomisk od razu w oczy rzuca się południowa ściana Szarpanych. Nazwa szczytu bardzo adekwatna do tego, co przedstawia rzeczywistość. Płyty wyglądają niesamowicie, aż chce się wspiąć. Pogoda nie rozpieszcza. Ze wszystkich stron napływają chmury. O słońcu nie ma co marzyć. W pierwszy dzień padają *Plšková cesta* (VI-) i *Puškáš* (VI+). Piękne drogi, urozmaicone formacje, dobra asekuracja. Następnego dnia to południowo-zachodnia ściana Szarpanych. Wbijamy się w drogę nr 14. Linia dobrze rozrysowana na zdjęciu. W rzeczywistości wygląda na suchą i naprawdę ciekawą. Z połączenia topo ze strony KW oraz Tatry.nfo.sk wyłania się szóstkowa droga. Zabieramy się do roboty. Pierwszy wyciąg: świetną odstrzeloną płytą do filarka, gdzie udaje się wcisnąć jedynie małego tricama. Wymagająca asekuracja sprawia, że moja koncentracja i uwaga wchodzą na ten wyższy poziom. Wszystko to spowalnia wspinanie. Dochodzę do trawersu nad małym okapem. Nad nim dwa stare cienkie haki. Idę. Dwa, trzy ruchy. Przejście nogami i wycof do restowego miejsca. Myślę sobie – mocne! Zaczynam sprawdzać haki. Ciągnę za ekspres. Haki uginają się wyjątkowo łatwo. Krótka wymiana zdań z bratem na temat słabej wytrzymałości haków. Dorzucam frienda i kolejna próba. Tym razem szybko wrzucam nogę wysoko na dobry stopień. Puściło. Wychodzę na półkę i jakoś podejrzanie dyszę. Odpoczywam. Obok leży



wielki blok skalny mojego wzrostu, przez który ewidentnie idzie droga. Zdaje się, że wystarczy go lekko poruszyć i poleci z hukiem w przepaść. Łatwiejszego terenu wokół nie ma, trzeba próbować. Łapię za kant bloku. Nie jestem pewien, czy zaraz razem z nim nie polecę. Przez moment widzę, jak spadam z czymś wielkości malucha. Jednak i tym razem

blok okazuje się stabilny. Przechodzę bezpiecznie dalej. Następnego wyciąg prowadzi przez płytę z aluminiowymi, w połowie poodkręcanymi spitami. Jak opisałbym ten wyciąg? Bardzo czujna płyta przechodząca w pion. Niestety nie puszcza. Pięć, a może sześć prób i nic. Do głowy przychodzi tylko jedna myśl: te cholerne słowackie wyceny. Miało być VI, a tu dałbym co najmniej VII+. W końcu pomoc w postaci ekspresa – A0. Ostatni wyciąg nie należy również do psychicznie łatwych. Wystarczą trzy słowa – mokre VI-kowe zacięcie. Na początek dosyć spory kawałek bez asekuracji, na szczęście z dojściem do superklamy. Wreszcie koniec psychicznego napięcia. Zjazdy i można myśleć o porządnym jedzeniu po

powrocie. W czasie zejścia nie mogę uporać się z myślą, co to u licha była za droga. Skoro kluczowe trudności były na pewno sporo wyższe. Następnego dnia zawitaliśmy pod Galerię Osterwy. W planach tym razem *Hal'kova cesta* (VIII-/VIII) w pełni obita, nie bez przyczyny podobno jedna z najpiękniejszych tatrzańskich dróg. Niestety z wielu przyczyn przed ostatnim wyciągiem zjeżdżamy do podstawy ściany. Kolejne dni to działanie w Dolinie Batyżowieckiej.

A wracając do zagadkowej VI-tki, okazało się, po dokładniejszym przeskanowaniu topo, że droga ta to *Sedem životov* (VIII). Wyceny kolejnych wyciągów to: VII, VIII, VI. Gdy już ustaliliśmy to na pewno, odezwałem się do brata:

- Ty, Mariusz, machnęliśmy VIII-kę.
- No co ty gadasz?

Fotografie:

1. Pierwszy wyciąg *Siedem Životov* - Brat Mariusz na drugiego.
2. Pierwszy wyciąg *Siedem Životov* - trawers pod okapem.

Fot P. Kowalczyk.

Maciej Bedrejczuk

Podsumowanie sezonu zimowego - Tatry 2013/14



Tatrzańska zima przełomu 2013 i 2014 roku powiązana była mocno (jak zazwyczaj) z panującymi warunkami pogodowymi, a te były niezwykle. Niewielka pokrywa śnieżna umożliwiła bardzo szybkie przejścia. Z roku na rok rośnie także poziom sportowy taterników zimowych. Drogi takie jak *Ła-Pa* na Kazalnicy, Filar Ganku czy *Diretissima* na MSW, jeszcze do niedawna znakomite przejścia, powoli stają się zimowymi standardami. Drogami do otrzaskania się z tatrzańską zimą, za które wcześniej uważane były *Korosadowicz* czy szereg dróg na Czołowce MSW. Kilka przejść Filara Kazalnicy (cztery zespoły w opisywanym okresie) dobitnie świadczy o tym, że polskie taternictwo zimowe znowu staje się popularne i wraca do czasów świetności – kiedy to, jak wieść gminna niesie, tuż przed sylwestrem Kazalnica świeciła blaskiem latarek niczym choinka.

Poniższe subiektywne zestawienie najciekawszych przejść dobrane zostało z uwagi na ich wyjątkową szybkość, trudność oraz pokonywanie dróg wybitnych na mało popularnych ścianach. Zestawienie nie jest chronologiczne.

W przypadku szybkich wspinaczek warto wiedzieć, że Filar Mięgoszowieckiego Wielkiego zespół **Adam Pieprzycki, Robert Rokowski** pokonuje 3 stycznia w 5 godzin i 23 minuty. Dla mniej wtajemniczonych należy dodać, że do niedawna droga często pokonywana była w dwa dni, a czas przejścia w okolicy 10 godzin uważany za rewelacyjny. Niewielka ilość śniegu nie tylko w ścianach, lecz także na podejściach sprawiała, że chętniej uderzano i na odleglejsze cele. Szczególnym zainteresowaniem cieszył się Filar Ganku, przebyty przez wiele zespołów, w tym ekspresowo przez **Kubę Hornowskiego, Przemka Cholewę, Macieja Ciesielskiego** w czasie 6 i pół godziny (23 grudnia 2013). Nie zabrakło przejść na rzadko odwiedzanych ścianach – z ciekawszych zespół **Tomasz Klimczak, Maciej Janczar** w dwa i pół dnia przechodzą (2-4 marca) *Diretissimę* wschodniej ściany Rysów. Na *Kazalnicy Pachnącej Miętuśią* powstaje nowy wariant (droga?) *Łowca Jeleni 8-* pokonany w całości zimo-

wo klasycznie przez zespół **Jakub Radziejowski, Marcin Tomaszewski**.

Najwięcej trudnych wspinaczek miało miejsce na Kazalnicy, gdzie kilkakrotnie pokonany został Filar Kazalnicy, w tym po raz pierwszy zimą przez **Małgorzatę Jurewicz** w zespole z **Józefem Soszyńskim** (13-14 stycznia 2014). Szybki czas na tej drodze wykreślił **Maciej Bedrejczuk, Tomasz Klimczak**, pokonując ścianę w 13,5 godziny. Po 22 latach *Supersciek* został pokonany przez zespół **Jacek Jania, Jan Muskat, Sławomir Cydecki** (21 lutego 2014).

Najlepsze przejście opisywanej zimy miało miejsce na Kazalnicy. Zespół **Przemek Cholewa, Jan Kuczera** pokonuje *Wielkie Zacięcie* (14-15 stycznia 2014). Drogę przechodzą prawie w całości klasycznie (poza płytką na *Długoszu* – zimą pokonywaną po nitach A0, latem VIII), non stop w 22,5 godziny. Jeśli dodać do tego, że zarówno jakość asekuracji, jak i ilość linii pozostawiała wiele do życzenia, a trudności aż na ośmiu wyciągach przekraczają zimowy stopień 7+ i sięgają w najtrudniejszych fragmentach do 8/8+, to jest to nie lada wyczyn. Dodać należy, że wszystkie kluczowe wyciągi prowadził Jan Kuczera, który nie raz już pokazywał, że jest świetnym taternikiem zimowym. Na koniec warto jeszcze wspomnieć o nowym wariantcie *Wtorek 11* pokonanym przez instruktorów **Jacka Czecha** oraz wspomnianego wyżej Jana Kuczera podczas szkolenia himalaistów z programu PHZ (Polski Himalaizm Zimowy) na Małym Kieżmarskim. Droga liczy 1000 m długości o trudnościach dochodzących do VI+, pokonana została w 13,5 godziny w całości OS zimowo-klasyczny (11 marca 2014). Dzięki temu, że zima zaczęła się wcześniej i nie była bardzo śnieżna, doborowych przejść można by wymieniać jeszcze bardzo długo. Nie zabrakło w wykazach zimowych wspinaczy dróg długich, odległych, świetnych przejść sportowych, szybkich czasów, nowych dróg, łańcuchówek. Najważniejsze jest jednak to, że zima ta nie została naznaczona przez tragiczne w skutkach wypadki. Czego możemy sobie życzyć zawsze.

Maciej Bedrejczuk

Wywiad z Małgorzatą Jurewicz



Gosia wspina się w zespole z Józefem Soszyńskim. Przeszli razem *Długosza* i Filar na Kazalnicy Miękuszwowieckiej, *Starka-Uchmańskiego* i *Szare Zacięcie* na MSW oraz szereg innych dróg. Znacząco wyróżnia się zarówno doświadczeniem, jak i poziomem sportowym. Jako zespół razem z Józefem wybierają cele ambitne i z każdym sezonem coraz trudniejsze. Poprzedniej zimy jako pierwsza taterniczka w historii przeszła Filar Kazalnicy. Znający ją podkreślają, że nie należy do strachliwych i na równi ze swoim partnerem prowadzi trudne i wymagające psychicznie wyciągi.

MB: Gosia, co jakiś czas przewija się temat kobiecego wspinania zimowego. Na Walnym PZA powstał wniosek, aby stworzyć program dedykowany zespołom kobiecym wspinającym się w górach. Wprawdzie wspinasz się z Józkiem Soszyńskim, ale powiedz czy chciałabyś spróbować wspinaczki w zespole kobiecym?

MJ: Przez pierwsze trzy lata wspinania moim partnerem była koleżanka, później też kilka razy wiązałam się liną z kobietami. Gdyby zdarzyła się okazja, to czemu nie? Kobieta to partner taki sam jak każdy inny. Choć Józek twierdzi, że przy moim despotycznym charakterze żaden inny partner oprócz niego nie wytrzymałby ze mną w ścianie.

Co sądzisz o pomysłach, aby wspierać zespoły czysto kobiece? Czy jest nam we wspinaniu potrzebny feminizm w dzisiejszych czasach?

Pewnie, że wspierać, podobnie jak i inne środowiska, np. juniorów, zawodników czy himalaizm zimowy. Aczkolwiek

feminizm to ideologia, a ja ogólnie nie przepadam za ideologiami. Tworzenie na siłę zespołów kobiecych - dla idei - wydaje mi się sztuczne. Z drugiej strony, zimowe kobiece zgrupowania w Morskim Oku są fajną sprawą i nie trzeba od razu przypinać im łatki feminizmu.

Którą z ostatnich tatrzańskich wspinaczek cenisz sobie najbardziej?

Bezapelacyjnie Filar Kazalnicy zimą. Była to fantastyczna przygoda w zapierającej dech w piersiach lufie, wspinanie do 3 w nocy, końcówka w załamującej się pogodzie.

Skąd pomysł na przejście zimowe Wielkiego Zacięcia na Kieżmarskim? Jak droga?

Mieliśmy niewiele czasu, było dość ciepło, lawiniasto, więc szukaliśmy drogi z niedługim, bezpiecznym podejściem i litej. Ze względu na późny start wzięliśmy ze sobą biwak, ale ostatecznie pozostawiliśmy go pod ścianą.

Wielkie Zacięcie zimą to, najkrócej mówiąc, syty drytool. Dół drogi przeszliśmy wariantem *Warszawskie Zacięcie* i muszę przyznać, że to naprawdę estetyczne, drytoolowe wspinanie - wyceniłabym je na zimowe 7. Górę robiliśmy już w nocy i niestety nie udało się nam jej przejść czysto zimowo-klasycznie. Pierwszy wyciąg 7, 1A0, 1AF, drugi 7, 1A0, trzeci 7+ 1A0 i czwarty 7+. Na ostatnim stanowisku Wielkiego Zacięcia dopadło mnie zatrucie pokarmowe i dlatego odpuściliśmy sobie wejście na szczyt, decydując się po ostatnim trudnym wyciągu na powrót zjazdami. Pod ścianą byliśmy z powrotem o 9 rano, po 22 godzinach akcji non stop.

Jakie jest Twoje tatrzańskie marzenie lub marzenia, jeśli masz ich więcej?

W przyszłym sezonie zimowym na pewno chciałabym powspinać się więcej hakowo i zrobić rzadziej chodzoną

drogę na głównym spiętrzeniu Kazalnicy. Chciałabym też rozliczyć się z Dagiem (pod koniec marca 2014 roku wycofaliśmy się z niego ze względu na zbyt wysokie temperatury). Czyli znowu Kazalnica, choć Memek [dop. red. Przemek Cholewa] radzi wreszcie dorosnąć i zostawić ją w spokoju. Marzy mi się też Filar Walkera, choć to oczywiście nie dotyczy Tatr.

Co lubisz robić, co ze wspinaniem nie ma nic wspólnego?

Organizujemy często spotkania z przyjaciółmi u nas w domu, czasem przygotowujemy sobie pyszne jedzenie np. krem brule, biegamy sporo po lasach otaczających Gdynię, latem Józek uczy mnie pływać na desce windsurfingowej... Choć tak naprawdę nie ma takiej aktywności, która mogłaby mi zastąpić wspinanie.

REKLAMA

**SZKOŁA ALPINIZMU
W PIONIE**

ZAPRASZA NA

**NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

**KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE.
W SKAŁKACH I W TATRACH**

WWW.WPIONIE.PL

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy

0 601 24 29 23
0 501 501666

Artur Paszczak

NOWE OTWARCIE

dwa obozy zimowe



Sport, wyniki, wykazy – te słowa ostatnio często pojawiały się na zebraniach zarządu i w klubowych kuluarach. Ze strony nowej fali klubowiczów poczęły nieśmiało pojawiać się sugestie, że chyba za mało robimy dla sportu, że nasze obozy to w zasadzie kolonie zimowe i że ducha sportowego brakuje. Cóż było robić – trzeba było wyjść naprzeciw i podjąć rękawicę oblepioną lodem. W ten sposób sama wiceprezes Alicja zobowiązała się zorganizować Pierwszy Pilotażowy Obóz Sportowy. Z założeniem, że jak się już „sportowcy” wuszymią na swoim obozie, to będzie można na tym tradycyjnym w spokoju oddawać się rozrywkom towarzyskim.

OBÓZ DLA ZAAWANSOWANYCH W DOLINIE STAROLEŚNEJ

Ostatecznie został zorganizowany czterodniowy wyjazd w terminie 1–4 lutego 2014. Wzięli w nim udział właściciele najlepszych przesłanych wykazów – Alek Barszczewski, Jacek Kierzkowski, Tomek Klimczak i Maciek Janczar, a do towarzystwa mieli doświadczoną „kadrę” klubową w składzie Jacek Fluder, Zbyszek Skierski, Zbyszek Krośkiewicz i Artur Paszczak. Kierowała obozem oczywiście organizatorka – Alicja Paszczak.

Obóz okazał się strzałem w dziesiątkę. Pomimo nie najlepszej pogody powspinano się na południowej ścianie Jaworowego, przechodząc wszystkie tamtejsze kominy, czego pokłosiem jest zawarte w tym numerze TOPO. Najlepszego przejścia obozu dokonali Klimas z Kola, pokonując w środę 5 lutego (zaraz, zaraz – przecież to właściwie już po obozie!) w czasie 10 godzin renomowany Żleb Stanisławskiego na północnej Jaworowego, trudności M7 pokonując oesem.

Swoistym post scriptum obozu było przejście przez małżeństwo Paszczów filara Wielkiej Jaworowej Turni w marcu – przyobiecane sobie właśnie podczas tego wyjazdu, a odłożone w czasie z powodu uszkodzonej kostki.

Obóz dla zaawansowanych sprawdził się więc w swej formule i z pewnością będziemy je w przyszłości organizować. Szykuj-

cie więc wykazy, bo przejścia na Buli (i to nawet jeśli będzie to *W samo południe*) – nie wystarczą!

OBÓZ ZIMOWY W DOLINIE MIĘGUSZOWIECKIEJ 22 LUTEGO – 8 MARCA 2014

Podzielony na dwa nierówne turnusy (nie wiedzieć czemu, wszyscy chcieli na drugi!) obóz w sprawdzonym schronisku przy Popradzkim Jeziorze przebiegał przy zmiennej aurze i zmiennym natężeniu ilości uczestników. Na pierwszym turnusie 30 osób, na drugim – blisko 60! Spowodowało to nieco perturbacji, ale o tym nie ma się co rozpisywać.

Wspinano się jak zwykle, na wszystkich okalających dolinę ścianach. Warunki nie były najlepsze, w ścianach dużo śniegu, pogoda w kartkę. Z najciekawszych dokonań należy wymienić dwa przejścia Środkowego Filara Zadniej Baszty (Marcin Chmieliński i Robert Nejman oryginalnie wejściem od lewej oraz Radek Kołodziński i Paweł Strzelecki od prawej, częściowo Ivanov Napadem) oraz Prawego Filara Zadniej Baszty ogólnie rzecz biorąc w linii kombinacji Zamkovskiego i Mączki (ok. M6: Alicja i Artur Paszczakowie z Adamem Pieprzyckim, oraz Robert Nejman z Krzyskiem Pokorskim), ale przede wszystkim kapitalne pokonanie wschodniej ściany Rysów direttissimą M7, A2+ przez niezawodnych Macka Janczara i Tomka Klimczaka. Była to prawdziwa epopeja w starym stylu – dwa biwaki w ścianie, ogólnie mówiąc nie najlepsza pogoda, jednak robota wykonana gładko i bez żadnych przygód.

Wśród poobozowych konkluzji dominowała ta o potrzebie poprawienia systemu koleżeńskigo doszkalania. Z jednej strony istnieje wyraźna konieczność dołączenia nowych kadr szkoleniowych i lepszego dopasowania grup, z drugiej zaś – lepsze uświadomienie sobie przez szkolonych, że unifikacja koleżeńska nie polega na wynajęciu przewodnika i relacji „płacę – wymagam”, ale jest układem mistrz–uczeń, w którym szkolony musi uznać wyższość wiedzy i doświadczenia swego opiekuna. Postaramy się, aby na następnym obozie wnioski zostały już wprowadzone w życie.

Artur Paszczak

PÓŁNOC-POŁUDNIE JAWOROWY SZCZYT 2417 M

Jaworowy to jeden z najwyższych tatrzańskich szczytów. Któż nie zna i nie marzy o pokonaniu słynnego Jaworowego Muru? Dziś jednak nie będziemy nurzać się wyłącznie w mroźnych otchłaniach północnej strony, lecz odwiedzimy także słoneczną flankę południową, z niewielką, acz bardzo malowniczą i atrakcyjną wspinaczkowo ścianą opadającą do Doliny Staroleśnej. Okazuje się bowiem, że Jaworowy oferuje nie tylko znoj i grozę, lecz posiada także drugą, dużo przyjaźniejszą twarz.

LOGISTYKA

Naturalną bazą dla działania w Staroleśnej jest oczywiście Zbójnicka Chata. Komfort – dość ograniczony. Zimna woda, pryzce w zbiorówkach, ale za to wysokogórska atmosfera. Jedzenie całkiem dobre. Są jednak dwa minusy – po pierwsze, drogo, powyżej 20 euro za noc, a po drugie, wyjątkowo gburowaty chatar. Jeden z tych, którzy uważają, że za łaskawe przyzwolenie na nocleg należą im się pokorne podziękowania. W dyskusje o zniżkach lepiej się nie wdawać...



1. Komin Motyki V; 2. Żebro IV; 3. Droga Kvasniczki z wyjściem filarem Kellego V;
4. Komin Krupitzera V; 4a. Wariant startowy Puškaša. Na biało zaznaczona droga zejściowa.

Pomijając te niedogodności, schron płożony jest bardzo atrakcyjnie, w niewielkiej odległości od ścian. Rekompenduje to z nadatkiem mozolne dotarcie z worem (jeśli wór duży, to 2–3 h, za to latem wdarliśmy się kiedyś z Siwym w 45 minut). Pod południową ścianę Jaworowego 20–30 min spokojnego marszu, pod ścianę północną – ok. 2–3 h w zależności od śniegu.

CZTERY KOMINY – KLEJNOTY ZIMY POŁUDNIOWA ŚCIANA

Ściana południowa jest niewielka – maksymalna deniwelacja to 300 m, aczkolwiek sama część wspinaczkowa nie przekracza 200 m – reszta to śnieżna wycieczka na szczyt. Jest za to dość szeroka i przecinają ją w kilku miejscach ciekawe wspinaczkowo kominy i depresje. To one stanowią właśnie atrakcyjne cele zimowe.

W dobrych warunkach, a południowa ściana jak wiadomo dostaje nawet zimą sporo słońca, tworzą się w tych kominach świetne warunki lodowe, a odcinki skalne są suche i umożliwiają fajną wspinaczkę. Szczególnie lód potrafi się wytworzyć w sporych ilościach, zamieniając kominy w unikatowe w skali Tatr wspinaczki – co stwierdzam bez cienia przesady. Nie mamy bowiem w Tatrach za wiele okazji do wspinania się jednocześnie w lodzie i skale, i to do tego w promieniach słońca. Dodatkowo dodajmy, że skała na Jaworowym jest dość dobrej jakości, miejscami jest nawet wysmienita, co nadaje wspomnianym drogom najzupełniej wyjątkowy charakter. Jak wszyscy bowiem dobrze wiemy, w większości lodospadom towarzyszy skała krucha i parchata, a na Jaworowym możemy zażyć wspinaczki w najbardziej komfortowych zimowych warunkach dostarczających ogromnej przyjemności. Satysfakcji również, bo niektóre z dróg wcale nie należą do przesadnie łatwych. Dla mnie były te drogi odkryciem wyjazdu i jestem pewien, że nie będziecie nimi rozczarowani. O jedno proszę – nie idźcie tam w złą pogodę – po prostu szkoda marnować te perełki na klasyczną tatrzańską dupowę.

PODEJŚCIE

Ok. 30 min ścieżkami po łagodnych polach prosto pod ścianę.

ZEJŚCIE

Najpopularniejszym zejściem z Jaworowego jest żleb spadający na wschód, na Jaworową Przełęcz (czy raczej nieco poniżej).

Spada on z ramienia Jaworowego, jakieś 150 m poniżej głównego wierzchołka. Schodzimy ramieniem, łatwym terenem do wcięcia żlebu i stąd w lewo, tymże żlebem na wschód, prosto w dół (niekiedy lepiej po lewej stronie). Nie sprawia on w zejściu większych kłopotów, natomiast niedogodnością jest konieczność obchodzenia dość daleko wypuszczającego się na południe Ramienia. Ok. 1–1,5 h do schronu.

My wypatentowaliśmy inny, szybszy sposób. Z przedwierzchołka (zwanego Pośrednim Jaworowym) lub z pola śnieżnego poniżej, prosto w dół w kierunku południowym, do wielkiej depresji (schodząc Ramieniem z głównego wierzchołka, od przełączki ze żlebem zejściowym skręcamy w prawo do depresji i nią w dół). Depresją po niezbyt stromych śniegach (liczne możliwości asekuracji lotnej – zdecydowanie polecane) do przewężenia w miejscu, gdzie depresja staje się bardziej żlebem i trochę się wystramia. W lewo, potem w dół do niewielkiego prożku. W dobrych warunkach możliwe zejście, ale zazwyczaj jeden zjazd – trzeba założyć własne stanowisko (uwaga – bardzo krucha skała!). Dalej już bez trudności do schronu. Ze szczytu ok. 1 h.

DROGI

Komin Motyki, 3–4 h, zimowe V, 3–4 h

Z. Brüll, S. Motyka, Š. Zamkovský, 30 września 1934

1. zimowe przejście: M. Jaškovský, J. Velička, 18 kwietnia 1956

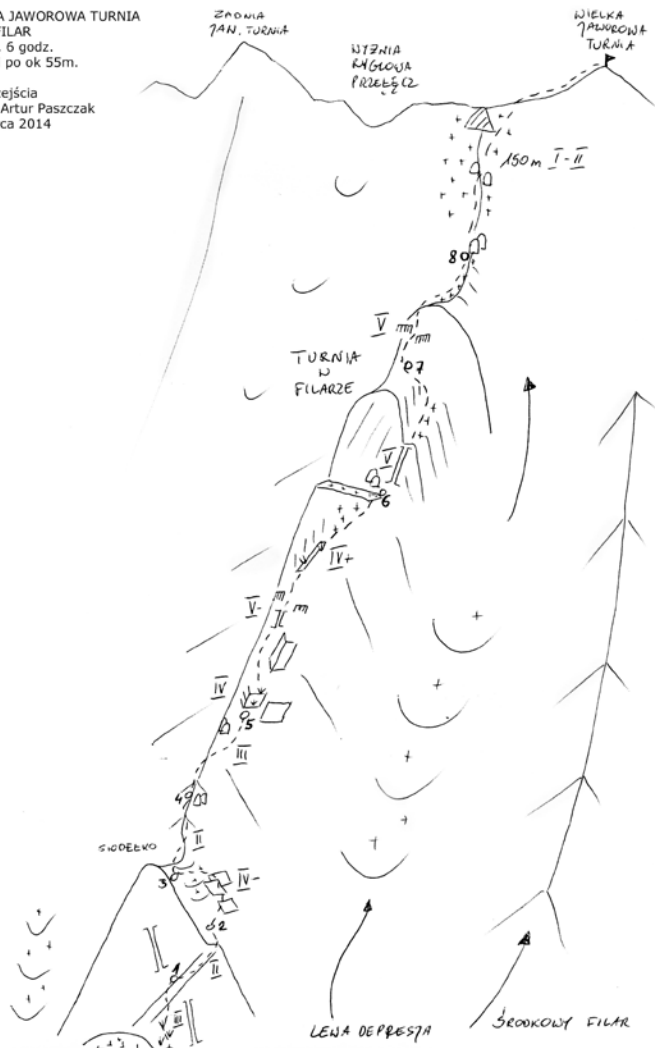
Przepiękna, zróżnicowana droga. W charakterze przypomina ją klasyczną drogę na Jastrzębią Turnię. Lodospady, załupy, odcinki pięknej skały, a do tego fantastyczne okoliczności przyrody – wszystko w jednym. Słowem – unikat. Pierwszy wyciąg biegnie całkiem niekiedy wymagającym lodospadem, gdzieś gdzie przetykany skałą – to już zależy od warunków. Trudności do V. Trzeci to piękna płytowa załupa, dość łatwa, ale przyjemna (III–IV). Czwarty to zajmująca i bardzo estetyczna wspinaczka w otwartej skalnej ścianie (V). Piąty i ostatni to już łatwe pomykanie grańkami i prożkami (II). Moim zdaniem jedna z najpiękniejszych dróg zimowych, jakie robiłem. Uwaga – po 3. wyciągu należy skręcić w lewo, nie iść prosto w górę kominami żlebem, bo wówczas po połowie wyciągu droga się skończy na rozległych polach śnieżnych.

ŻEBREM WZDŁUŻ ŻLEBU ZEJŚCIOWEGO, 3 H

Droga w zależności od wariantu pomiędzy III a IV+. Miejscami ciekawe wspinanie w pięknym otoczeniu, dobre do zapoznania się z terenem.

WIELKA JAWOROWA TURNIA
LEWY FILAR
ok. M5, 6 godz.
wyciągi po ok 55m.

wg. przejścia
Alicja i Artur Paszczak
14 marca 2014



Droga Kwasniczki z wyjściem filarem Kellego, V, 3–4 h

V. Fronc, J. Kvasnička, J. Puobiš, F. Ždiarsky, 9 sierpnia 1950

1. przejście zimowe: J. Kaprál, M. Bobovčák, 23 stycznia 1981

Piękna, wymagająca droga, aczkolwiek trudności bardzo zależne od warunków. Drogę spopularyzował, zdaje się, Vlado Tatarka, robiąc jej 2. przejście w wysmienitych warunkach lodowych. Stąd zapewne stosowana czasem nazwa *Lody Tatarki*. Za wyjątkiem

dużego załodzenia, droga wymaga obycia w klasycznym mikście przy słabej asekuracji – linia biegnie bowiem depresją wymywaną przez wodę. Spory ciąg trudności, ale nieprzekraczających V/V+. Skały pokryte lodową polewką, fragmentami lepszy lodzik umożliwiający pokonanie trudniejszych miejsc, czujne skradanie się po płytach, tu i ówdzie knife, jedyńka – słowem to, co zimą lubimy najbardziej!

Trzy zbliżone w charakterze wyciągi doprowadzają do kociołka (trudności z grubsza V, IV+, V), z którego można albo pokonać krótką przewieszkę i zakończyć drogę na śniegach, albo dołożyć sobie piękny wyciąg Filarem Kellego, obecnie wyposażonym w spity i stanowiska zjazdowe z łańcuchami. Ten ostatni wyciąg (łatem IV/IV+) jest naprawdę spektakularny i stanowi prawdziwą nagrodę po lekkiej „rzeźbie” w kominie. Wycof zejściem lub zjazdami filarem Kellego. Świetna, klasowa droga.

Komin Krupitzera, V, 3–4 h

Z. Brüll, A. Krupitzer, J. Novák, J. Lux, Z. Lux, T. Rundfeld, J. Ullmann, M. Winternitz, 14 lipca 1930

1. przejście zimowe: B. Hoftych, J. Novák, M. Turek, 3 kwietnia 1956

Również solidna zimowa propozycja, sporo skalnego wspinania z dość trudnym i nieco lawirującym pierwszym wyciągiem, miejsce nawet ok. V+ (istnieje drugi wariant wejściowy, biegnący bardziej wprost, ale trudniejszy). Potem dwa łatwiejsze, ok. III, i bardzo ładny i efektowny wyciąg ostatni (IV+) biegnący pionowym kominem wyposażonym jednak w dobre chwytaki i umożliwiający rozpierczkę. Całość ładna i satysfakcjonująca, acz, jak się wydaje, nieco mniej atrakcyjna niż *Komin Motyki* czy *Kwasnička*.

MUR NA DWA SPOSOBY PÓŁNOCNA ŚCIANA

Jako się rzekło – północna ściana to „insza inszość”. Wysoka na ponad 400 m. Pion absolutny. Ciemno, zimno, do domu daleko. Do tego krucho i trudno. Pewnie dlatego uchodzi ta ściana za klasyczną. To jeden z trzech, obok Rumanowego i Hrubego – wielkich tatrańskich murów. Co zrobić – jak się już zimą wspina, to wypada coś tu założyć.

Ale są i dobre wieści – nie wszystkie drogi wymagają, by na nich walczyć o życie. Zeszłej zimy przeszliśmy z Alicją bardzo rzadko chodzony Filar Wielkiej Jaworowej Turni i oboje uważamy, że ma on zadatki na wielki klasyk rejonu. Trudno uwierzyć, że ostatnie polskie przejście tej drogi mogło mieć miejsce ponad 30 lat temu...

LOGISTYKA

Podejście ze Zbójnickiej wiedzy przez Jaworową Przełęcz. Najpierw mozolne dreptanie na przełęcz, normalnie ok. 1,5 h, a potem wspinaczkowe zejście poderwanym zachodem na stronę Doliny Jaworowej. Raczej nie należy ryzykować scho-

dzenia na żywca – zwłaszcza że możliwości asekuracji są. Po osiągnięciu śniegów już szybko pod odpowiednią ścianę. Oczywiście, można również atakować od dołu. W non-stopie to raczej wyczyn – podejście, zwłaszcza bez nart, naprawdę długie i męczące, 4–5 godzin nawet dla szybkobiegaczy. W złych warunkach śnieżnych – niewykonalne (niejeden się przekonał). Szlak rzadko przetarty. Można rzecz jasna biwakować w dolinie, ale wtedy trzeba cały majdan dźwigać przez ścianę, co wspinania raczej nie przyspieszy. O sposobach w rodzaju melinowania się na stryszku leśniczówki nie wspominam. Ale biwak w Dolinie Jaworowej, zimą kompletnie opustoszałej, to przygoda i przyjemność sama w sobie. Dlatego wybór pozostawiam Wam.

ZEJŚCIE

Po drogach na Jaworowym Szczyt – tak jak wcześniej opisałem.

Z Jaworowej Turni najprościej zejść granią na południe na Wyżnię Ryglową Przełęcz, a dalej zlebami na stronę zachodnią do Doliny Rówienek (bywa, że trzeba zjechać). Stamtąd łatwo na Zawracik Rówienkowy i do Doliny Staroleśnej. Na Zawracik można się też dostać, trawersując ze wspomnianej WRP, mniej więcej poziomo na południe, na koniec schodząc na przełęcz. Ze szczytu do schronu ok. 2–3 h.

DROGI

Lewy Filar Wielkiej Jaworowej Turni, V, 6 h

M. Badziński, Z. Tracz, 21 sierpnia 1961

1. przejścia zimowe: M. Grochowski, A. Skłodowski, 24–25 kwietnia 1972

Opowiadał mi kiedyś o tej drodze ś.p. Andrzej Skłodowski „Baron” – i było to trochę jak sentymalna wycieczka. Pomyśleć tylko – robili to 40 lat temu! Przeszliśmy ten filar w przepiękny, dość ciepły dzień, w takich sobie warunkach, ale powspinaliśmy się naprawdę solidnie. Droga jest rzetelnie ładna, skałą generalnie dobra, asekuracja – jak na Jaworowe – wysmienita. Trudności nie przekraczają zimowej piątki, ale w większości dominuje teren czwórkowo-trójkowy, idealny na szybkie zimowe „pomykanie”, niepozwalające zmarznąć na stanowiskach i dostarczające mnóstwo zimowej frajdy. Droga zaczyna się Jurgowską Drabiną (ewidentne), po czym skręca potrzaskanym i wcale wspinaczkowym terenem na filar. Po osiągnięciu ostrza (naprawdę pięknego widokowo) kontynuujemy nim kilka wyciągów, miejscami całkiem trudnym terenem, do podstawy wielkiej turnicy wyznaczającej



przebieg drogi. Na półkę pod turnicą doprowadza, nawiasem mówiąc, bardzo piękny wyciąg. Teraz uderzamy śmiało w kruchy kominiek po prawej, po czym znów wydostajemy się na ostrze (chyba najtrudniejszy wyciąg na drodze, zimowe V). Dalej, po pokonaniu przewieszzonego prożku, śnieżno-skalnym terenem, ok. 150 m już bez większych trudności na szczyt. Na wierzchołku przywitało nas przyjazne, marcowe słońce. Po południowo-zachodniej stronie świat był zupełnie inny – topniejące śniegi, rude trawy, wiosna w pełni. Długo siedzieliśmy na wyniosłym szczycie, napawając się ciepłem i naprawdę wspaniałą wycieczką, ciesząc się z zimowego pokonania jednego z trzech Wielkich Murów Tatr.

Żleb Stanisławskiego, M7, 10 h

W. Stanisławski, J. Staszal, 7 lipca 1932

1. przejście zimowe: M. Groisová, M. Grois, J. Kertesz, M. Krkoška, kwiecień 1962

Porządna wyprawa firmowana nazwiskiem Stanisławskiego – a to jest zazwyczaj gwarancja dobrej zabawy, szczególnie zimą. Drogi Stanisławskiego należą do poważnych wyzwień, te zaś znajdujące się na dużych ścianach to przeważnie wielkie zimowe klasyki.



Oto, co napisał Tomek Klimczak o swoim przejściu:

Żleb Stanisławskiego jest ciekawą propozycją na Murze Jaworowym. Miałem okazję przejść go wraz z Mackiem Janczarem podczas zimowego obozu KWW dla zaawansowanych w Zbójnickiej Chacie. Droga wiedzie prawą stroną północnej ściany Wielkiego Jaworowego Szczytu i wyprowadza na wierzchołek. Wspinanie jest właściwie przez cały czas i wymaga koncentracji. Pierwszy wyciąg wprowadza do żlebu i jest stosunkowo prosty. Drugi wyciąg prowadzi do góry kruchym terenem. Odczuliśmy go jako M5. Kolejne dwa wyciągi są kluczowe i moim zdaniem zasługują na M7. Następnie wchodzimy do kuluaru w środkowej części ściany, z którego odbijamy łatwym żlebem lekko w prawo. Najlepiej przejść go na lotnej. Żleb kończy się pod spiętrzeniem, które pokonujemy idąc na wprost (M6). Dalej dwa wyciągi umiarkowanie łatwym terenem i stajemy na przełęczce, z której wyłazimy na szczyt. Z wierzchołka, jeśli mamy szczęście, możemy podziwiać wspaniałe widoki. Wspinanie zajęło nam 9 h z minutami i było świetną przygodą na tej rzadko odwiedzanej, a jednak wyjątkowo pięknej ścianie.

Fotografie:

1. Kierzu napiera skalna bariera na Drodze Motyki.
Fot A. Paszczak.
2. Alicja i Artur na polach podszczytowych.
Fot. J. Kierzkowski.

Łukasz Lewczuk

OBÓZ LETNI KWW – SUBIEKTYWNYM OKIEM



26 LIPCA – 9 SIERPNIA 2014

Letni obóz wspinaczkowy Klubu Wysokogórskiego Warszawa w 2014 roku został zaplanowany jak zwykle z odpowiednio dużym wyprzedzeniem na przełom lipca i sierpnia. Na miejsce działania klubowiczów wybrano rejon położony w południowo-wschodniej Szwajcarii, Bergell. Według wielu wspinaczy skała w tym miejscu charakteryzuje się jednym z najlepszych współczynników tarcia wśród rejonów górskich całej Europy. Bergell to obszar znajdujący się na granicy Włoch i Szwajcarii, pomiędzy dolinami: Val Bregaglia i Val di Mello. Po stronie szwajcarskiej, na południe od miejscowości Bondo, w której zaplanowano założenie obozu bazowego dla KWW, znajdują się m.in. doliny Bondasca oraz Albigna otoczone takimi szczytami jak: Piz Badile, Piz Cengalo, Piz Gemelli oraz cały masyw górski Sciora.

Rejon Bergell oferuje bardzo duże możliwości wspinaczkowe, o zdecydowanie górskim, skalnym charakterze (skomplikowana logistyka, długie i wymagające drogi, górska pogoda). Dla początkujących należałoby chyba polecić dolinę Albigna, gdzie pod najbliższe ściany można praktycznie wjechać kolejką linową, kursującą z miejscowości Pranzaira. Jest tam sporo dróg wielowyciągowych o długości 200–300 m (oraz dłuższych), o sportowym charakterze, z doskonałą asekuracją. Wspinanie w dolinie Bondasca jest na pewno o wiele bardziej wymagające pod względem logistycznym (długie podejście z obozu bazowego w Bondo) oraz pod kątem samego wspinania (dużo dłuższe i trudniejsze drogi).

Bergell charakteryzuje się dodatkowo kapryśną pogodą, czego niestety mogliśmy doświadczyć na własnej skórze. . .

Możliwość poznania kolejnego alpejskiego rejonu i zmierzenia się z jego klasykiem – *Droga Cassina* na Piz Badile, nie po-

zwałała na inną opcję, jak tylko zebranie ekipy i rozpoczęcie przygotowań do wyjazdu.

26 lipca ok. godz. 18 meldujemy się na kempingu w Bondo. Nie jesteśmy pierwsi. Kilka klubowych namiotów jest już rozstawionych na polu i możemy się przywitać ze znajomymi. Po rozbiciu własnych namiotów rozpoczynamy gotowanie i dyskusje. Prognozy pogody niestety nie są optymistyczne. Choć na razie nie pada, to jeszcze tylko

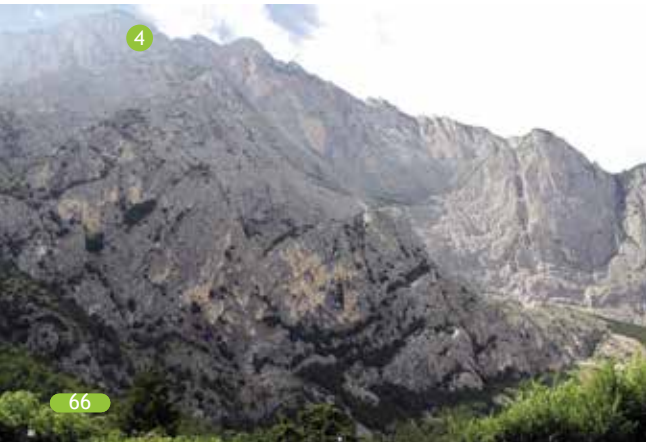




Następnego dnia pogoda ma być dobra, kolejnego zaczyna się psuć. Czyli górski standard.

Po długiej dyskusji, w której trakcie zostały sprawdzone wszystkie dostępne w internecie serwisy pogodowe, pada decyzja o... przeniesieniu obozu do Arco. Niestety sytuacja pogodowa jest taka, że praktycznie w całych Alpach, Dolomitach i innych górach i górkach w „okolicy” ma lać jak z cebra przez co najmniej najbliższy tydzień. W miarę dobra wspinaczkowa pogoda, tzn. słońce przeplatane deszczem, jest przewidywana właśnie dla Arco. Nie ma rady. Siedzieć w Bondo w deszczu nie ma sensu. Czyżby szykowało się kolejna wycieczka krajoznawcza? Póki co postanawiamy jednak wykorzystać okno pogodowe i chociaż zobaczyć słynny Piz Badile.

Następnego dnia rano w pięcioosobowym składzie podjeżdżamy samochodem w głąb doliny, płatną drogą do parkingu w Laret (koszt wjazdu 10 euro za samochód, płatne przy szlabanie wjazdowym, podjazd ok. 4 km), a później podchodzimy szlakiem do schroniska Sasc Fura i dalej pod Piz Badile (start do północnego kantu). Pogoda jest niezła. Czasami nawet spomiędzy chmur prześwituje słońce. Góry prezentują się okazale. U podnóża Piz Badile zastajemy sporych rozmiarów pola śnieżne, które przechodzimy używając raków, czekanów i znajdujących się tam lin poręczowych. Takie warunki w tym miejscu latem to podobno coś rzadko spotykanego. Niestety czas szybko ucieka. Pora wracać. Szczyty okolicznych gór zaczy-



nają się powoli zasnuwać chmurami. W schronisku spotykamy Polkę, która tam pracuje sezonowo. Dowiadujemy się od niej, że pogoda w tym roku jest wyjątkowo niestabilna. Okoliczne góry i drogi na nich poprowadzone zapierają prosto dech w piersiach i ogromnie żałujemy, że nie uda nam się tu powspinać. Schodzimy na dół, do Bondo. Nocujemy, a rano zwijamy namioty i ruszamy w drogę do Arco.

Arco od zawsze kojarzyło mi się z mekką europejskiego wspinania sportowego. Zapewne jest to miejsce, w którym rokrocznie niezliczone rzesze wspinaczy z całego świata pokonują kilometry skały na tysiącach sportowych dróg jednowyciągowych znajdujących się na skałkach w okolicach jeziora Garda, w północnych Włoszech. Czyżby obóz Klubu Wysokogórskiego Warszawa został przeniesiony w skały? Masakra.

Po pokonaniu drogi Bondo–Arco (autostradami w kierunku Mediolanu jest to ok. 280 km, my wybraliśmy wariant okrężny przez góry, m.in. przez Livigno) dojeżdżamy do znajdującego się w odległości 15 km na północ od Arco włoskiego kempingu w miejscowości Pietramurata. Kemp jest fajny, położony pomiędzy drzewkami, z własnym basenem (w końcu jesteśmy we Włoszech) i u podnóża olbrzymiej, pionowej ściany (zbocza Monte Casale, 1636 m n.p.m.), na której poprowadzone są liczne, wielowyciągowe drogi wspinaczkowe o długościach przekraczających nawet tysiąc metrów! To się nazywa niezła skałka!

Po szybkim przestudiowaniu przewodnika (do kupienia w okolicznych sklepach i marketach wspinaczkowych) dowiadujemy się, że w najbliższej okolicy znajduje się ponad 500 dróg wielowyciągowych, od kilkudziesięciu do nawet 1200 m, wyposażonych w stałą asekurację lub całkowicie jej pozbawionych, na których musi być użyty cały wachlarz szpeju do własnej asekuracji. Zdarzają się nawet drogi wymagające zabrania w ścianę młotka i haków.

Przewodnik po sektorach wielowyciągowych autorstwa Włocha Diego Filippi *Arco Walls* dostępny jest w języku angielskim i w zupełności wystarczy



do zapoznania się z rejonem i zapewnienia sobie wrażeń wspinaczkowych podczas wielu kolejnych wizyt w tej okolicy. Po naszym przyjeździe do Pietramuraty pogoda jest ładna (ciepło i słonecznie), lecz już następnego dnia ma znowu padać. Przez najbliższe dni naszego pobytu w okolicach Arco pogoda była zmienna, a prognozy prawie do bólu dokładne (to zawsze ułatwiało planowanie sobie czasu). Faktem jest, że wysokie temperatury panujące w tym rejonie w okresie letnim, zachodnie wystawy ścian i rodzaj skały – wapień, powodowały, że nawet po porannym ulewnym deszczu istniała możliwość wspinania się już po południu tego samego dnia. Inną kwestią pozostaje fakt, że te same wysokie temperatury skutecznie uniemożliwiały wspinanie po długich i/lub trudnych drogach (choć oczywiście zdarzały się wyjątki).

Z dnia na dzień powiększała się liczba wspinaczy spod znaku KWW na polu namiotowym w Pietramurata. Duża część koleżanek i kolegów, wiedząc o słabej pogodzie w Bergell, przyjechała prosto do Arco. Wieczory spędzane były w miłej koleżeńskiej atmosferze, skutecznie utrwalanej wysmienitym włoskim jedzeniem i nie mniej wysmienitymi trunkami sporządzanymi przez Włochów z uprawianych w dolinie winorośli. Gdy komuś robiło się za gorąco, chłodził się wysmienitymi lodami, chłodzonymi arbusami, tudzież piwem i oczywiście orzeźwiająją kąpielą w basenie. Ale przecież także się wspinaliśmy...

Wśród pokonywanych przez członków KWW, a także jego sympatyków dróg wspinaczkowych przeważały takie o długościach ok. 200–300 m i trudnościach do 6c+. Wspinano

się na większości ścian wzdłuż doliny, począwszy od Arco (ściany Monte Colodri), skończywszy na Piccolo Dain obok miejscowości Sarche. Niektóre zespoły łączyły dwie–trzy drogi około dziesięciowyciągowe w łańcuchówki.

Na szczególną uwagę zasługuje przejście Marka i Olafa (kolegów mieszkających w Irlandii), którzy pod koniec obozu w ciągu 18 godzin (*door to door*) pokonali w stylu OS znajdującą się na Monte Casale drogę *Transylvania*, VII, S4, 1100 m, 22 wyciągi. W czasie wspinaczki dwukrotnie złapały ich opady deszczu, które przeczekiwali w ścianie. Nie obyło się także bez kłopotów orientacyjnych pod koniec drogi. Gratulacje dla chłopaków, szczególnie ze względu na wysokie temperatury panujące w ciągu dnia (podobno poszło sporo wody).

Poniżej znajduje się wykaz innych pokonanych przez uczestników obozu dróg (wykaz nie jest kompletny):

Barbara, V+, VI, R2, II, 300 m, 10 wyciągów (Monte Colodri), *Traversi Perversi*, 5c, 6a+, S1, I, 160 m, 5 wyciągów (Coste dell'Anglone),

Scaloni Reversi, A1, S1, I, 140 m, 6 wyciągów (Coste dell'Anglone),

Amici del Sottobosco, 5c, 6a (5c obl.), S2, II, 280 m, 9 wyciągów (Cima alle Coste),

Casino' Royale, 6a, 6b+ (6b obl.), S2, II, 450 m, 14 wyciągów (Cima alle Coste),

Transeamus, 6a, 6b (6a obl.), S2, II, 300 m, 9 wyciągów (Cima alle Coste),



Mariposa Libre, 5c, 6a, 6b (miejsca), (6a obl.), S3, II, 280 m, 8 wyciągów, (Cima Alle Coste),

Rita, 5c, S3, II, 400 m, 16 wyciągów (Parete Zebrata),

Via Trento, 5b, S3, II, 180 m, 5 wyciągów (Parete Zebrata),

Nikotina, 6c+ (6a obl.), S2, II, 200 m, 7 wyciągów (Pian della Paia),

Hasta Siempre Comandante, 6b (6a obl.), S2, II, 400 m, 13 wyciągów (Monte Casale),

Amazonia, 5b, 5c, S1, I, 250 m, 11 wyciągów (Piccolo Dain),

Orrizonti Dolomitici, 5b, S1, I, 250 m, 11 wyciągów (Piccolo Dain).

Na tegoroczny obóz, oprócz samych wspinaczy, przyjechali również kilka rodzin z dziećmi. Było gwarno i wesoło. Dzieciaki na pewno nie nudziły się – mogły aktywnie spędzić czas z rodzi-

cami (wspinanie, via ferraty, rowery, pływanie, zwiedzanie okolicznych zamków), a także pobawić się ze swoimi rówieśnikami.

Było, nie było, po dwóch tygodniach obozu nastąpiła konieczność powrotu. Żegnamy się z Arco i jego ścianami i ruszamy w drogę powrotną do Polski. To jednak nie był jeszcze koniec wspinania. Zahaczamy o Dolomity. Po kilku godzinach jazdy z Arco, po południu dojeżdżamy w okolice Cortiny d'Ampezzo, gdzie o godz. 18:00 wchodzimy w drogę na Cinque Torri. Prosta, krótka droga (pięć wyciągów), ale pokazuje specyfikę tutejszego wspinania i piękno okolicznego krajobrazu. W czasie tegorocznego obozu KWW udało nam się zobaczyć sporo naprawdę ciekawych miejsc i chociaż nie wszędzie mogliśmy się powspinać, to tylko zaostrzyliśmy sobie apetyty na przyszłe wyjazdy.

1. Podejście pod Kant Północny Piz Badile (na wprost) oraz start do *Drogi Cassina* (niewidoczny, w lewo). Fot. Piotr Rząca.
2. Grupa górská Sciora, zamykająca od wschodu dolinę Bondasca oraz doskonale widoczny kant północny Piz Gemelli (po prawej). Fot. Piotr Rząca.
3. Liny poręczowe na drugim polu śnieżnym pod Kantem Północnym Piz Badile. Fot. Krzysztof Łowczyk.
4. Widok z kempingu w Pietramurata (masyw skalny Monte Casale). Fot. Krzysztof Łowczyk.
5. Widok na dolinę w okolicy Arco. Fot. Krzysztof Łowczyk.
6. Monte Colodri, droga *Barbara*. Fot. Krzysztof Łowczyk.
7. Cima alle Coste, droga *Amici del Sottobosco*. Fot. Łukasz Lewczuk.

SEZON WSPINACZKOWY 2014

Oczekiwania względem sezonu 2014 były ogromne. Uczciwie przepracowana zima, wolna od jakiegokolwiek kontuzji, pozwalała myśleć, iż nadchodzący rok będzie obfitował w niesamowite przejścia – ale jak to bywa, wyszło inaczej.

WIOSNA

Sezon 2014 można było zacząć wcześniej, bo już pod koniec marca. Na pozimowy rozruch wybraliśmy Kaczą Skałę położoną we wsi Trzebniów. Skała znajduje się niedaleko Doliny Wiercicy, a co ważne ma południową wystawę i w zasadzie nie powinno być na niej tłoku. Jeśli do tego dodamy przepiękne widoki i spokojną cichą atmosferę, to ukaże się nam obraz jakże inny od zatłoczonych jurajskich popularnych miejscówek.

Powspinać można się w szerokim przedziale trudności, więc każdy znajdzie coś dla siebie. Pierwszego dnia poprowadziłem drogę *Jesień Czejenów*, wiodącą prawą częścią Kaczej Skały. Jest to pionowo-połoga płyta po małych chwytach, czyli formacja, w której nie poruszam się sprawnie. Niemniej, przejście pokazało mi, iż trening przyniósł efekty. Palce są mocniejsze, niż były wcześniej.

Drugiego dnia postanowiliśmy odwiedzić Rzędkowice. Większość dnia przeskakałem, próbując trafić do dwójeczki na drodze *Pi-ching*. Co ciekawe, sam skok nie jest trudny, nato-

miast wcelowanie w chwyt przyszło mi po zaskakująco wielu próbach. Gdy w końcu się udało, to dalej nie miałem prawa spaść! W ten sposób przeszedłem ultrakrótki, ale naprawdę świetny rzedkowicki standard. Kiedyś Olek Romanowski powiedział mi, że ja lubię buldering, tylko po prostu jeszcze o tym nie wiem... chyba miał rację.

Europa nie ma w ostatnich latach szczęścia do dobrej pogody w długi weekend majowy. Naszą decyzję, gdzie pojedziemy

na majówkę, podjęliśmy na kilka dni przed planowanym wyjazdem. Padło na „kraję deszczowców” – Austrię i Adlitzgraben. Jechaliśmy w deszczu, na miejscu przywitał nas deszcz i (subiektywnie) niskie temperatury. Dwa dni później uciekliśmy spod namiotów do baraków będących hotelikiem dla robotników. Co ciekawe, samo wspinanie było super! Bardzo podobał mi się *King Kong*

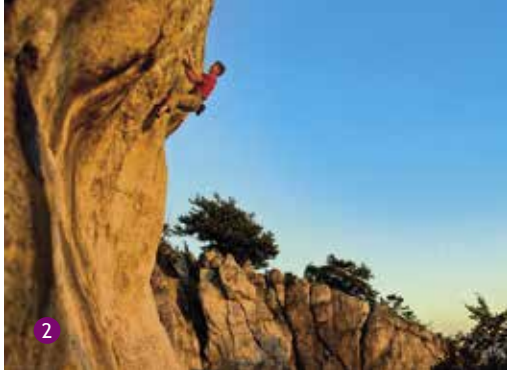
– wiosłowanie po turboklankach w uczciwym przewieszeniu. Wszyscy, którzy mieli przyjemność wspiąć się na Strasewand, zapewne pamiętają dreszczyk emocji, gdy tylko



usłyszeli zbliżający się samochód. Jeśli dodatkowo dźwięk silnika zdradzał, iż nie jest to osobówka, a pojazd o większych gabarytach, to na pewno można było czuć niepokój niczym na filmach Hitchcocka. Za te dodatkowe bodźce odpowiada fakt, iż sektor położony jest nad drogą, po której odbywa się regularny ruch uliczny. Jako że skała przewieszka się, to przy odrobinie pecha przy locie można znaleźć się na wysokości szoferki samochodu dostawczego.

Streetfighter jest jedną z krótszych dróg, bardzo bulderową w charakterze. Nazwa wbrew pozorom nie nawiązuje wprost do gry z lat 90. (pamiętacie?), tylko do obrazków, jakie można zobaczyć przy nieudanych próbach startu na tej drodze. Początek to naprawdę wyczerpujące ruchy bulderowe. Pierwsza wpinka zazwyczaj wykonywana jest w napięciu całego ciała w niekomfortowej pozycji. Kolejny ekspres jest jakos wysoko... na tyle, iż przy dobrej asekuracji nieszczęśnik, który spadnie przy próbie wpięcia się, przytupnie radośnie stopami w asfalt. Co ciekawe, gdy tylko pokonamy techniczne trudności drogi, pojawia się uczucie zmęczenia związane z brakiem restowych chwytów. Dodatkowo prawdopodobnie zaczniemy nasłuchiwać, czy nie zbliża się samochód... Po tygodniu wspinania się w Austrii przenieśliśmy się do „najbliższego” Polsce rejonu westowego, Ospu.

Słowenia przywitała nas deszczem. Po przyjeździe okazało się, iż może być problem ze znalezieniem noclegu. Na szczęście uratował nas Duszan i jego Xiaxid Hostel. Na Misji szybko poprowadziłem *Hobbita*. Bardzo podobała mi się sekwencja ruchów na drodze. Dodajmy również, że bardzo pasowały mi siłowe przechwyty. Co ciekawe udało mi się dokonać chyba niemożliwego na tej drodze. W jednej z prób spadłem spod samego łańcucha. Niestety na ultraklasyk rejonu – *Samsarę*, nie byłem przygotowany. O ile mogłem porobić poszczególne ruchy, o tyle łączenie ich w sekwencje wykraczało poza moje ówczesne możliwości. Do końca wyjazdu wspaniałem się po klasykach rejonu, rozkoszując się piękną pogodą i znakomitym towarzystwem.



LATO

Po powrocie z Ospu postanowiłem uporać się z podlesicką legendą, mianowicie z drogą *Porozmawiamy o kobietach*. Droga krótka, ale gdy przechodzi się obok, nie sposób nie zatrzymać wzroku na przewieszeniu, którym wieździe. W zeszłym sezonie nie byłem w stanie wykonać długiego ruchu do prawej dwójki. Ciężki trening musiał i przyniósł efekty. Sięgnięcie do dziurki na dwa palce nie stanowiło większego problemu. Największą trudność miałem na przewinięciu się przez okap. Gdy tylko mi się to udało to... spadłem z pionowej płytki, z której podobno spaść się już nie da. Któregoś dnia obok wspiął się Stefan Madej, walcząc na *Tyranie*. Zjechał po kolejnej próbie, głośno mówiąc, co myśli o małych chwytkach i wyszlizganych stopniach i że nie będzie się w to więcej wstawiał. Maciek, z którym mam przyjemność się wspiąć, popatrzył na niego i sparafrazował: „Stefan, ale wiesz, że z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność”. Stefan westchnął i wstawił się kolejny raz. Pomyślałem, że skoro inni mogą to ja też!

Przy następnej wizycie na Kołoczku wpinam się do łańcucha na „Kobietach”. Co za droga! Naprawdę cieszę się z tej krótkiej, ale jakże intensywnej wspinaczki. Gdy nadeszły letnie upały, wytchnienie przyniosły lasy Doliny Wiercicy. Diabelskie mosty są unikatowym rejonem, w którym nie odnajdziemy wielu dziurek. Mało tego, chwytys są na ogół duże, a same ruchy iście „westowe”. Najlepszym przykładem będzie *Agent Dołu*, prawdziwa perełka! Pod koniec lata zmierzyłem się z jednym z klasyków Okiennika Wielkiego, czyli *Władcą Pierścieni*. Najtrudniejsze w tej wspinaczce (poza łapaniem wiecznie mokrej i zabrudzonej ptasimi odchodami dziury) było odkrycie właściwych patentów – każdy pomyśli, co Ty w ogóle piszesz! Wspina się tam tłum ludzi, patenty są podane na tacy. Niby tak, ale okazuje się, iż na sześć czy siedem osób, które widziałem, każdy miał inne ustawienia ciała, każdy wybierał inne stopnie i każdy wykonywał ruchy inaczej. Dziwna to droga, na której można przechodzić kruksa na tyle sposobów. Jak tylko znalazłem swoje patenty, droga puściła.



JESIEŃ

Czasami, jeżdżąc w mniej popularne skały, możemy natknąć się na prawdziwie perełki. Taką drogę odnalazłem na Pancerniku ukrytym w lesie za Wielkim Grochowcem. *Ortopraksja* nie jest drogą o wielkich trudnościach, ma natomiast w sobie tę magię ruchu, która potrafi urzekać.

Wykonując dalekie przechwyty po dobrych chwytach, naprawdę odczuwałem radość wspinania, dodatkowo cieszyłem się spokojem, ciszą i widokiem okalającego lasu. Inną drogą, która wywarła na mnie wrażenie, było *Pieskie Życie* w Trzebniewie na Kaczej Skale. Droga autentycznie niczym z południa Europy (sektory bez tuf), dobre chwyt, ciekawe ruchy i spokojna okolica. Odstraszać może jedynie sam początek drogi, ale nie zrażajcie się! Warto dać szansę tej skale. W ostatnie dni września wspaniałem się na Górze Zborów. Niestety walcząc na *Kaprysie Bogów*, dałem się ponieść emocjom i w głupi sposób złapałem kontuzję. Mój nadciągnięty fucker nie wróżył mi dobrego przed nadchodzącym wyjazdem do Turcji.

Geyikbayiri odwiedziłem nie będąc w szczycie formy. Miejsce jest cudowne! Wspaniała sceneria, sympatyczni ludzie i wspaniałe jedzenie. Ciągający się przez prawie 2 km główny mur skalny

z obitymi drogami czy zacieniony sektor Trebenna dają możliwość wspinania się w każdej formacji i bardzo różnym wapieniu. Opisywaniu wspinania w „Geyik” można by poświęcić osobny artykuł. W pamięci utkwiły mi drogi, takie jak *Karinca* – ciągowe wspinanie po bogatej rzeźbie naciekowej, ulanej z pomarańczowego wapienia, czy *Saxofon* – prosta rozgrzewkowa droga, która na zdjęciach potrafi wyglądać niczym wyzwanie z górnej półki wspinaczkowych ekstremów. Na Trebennie wspaniałem się po jednej ze wspanialszych dróg, jakie miałem przyjemność robić w tym sezonie. *Ying Yang* startuje bulderowymi ruchami po małych krawądkach. Następnie czujne wspinanie doprowadza do nżyż z no-hand-restem. Dalej zaczyna się przewis, gdzie należy się wspiąć wielką tufą, by po chwili dwumetrowym trawersem znaleźć się w nżyż, w którą przy odrobinie umiejętności można wklinać się całym ciałem i wyocząć przed ostatnią, finalną częścią drogi. Ostatnie metry to ciągowe wspinanie w bardzo ostrej skale, coś takiego jak szare wampiry, ale tym razem zęby zamiast w niebo są wystawione w bok, w stronę dłoni wspinacza! Należy uważnie wkladać ręce w chwyt, co za obłęd. Po powrocie z Turcji zostało mi czekać do następnej wiosny. Oby nadeszła szybko, do zobaczenia w skałach!

Wybrane przejścia:

Lumbago VI.5 pp – Kacza Skała, Trzebnów

Władca Pierścieni VI.5pp – Okiennik Wielki, Skarżycze

Porozmawiajmy o Kobietach VI.4+/5 pp – Góra Kołoczek, Podlesice

Streetfighter 7c pp – Strassenwand, Adlitzgraben

Hobbit 7c pp – Misja Pec, Osp

Yin Yang 7c pp – Trebenna West, Geyikbayiri

Pi-ching 6.4+ pp – Mnich, Rzędkowice

Agent Dołu 6.4+ pp – Diabelskie Mosty, Dolina Wiercicy

Wolant 6.4+ pp – Diabelskie Mosty, Dolina Wiercicy

Pieskie Życie 6.4+ pp – Kacza Skała, Trzebnów

Lycian Highway 7b os – Trebenna West, Geyikbayiri



1. Geyikbayiri - Wspinaczkowe Klimaty.

Fot. Agnieszka Reńska.

2. Podlesice - Góra Zborów - *Kapryś Bogów*.

Fot. Maciej Ostrowski.

3. Geyikbayiri - Trebenna - *Greek gift*. Fot. Agnieszka Reńska.

4. Geyikbayiri - Kullunin - *Too old to rock 'n' roll, too young to die*. Fot. Agnieszka Reńska.

Artur Paszczak

WIEŚCI ZE SKAŁEK

Fragmentaryczne wiadomości, jakie docierają do naszej redakcji odnośnie do przejść skałkowych, nie pozwalają na całościowe opracowanie, niemniej warto wymienić kilka ciekawych osiągnięć naszych klubowych kolegów.

I tak, nasz młody talent **Kostek Sobański**, zanotował kolejny postęp we wspinaczce po szczelbach cyfry, osiągając metafizyczny stopień VI.5, i to na klasyku klasyków, czyli *Chińskim Maharadzy* (zarówno w wersji standard, jak i „wprost”). O licznych VI.4 nawet nie trzeba wspominać – rozumie się samo przez się. Jakby tego było mało, Kostek wkosił jeszcze oesem kilka VI.3 oraz jedno VI.3+ – *Technikę Hipochondryka*.

Wśród juniorów pięknym zestawem dróg na Filarze Abazego poszczycić się może **Gilbert Baćmaga**. Zaliczył tam *Skalne sztafety* VI.5, *Akslop* VI.5/VI.5+ oraz *Wariacje* VI.5+. W połączeniu ze zrobionymi rok wcześniej *Przybiciem Tytanów* VI.5+ i *Montokwasem* 212 VI.5 daje to godny podziwu komplet.

Wśród pań palmę pierwszeństwa dzierży oczywiście **Nina Gmiter**, która osiągnęła w ubiegłym roku stopień 8c na *Fish Eye* w Olianie. Jest to nie tylko najlepsze przejście klubowe, lecz także jedno z najlepszych w kraju i niewątpliwie liczące się osiągnięcie światowe.

Wśród panów stopnia VI.5 sięgnął też **Maciek Wolski**, pokonując *Eldorado* w Rzędkowicach. Oprócz tego, padł też *Messer*,

ale jego wycena VI.5 wydaje się nieco zawyżona. Maciek pokonał jeszcze kilka dróg w stopniu VI.4 i VI.4+.

Z kolei **Tomek Rumianowski**, który działał głównie zagranicą, dopisał do swego wykazu dwie drogi 7c+ – *Pumping on big mother's breasts* w Geyikbayiri (Turcja) oraz *Talibanę* w El Chorro. Do tego Tomek dorzucił całą listę siódemek c, oraz – co warto zauważyć – 7b+ OS na drodze *Playing for change* (Citdibi, Magara, Turcja).

Leszek Iwan o swoich osiągnięciach pisze osobno, ale z kronikarskiego obowiązku wymieniam jego najlepsze przejścia czyli *Lumbago* VI.5 na Kaczej Skale i *Władcę Pierścieni* VI.5 na Okienniku Skarzyckim, Leszek założył też *Hobbita* na Misji Pec, ale tam dali mu tylko 7c – i w sumie słusznie, bo *Władca* jest lepszy i każdy to wie.

Dwoma VI.5 poszczycić się może także **Marcin Książak** – nie oparł mu się wspomniany już *Władca Pierścieni* oraz *Kaprys Bogów* (tutaj wycena brzmi VI.5+) na Górze Zborów.

I to tyle tytułem krótkiego podsumowania. W imieniu redakcji proszę o nadsyłanie swoich osiągnięć do przyszłych podsumowań.

Opracowanie: Magdalena Nowak

Jura My Love!

1

Nie każdy jest szczęściarzem, którego lokalnym rejonem wspinaczkowym jest Rodellar, Céüse czy Arco. Duża część lokalnych ogródków wspinaczkowych to rejony nie tylko odwiedzane wyłącznie przez okolicznych wspinaczy, lecz często nawet nieznanie szerszemu gronu. Jednak to one pozwalają większości z nas, wspinaczy, uciec od zakurzonego panelu tak często, jak to możliwe. I jakie one by nie były, zawsze są lepsze od epoksydu. Wspinanie na Jurze to dla wielu wybór z konieczności. Narzekania, że za ślisko, że drogi krótkie, że skały za małe, że chwytły nieprzyjemne, padały z ust każdego, kto choć raz wspiął się w naszym białym wapieniu. Zupełnie na przekór malkontentom, spróbujemy przekonać, że jurajskie mydełko da się lubić. Czterech wspinaczy mówi wprost: Jura jest piękna, a wspinanie tutaj cudowne. Każdego z nich poprosiłam dokładnie o to samo, aby napisali, dlaczego lubią Jurę? Wojtek Michalski przekonuje, że to przede wszystkim miejsce, którego historię pisze każdy z nas bez względu na poziom i staż wspinaczkowy. Kuba Wasilewski udowadnia, że na Jurze można również bulderować, ale jest to gra dla prawdziwych freaków. Olga Kosek wyjaśnia, w czym tkwi fenomen sentymentu do Jury i dlaczego małe, damskie paluszki mają tutaj tak dużą przewagę. Na koniec Tomek Czopowicz przypomina, że Jura to przede wszystkim jedyny w swoim rodzaju klimat, ludzie, których znamy i lubimy, wspólne rozmowy, wspólne wspinanie, wspólna pasja.

Magdalena NOWAK

Wojtek MICHALSKI

– Wyślizguje jurajski wapieni od połowy lat 90. ubiegłego stulecia. Stara się także trochę wspiąć w górach. Ta niebezpieczna obsesja doprowadza go do ruiny finansowej i powoduje, że nie potrafi zająć się na serio jakąś pożyteczną pracą. Jest tatą dwójki dzieci, które to niebożęta chwilowo muszą podzielać jego pasję, śpiąc w zimnie po jakichś krzakach i nudząc się w skałach.



MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

(Tekst kursywą czyta głosem Krystyny Czubówny)

Z początkiem marca homo arampicatus opuszcza swoje zimowe schronienie i przemieszcza się na północ, w rejon Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, zwanej Jurą. Pojedyncze sztuki są widoczne już na początku marca. Niektóre przedzierają się przez topniejący śnieg, niosąc na plecach dobytek i prowadząc młode. Wapienne ostańce Wyżyny staną się teraz habitatem tego endemicznego gatunku.

Ale czemu Jura? Może dlatego, że tu się większość z nas wspinaczkowo wychowała? Może dlatego, że las w Podlesicach (a wcześniej stodoła i bar u Stacha) to takie nasze „center of the Universe” – miejsca na ziemi, gdzie nie

rezerwujesz noclegu i przyjeżdżasz kiedy chcesz. Miejsce, gdzie do którego ogniska nie podejdziesz – odnajdziesz znajomych...

Nadejście wiosny inicjuje niezwykły spektakl. Zarówno samce, jak i samice rozpoczynają specyficzne tańce godowe, wykorzystując do tego pozornie gładkie, białe ściany wapiennych turni Wyżyny. Hierarchię w licznych stadach ustala się zdobyciem co gładziej połaci skały lub przez wykazanie się odwagą w minimalizacji środków użytych do asekuracji.

A może dlatego, że każda droga ma swoją historię. *Rysa Skierskiego* – „wypuszczony” na nią Anglik połamał miednicę. A tam *Komin Gwoździa* – sprawdź czy na pewno robisz sześćdwapuls. *Phyta Wojasa* – kiedyś chodziło się ją trochę inaczej – robiło się trawers w prawo i tam zakładało skyhooka. *Skorek Wach* – pierwszy przelot był w nży przed trudnościami. Albo *Pokrzywki*, gdy „czailiśmy” się na prowadzenie i odwlekaliśmy tę chwilę. Pojawił się Paffnutz senior i powiedział *Synu... Mam ci to zrobić na żywo?* I zrobił. W Tarnie czy Sajuzie drogi też mają swoje historie, tyle że tutaj to także Twoja opowieść. *Wraz z letnimi upałami przedstawiciele gatunku rozpierschają się po ocienionych bukowymi lasami ostańcach. Niektóre szukają ochłody w wodach zalewu w Kostkowicach. Samce są teraz odchudzone i silne. Samice kuszą smukłymi kształtami i opaloną skórą.*

A może dlatego, że drogi na Jurze są trudne. Techniczne, palczaste, niewygodne i bolesne. Legendarne tarcie promyję przypak, ale z samym lewarem wycwiczywnym w GCH będziesz cienko kwilił. Nie sądzę, abym w takim Kalyminos czy Sperlondze znalazł tak trudne „sześć be plus” jak na naszej Jurze. Zrób *Kółkówkę*, *Heine Medina*, *Cyklon A* czy *Rysę Czoka*. Za trudno? To może „szóstki a plus”: *Rysę Kukuczki* na Słonecznej Turni, *Rysę Wacha* czy *Prawe Kaskady*. Swój dystans do cyfry autorzy dróg demonstrują oczywiście nie tylko w przypadku dróg spod znaku DDS. Stając pod jurajskim klasykiem, zadajemy sobie pytanie, „Czy ONA jest trudna?”. Wie to dobrze każdy, kto wiazał się pod *Grekiem Korbą* i *Science Fiction*.

Wczesną jesienią Wyżyna oferuje feerię barw. Koczujące po lasach osobniki przetrzebiły już wysuszone drewno. Pojawiają się gatunki symbiotyczne – nieocenione w skomplikowanej biocenozie. Nad ranem, w lesie obok śpiących wspinaczy żerują zbieracze butelek, do ogniska podejdziesz felis catus, aby się ogrzać i dostać tuńczyka z puszki.

Mówisz, że to małe brzydkie skały? A byłeś na Popielarce, Okienniku Skarżycym? Wspinałeś się na Cimach na Podzamczu,

Jastrzębniku, na Filarze Birowa czy Suchym Potciu? Na Birowie i Okienniku siedemdziesiątka starcza na styk, a drogi zdają się nie mieć końca.

Późna jesień i koniec zimy to początek migracji na południe. Niektóre osobniki przemieszczają się setki kilometrów, aby kontynuować tańce w wygrzanej skale. Inne preferują skute lodem urwiska.

Jak sobie to wszystko przemyśleć, to dochodzimy do trywialnego, powtarzającego się wszędzie wniosku: na pytanie, „Czemu Jura?” odpowiedź będzie „Bo ludzie”. I nie tylko paczka znajomych, z którymi wyjeżdżasz. Są jeszcze „stałe elementy krajobrazu” – Adam Zyzak rozbity na patelni i solujący sobie od czasu do czasu – a to *Komin Lechfora*, a to *Słoneczny Trawers*. Mirek Wódka częstujący „antydepresantem” w słoneczny listopadowy dzień, w przerwie pomiędzy prowadzeniami. Twarze, które ciągle w skałach widzę, których często imion nie znam i te śmieszne gadki, „o niczym”. Po prostu Jura to moje miejsce na ziemi.

Kuba WASILEWSKI –

Choć na Jurze wspina się już od sześciu sezonów, swoją boulderową grę dla freaków rozpoczął dopiero na początku 2013 r. W tym czasie na swoim wspinaczkowym koncie zgromadził 18 problemów o wycenie powyżej 7A+, w tym również takie sięgające stopnia 7C+. W boulderingu najbardziej ceni sobie zagadki, w których odnalezienie optymalnego rozwiązania wymaga nie tylko tęgiego bicepsa, lecz także tęgiej głowy.



GRA DLA FREAKÓW

Teraz myślę, że bouldering w Jurze to jawne szaleństwo albo gra dla freaków. Kto inny, finalnie, szcztokuje leśne głązy w styczniowe popołudnia? Kto ucieka od komarów w butach numer minus trzy i koi nerwy papierem ściernym? No, wariat. A to wszystko w wolne soboty.

Wiele razy wymyślałem sens włożenia na kamienie i nigdzie mnie to nie zaprowadziło. Tłumaczenie naturalnych czynności jest zawsze jałowe, one powinny tłumaczyć się same. Dlatego w tym roku uznałem, że mam dosyć wspinania na drogach ułożonych przez skalnych ekiperów i że wreszcie wejść gdzieś na szczyt. Bardzo byłem dumny z tej konkluzji do czasu, w którym sobie zdałem sprawę, że te szczyty są daleko i wysoko.

– Stary, nieważne gdzie i co, ważne, że jest trudne! – mówi moja koleżanka. Wobec tego (po co mi romantyzm) jadę na pięć godzin pod Zawiercie na baldy. Nie wiem, co wspólnego z tym wypadem ma alpinizm, ale kombinuję, że może tę trudność. Nie musiałem nic planować, nie było podejścia – wzięłem buty i materac i wsiadłem w samochód. Jednak akt wspinania, minimalistyczny, był tak cholernie abstrakcyjny, że marzyłem o szczycie jak każdy taternik. Może o innych bym bardziej marzył – najdalej na południe byłem na Krupówkach.

Kiedys na Jurze trenowało się pod Tatry, a teraz się trenuje na panelu pod Jurę. Można też trenować na Jurze pod wszystkie i ja tak robię, albo tak mi się wydaje, bo zawsze jak wracam stamtąd chory od nemezys, to wiem co pozmieniac, żeby lepiej żyć. Tak bardzo lubię te miejsca. Wspinanie tam to dla mnie walka z polskimi przywarami. Trzeba mieć uwagę, cierpliwość i zapasy woli i to bywa męczące, gdy się walczy samemu.

– Czemu pan wchodzi na ten kamień od trudniejszej strony?
– pyta turysta z Olsztyna, kończąc bułkę z piwem.

– Dlatego, że umiem – myślę sobie cicho, a jemu bezskutecznie wyjaśniam instynkty. Widzę dużo piękna w tym zmaganiu się z gładką, białą płytą, jak w grze z partytury, której nie pisał człowiek.

Intensywne wspinanie uczy siły spokoju. Każda dobra próba nagradza się sama. Usuwanie mchu ze skały i martwej skóry z palców nabiera znaczenia dla czegoś, co ważne, a mróz i komary czy zbyt ciasne buty to miła dystrakcja od myślenia ciałem. Te małe rzeczy przestają mieć znaczenie wobec trudności narzuconych przez skalną rzeźbę, problemów zadanych przez śląską przyrodę, których rozwiązanie, mimo że niepotrzebne, daje ogromny spokój i pewność. Nie umiem powiedzieć, jaki to ma sens. Wiem, że buldering jest dobry, a Jura jest piękna.

Olga KOSEK – Wspina się odkąd pamięta, na poważnie od 2006 r., a od 2010 r. naucza wspinania innych. Od trzech lat miłośniczka rysowania i wspinania na własnej asekuracji. Zakochana w jurajskim wapieniu.



Mimo licznych prób perswazji – uparcie twierdzi, że jest to najlepszy rejon wspinaczkowy w Polsce.

RZECZPOSPOLITA BABSKA

- Cześć! Co robisz jutro?
- W sumie nic...
- A pojutrze?
- Też...
- Może skoczyłybyśmy na Jurę?
(chwila ciszy)
- Dobra! Daj mi godzinę!

Po godzinie pakujemy się we dwie do mojego samochodu i drogą przez mękę (ach, te remonty!) mkniemy w stronę Częstochowy. Takich wyjazdów było w moim życiu co nie miara. Mniej lub bardziej spontanicznych, jednodniowych, tygodniowych, miesięcznych. Jechałem z kolegami, z koleżankami, pociągami i autobusem, pociągami i rowerem, samochodem swoim lub nie. Stałym był tylko kierunek – Jura.

Ciężko odpowiedzieć mi wprost na pytanie dlaczego akurat Jura? Pierwszy sezon jeździłam tam, bo rodzice nigdzie indziej nie chcieli puścić małolaty samej. Nie zastanawiałam się wtedy nad przechwyty, drogami, miejscami – jeździłam dla ludzi. Swoją przygodę zaczęłam w Wolnej Republice Podleskiej u śp. Bogdana Krauze i szybko stałam się stałym elementem wystroju w siedzibie jego szkoły. Nawet koledy się ze mnie śmiali, że nigdy się nie wspinam, tylko ciągle u Bogdana przesiaduję. Można powiedzieć, że początki mojej jurajskiej miłości, to nie skały, a ludzie tam spotkani.

Niestety – ludzie rezygnują ze wspinaczki, gubią się w codzienności niewspinaczkowej, odchodzą. I wtedy Jurę odkryłam po raz drugi. Ze szkoły Bogdana przeniosłam się na Patelnię w Rzędkowicach, postawiłam swój namiot i mieszkałam tam tygodniami. Wtedy zaczęłam doceniać Jurę wspinaczkowo. Siedziałyśmy z przyjaciółką na Patelni miesiąc, jeżdżąc stopem po okolicznych skałach, zachwycone wszystkim, co Jura oferowała, a oferowała dużo: wspinanie w dowolnych formacjach, w dowolnych trudnościach, w cieniu, w słońcu, sportowo, na własnej, na krótkich drogach, na długich. A po wspinaniu zwiedzanie, zamki, zalew, basen, shopping, clubbing.

Chcąc poznać inny niż mój babski punkt widzenia, zapytałam kilka koleżanek, partnerek wspinaczkowych, co je właściwie ciągnie na Jurę. Jedna odpowiedź powtórzyła się u wszystkich



– różnorodność. I chyba to jest jeden z głównych powodów, dla którego ciągle tam wracamy. Jura daje wiele możliwości wspinaczkowych każdemu. Jedna z koleżanek na moje pytanie odpisała: „kocham Jurę, bo gdy się ma metr sześćdziesiąt wzrostu i niekoniecznie dużo siły, to tutaj na naszej cudnej Jurze można znaleźć dużo ciekawych propozycji”. Po tej odpowiedzi dostałam kolejne: „za możliwości wspinaczkowe i rozpiętość trudności – każdy znajdzie coś dla siebie, można i dla relaksu powiosłować po klamach i powalczyć z samym sobą, z trudnościami, i próbować przełamać swoje ograniczenia”, „drogi obite od najprostszych kursowych IV po VI. fafnaście!” – słowem tu jest wspinanie dla każdego. Można rozgrzać się na prostszych drogach nabrać po ziemie psychy i atakować coś mocniejszego”, „Lubię też to, że nie wszystkie drogi w tym rejonie są obite i mogę tam ćwiczyć wspinanie z własną asekuracją przed wyjazdem w góry”. Dodatkową zaletą dla nas, płci pięknej, jest specyfika wspinania na Jurze. Techniczne drogi po dziurkach czy krawądkach, z precyzyjną pracą nóg, przychodzą nam łatwiej niż zginanie lewara. Podejrzewam też, że niejedna dziewczyna wkurzała męską część ekipy, mieszcząc w jurajskich chwytach więcej swoich filigranowych paluszków niż ustawa przewiduje. Mnie samej koledzy nie chcieli uznać balda, gdy w kluczową „trójkę” spokojnie zmieściłam cztery palce i dołożyłam kciuka, mówiąc krótko: Jurę lubimy za „mikrochwytty i finezyjne kobiece ruchy”. Kolejnym plusem jest bliskość wspinania. Z Krakowa – „w najbliższe skałki mam 5 km”, ze Śląska czy z Łodzi – „zawsze można wyskoczyć na jeden dzień, gdy obowiązki nie pozwalają na dłuższy czy dalszy wypad”. Trochę gorzej sprawa ma się z mieszkańcami wybrzeża, ale ci wszędzie, pomijając Szwecję, mają daleko. Z kobiecego punktu widzenia zalet jest jeszcze więcej:

- estetycznych: „krajobrazy, zwłaszcza jesienią – liczne wąwozy i ciekawe ukształtowanie terenu”,
- towarzyskich: „miejsce, gdzie poznajemy ludzi, innych świrów, nawiązując liczne znajomości”,
- estetyczno-towarzyskich: „fajaci wspinający się latem bez koszulek!”

Ale... wielokrotnie słyszałam także: „Jura? nie... na Jurę to nie jadę”. Bo wysłizg, bo tłum ludzi, bo słońce, bo dziurki małe, bo dupa duża... Cóż – złej baletnicy... itd. Wysłizg wcale nie jest taki duży (nawet na Lechforze można znaleźć drogi urozmaicone i niewyslizgane np. *Thin Lizzy*), tłumy nie ma, bo rejonów sporo (w Sovich Skałach nie spotkałam żadnego wspinacza, na Łęczcu też nie – a przecież to wszystko okolice Podlesic), od słońca jest las i północne wystawy, a jeśli chodzi o chwytty, to na Jurze wybór jest duży: dziurki, krawądkki,



3

klamki, oblaki, rysy. Dla każdego coś miłego. Ostatecznie zawsze pozostają te wieczorne ogniska, dzięki którym później „mam sentyment do tego cudownego miejsca”.

Tomek CZOPOWICZ –

Pseud. oper. Czoper. Jurajskiego wapienia dotknął po raz pierwszy pod Krakowem w 2005 r., rok później – już po kursie – spędził w Podlesicach znaczną część studenckich wakacji.



Z czasem pojawiło się jednak charakterystyczne, spowodowane poznaniem uroków granitu i innych rodzajów skały, zniechęcenie do mydełka. Bywały lata, gdy na Jurę praktycznie nie zaglądał. Dopiero ostatnie dwa sezony to jej ponowne odkrywanie i regularne cotygodniowe wyjazdy.

WYPATRUJECIE ZNAJOMYCH TWARZY

Jura, a szczególnie jej tradycyjnie „warszawskie” rejon północne, to nie tylko wspinanie, lecz także życie towarzyskie toczące się w specyficznym okołoweekendowym trybie. Jego trzonem są oczywiście stali bywalcy, koneserzy już od poniedziałku wyczekujący piątkowego popołudnia, rozpoznający swe samochody na trasie katowickiej i – przynajmniej kiedyś – regularnie spotykający się w znanej kapitalistycznej „restauracji”. Zasilają to grono umiarkowani wielbiciele mydełka, po raz kolejny przegonieni z Tatr przez deszcz, oraz stały napływ



zafascynowanych naszymi skałkami kursantów (jeszcze niezepsutych wyjazdami do Włoch, Hiszpanii i innych takich). Siłą rzeczy prędzej czy później każdy, kto często odwiedza okolice Podlesic poznaje tych podobnych sobie maniaków, rodzą się nowe znajomości, tworzą przeplatające się ekipy.

Zaczyna się często od „gieldy” miejsc w skały (prawdziwa gratka, gdy rusza w tę stronę pewien żółty bus!), potem gofry, naleśniki, odrobina kofeiny w pełnej wspinaczki kawiarience lub gościńcu, wymiana informacji, kto gdzie łąi i można ruszać na wspinanie. To ostatnie oczywiście w rozsądnej ilości, bo w międzyczasie też trzeba pogadać, pomądrzyć się trochę, podrzeć łacha ze znajomych – a uzależnieni: zrobić kolejną kawę. Po tak owocnym dniu większość wtajemniczonych rusza w stronę któregoś ze zwyczajowych miejsc biwakowania, gdzie wieczorem zbiera się cała jurajska śmietanka towarzyska. Główną rolę integracyjną odgrywają rozsiane po polankach ogniska, nieraz przeciągające się do późna, co skutkuje spadkiem mocy dnia następnego. Ale jak wiadomo, cyfra nie zając, nie ucieknie i tylko najbardziej zmotywowani zawodnicy ograniczają się do jednego piwka, po czym idą grzecznie spać. Ale to przypadki jednostkowe – znani są redakcji naprawdę mocni łośnicy, którzy nie raz już udowodnili, że wyczyn wcale nie wymaga wstrzemięźliwości alkoholowej. Warto przy tym nadmienić, że przy powspinaczkowym piwie można poznać największe sławy obu warszawskich klubów (ewentualnie jeszcze niezrzeszone), zarówno te znane z notek na portalach, działalności forumowo-towarzystwiej, jak i najdziwniejszych imprezowych wybryków. Toczą się mniej lub bardziej składne rozmowy (wbrew pozorom nie zawsze związane z jedną słuszną tematyką spejzu, stylu czy przechwytyw), trwa wymiana plotek i ploteczek. Ognisko to również niepowtarzalna okazja, by zjeść regeneracyjny obiad na łonie natury, a także popisać się umiejętnościami pieczenia

kurczaka w żarze bądź przygotowania szaszłyków w warunkach polowych. O ile jednak abstynencję promował już kiedyś PTTK, to znakiem czasów, iż niektórzy zamiast tradycyjnej kiełbasy z żarliwością neofitów konsumują przywiezione z domu dania na bazie soczewicy, cukinii, siemienia oraz izolatów białka serwatkowego. Na szczęście nasz klub na razie opiera się tym trendom, co zostało wyraźnie podkreślone zamykającym sezon garem tradycyjnego bigosu.

Z kolei alternatywą dla hotelu pod chmurką na chłodniejsze lub deszczowe dni stał się jakiś czas temu stryżek u pani Irenki – najtańszy po wiacie nocleg pod dachem w okolicy. Niepowtarzalny klimat zaadaptowanej na potrzeby oszczędnych łośników, podzielonej frankami na „sypialnie” rupieciami równoważy nawet niedogodności związane z permanentnymi kolejkami do jedynej łazienki. W tutejszej kuchni można też spotkać sławnego podlesickiego instruktora rezydenta, ekipera i gadułę w jednym (podobno dobrze pojony może nawijać do świtu!)

Tak więc jeśli już wyruszyście w stronę białych ścian, wypatrujcie znajomych twarzy i nie wahajcie się podejść do ognia. Nic tak nie integruje środowiska, jak wspólnie spędzone wieczory oraz leniwe śniadania przy namiotach. Sam jeżdżę tak często właśnie ze względu na ludzi, których obecność gwarantuje fajne spędzenie czasu nawet jeśli tego dnia nie będzie się zginać. Ich wesołe towarzystwo pozwala odetchnąć po pięciu dniach w zamkniętym biurze.

W ubiegłym roku zaszła niekorzystna dla wspinaczki zmiana. Właściciel lasu, w którym jeszcze parę lat temu odbywały się oficjalne klubowe imprezy, ogrodził wjazd. Tabliczki o zakazie biwakowania pojawiły się również na dużej polanie naprzeciwko. Niewykluczone, że rozwój miejscowości oraz działalność miłośników przyrody ograniczy z czasem możliwość nocowania na łonie natury.

Fotografie:

1. Kierunek Zborów fot. Nicholas Sharman
2. Jurajske widoki fot. Jakub Bądek

3. Teren prywatny fot. Nicholas Sharman
4. Mirów fot. Nicholas Sharman

Maciej Kubera „Pastor”

JAK ZDOBYWAŁEM KORONĘ ZIEMI: SKAŁKI JURAJSKIE

Rodzinne strony!

Zewsząd, gdzie byś nie spojrzal

Śmieją się góry

Haiku mistrza Masaoka Shiki

Skały: duże skupiska minerałów jednorodnych lub różnorodnych. Ze względu na sposób powstania wyróżnia się skały magmowe, osadowe i metamorficzne. W to wierzą geolodzy. Wiem, że chcecie się dowiedzieć, jak zdobywałem koronę ziemi: Skałki Jurajskie.

Było to dawno temu, kiedy jako siermiężnie odziany student pojawiłem się na kursie KW w grupie Rysia Gosa. Odziany w spodnie moro, wełniany golf w norweskie motywy zrobiony na drutach przez babcię, buty Himalaje z wypożyczalni sprzętu KW, nosiłki, anorak i kurtkę puchową (również z wypożyczalni). Mieliśmy (ja, Bucek i Nieciec) linę bezalin (40 m), komplet nowiutkich heksów (made by Kazio Morderca), roksy i kaziowego frienda, którego raz udało się osadzić. Do wspinania obowiązkowo korkery podklejone mikrogumą przez szewca za kościołem na Zbawku. Uprząż: szyty na miarę Troll – osobiście przez Tokarzewską. Do kompletu dwa karabinki zakręcane Walter, ósemka i czeskosłowacki kask „cassida alpine special”. Po kilku dniach gnicia w mokrym namiocie na Pópiętrze wreszcie udało się przewspinać kilka klasyków typu wielbłądy, minogi itp. Widzieliśmy nawet słynnego Zyzaka na motocyklu WSK. Innym razem Rysiu poznał mnie z Blondynem. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że wbijemy kiedyś razem w ścianę El Capa. Pewnego dnia, kiedy stanęliśmy pod ociekającą deszczem Jarzębinką, Rysio z niezawodnym uśmiechem na twarzy i parasolem w rękę zapytał: – No, chłopaki, kto to prowadzi?

Staliśmy tak ze wzrokiem wbitym w mokrą ścianę, jakby szacując czy damy radę, odwracając chwilę odpowiedzi jak długo się dało, aż wreszcie odezwał się Bucek:

– Ja mogę iść.

Po takim przejściu staliśmy się murowanymi kandydatami na kurs taternicki. Wykłady na Elektronice (przyroda Tatr z Pomurnikiem, topografia z Baronem, sprzęt – Marco, Rysio – zjazdy, instruktor Kubań – taktyka i strategia i Siostra – wydawnictwa), ćwiczenia na bunkrach, testy, wertowanie WuHaPów, omawianie wariantów i niekończące się bicie piany z Nieciecem przy czarnej kawie i w kłębach papierosowego dymu, na stołkach baru „Słodki” przy Polibudzie. Oczekiwania na mistyczne Tatry. Na granit. Bo wtedy skały nie były celem samym w sobie, raczej kolejnym krokiem prawie każdego Łojanta (wtedy nie było wspinaczy, byli Łojanci) na drodze w Tatry. Pojechaliśmy z Nieciecem na Hałę, gdzie spotkaliśmy instruktora Gloglo. Robiliśmy po trzy drogi dziennie, bo Gloglo śpieszył się na pociąg w Kaukaz. Dalsza część kursu z Rysiem w Moku i Pięćstawach.

Wspinam się na Zamarłej! Dotykam legendy. Przypominam sobie opowieści, historie, nazwiska: Szczuka, Wrześniacy, Bronikowski, Skotnicówny. Przewijam w głowie słowa Przybysia:

Słyszę:

Kamieniuje tę przestrzeń niewybuchy huk skał.

*To – wrzask wody obdieranej siklawą z łożyska
I
gromobicie ciszy.*

*Ten świat, wzburzony przestraszonym spojrzeniem,
uciszę,
lecz –*

Nie pomieszczę twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr.

*To zgrzyt
czekana,
okrzesany z echa,
to tylko cały twój świat,
skurczony w mojej garści na obrywie głazu;
to – gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt.
Na rozpacz – jakże go mało!
A groza – wygórowana!*

*Jak lekko
turnię zawisłą na rękach
utrzymać i nie paść,
gdy
w oczach przewraca się obnażona ziemia
do góry dnem krajobrazu,
niebo strącając w przepaść!*

*Jak cicho
w zatrzęsniętej pięści pochować Zamarłą.*



1

To oznaczała dla mnie Zamarła: legendę i poezję.

Poznaję załogę kominkowej: Dzikiego, Starą Babę, Speleo i innych. Smak podgrzanych napojów alkoholowych „Zefir” mieszanych w kotle przez Kruszyńkę, prześlada mnie do dziś, gdy budzę się z krzykiem w środku nocy. Dalej Mnich! Matko, co się dzieje? Jestem na piku! Schodzę „przez płytę”. Znow dotykam historii – namacalnie, nurrzam się w epoce, którą najbardziej kocham – pierwszych zdobywców. Wycof w deszczu z Żabiego (było groźnie – hu huuuuu!). Potem egzamin w Betlejem i wymarzona Karta Tatarnika.

Istniała jednak grupa obrazoburców, którzy poszukiwali wyłącznie w skałach świętego Graala Cyfry, ewidentnie gardząc Górami i wełnianym swetrem. Poznać ich można było po kolorowych second skinach (marzyło się wtedy o tym ubranku tak jak teraz o pomarańczowym gorku mamuta). Elementem niezbędnym do zrobienia Cyfry był Przypak. Przypak najlepiej eksponowało się nosząc Bularkę. Łojant z Przypakiem odziany w Bularkę to po prostu Bularz. Pamiętajmy, że w celu osiągnięcia Przypaku ładowało się wtedy na Murku Trasy Łazienkowskiej czyli „Na Trasie”. Były to głównie trawer-

sy i bouldery polegające na pokonaniu ścianki na żywca aż do barierki. Dotyczyło to również „dużego rozdroża”, za przystankiem po drugiej stronie tunelu. Tylko niektórzy pamiętają takie formacje jak „dziurka Kubania” czy „ryska pederastów”. Po zrobieniu kursu tatrzańskiego naładowany wiedzą z historii taternictwa, gatunków endemitycznych, topografii Tatr, znając na pamięć kultowe dzieło Wacisa Sonelskiego „W skałę” – wracałem (już jako Taternik) w skały pożyczonym od rodziców fiatem 125p. Podjeżdżało się aż na Patelnię. Stosowałem wówczas niezawodny namiot Reda3 plus zestaw turystyczny „Czesław”: trzy krzeselka i składany stolik. Mimo że nabyłem niebiesko-zielony second skin, Cyfra niezmiennie nie pękała, natomiast browary – tak. Słynna była impreza w „Konkuren-

cji”, gdzie na harmonii wymiatał tajemny dziadulino. Znał wszystkie partyzanckie i żeglarskie kawałki. Po północy melanzky przeniósł się na pole namiotowe za Osrańcem. Postanowiono zainscenizować coś w rodzaju walki byków (dwóch). Zabawa polegała na tym, że na maskach jadących naprzeciw siebie samochodów siedziało dwóch załogantów (ściślej Zajac i jego kumpel), którzy ryczeli i udawali, że mają rogi. Kiedy w bliskiej odległości od siebie auta hamowały, ziomki zgodnie z zasadami dynamiki Newtona, wykorzystując nadany im pęd, wylatywały w przestrzeń po krzywej balistycznej, boleśnie acz widowiskowo zderzając się w powietrzu. Epickie. Byli też tacy, co w tym samym czasie parzyli dłonie kubkami gorącej herbaty i wpatrując się nieobecnym wzrokiem w ognisko, śpiewali Stachurę i Harasymowicza w rytm brzdąkania gitary, na której przygrywał długowłosy młodzieniec we flaneli i kraciastych gaciach z napisem Think Pink – widać było, że lubi wędrować po Beskidach i „oddawać dłoniom halnego włosy”.

W międzyczasie kurs u Rysia robił Peson. Łoił (wtedy się łoiło, nie wspinało) w czapce marynarskiej z napisem „kapitan”, nabytej w Łebie. Ten krótki epizod skalny w jego życiu zakończył się przezabawnym incydentem spalenia łąki za Okiennikiem w Rzędkach. Peson rozpałał juwla (to maszyna benzynowa). Polegało to na podlaniu juwla benzyną i zapaleniu go, aby się nagrzał. Błąd polegał na tym, że Peson uznał stopień podgrzania za niewystarczający i połał płomień paliwem z butelki PET, która również stanęła w płomieniach. Odrzucił ją z wrzaskiem byle dalej od namiotów. Pogorzeliśko. Znowu beka.

A, byłbym zapomniał, gwoli sprawiedliwości, jeszcze w tym sezonie stawiliśmy się z Pesonem pod ścianą Zamarłej, wyposażeni w podciąg bezalin (to po prostu 80-metrowa lina mniejszej średnicy, składana na pół), i młotki do wbijania gwoździ z garażu Taty. Haki – bydogskie,



2

kute – łyżki. Peson miał kask budowlany. Potem nastąpiło epickie przejście *Zacięcia Kunickiego* na czołwce filara Kopy Spadowej. Przejście nastąpiło „z lotną” wobec niemożności założenia przez prowadzącego stanowiska we wszechogarniającej zespół kruszyźnie.

W Rzędkach funkcjonowała wtedy doskonała noclegownia-ładownia. To obiekt sportowo-turystyczny (posiadał sztuczną ściankę) znany jako stodoła „U Stachowej”. Sklep spożywczy był wówczas prowadzony przez niejakiego Regana. Był to okres gwałtownego rozwoju działalności turystycznej i spadku działalności rolniczej w Rzędkach i Podlesicach. Siedząc kiedyś u Stachowej z kilkoma lokalami przy malinowym winie „Sen Sołtysa” w słotny poranek, byłem świadkiem jak jeden z uczestników naszego sympozjonu, podsumowując sytuację gospodarczo-społeczną wsi Rzędkowie stwierdził, że tak naprawdę został tylko jeden prawdziwy gospodarz w Rzędkowicach posiadający ziemię uprawną. Miał on we wsi z tego właśnie powodu ksywę „Rolnik”. Transformacja gospodarza otworzyła nam drogę w skały Zachodu. Stwierdziłem, że nie będę się wspiął w obrzydliwie śliskim wapieniu, na jakichś wyłamujących palce dziurkach, walcząc z brakiem stopni. Szkoda czasu i kasy. Zwłaszcza że cyfra wciąż nie pękała. Arco to było wtedy coś! Potem przysła fascynacja wspinaniem technicznym, hakowym. Pokonywanie dróg tylko na hookach siadających w dziurkach było jak rozbijanie bomby. Autor silnie zniechęca ewentualnych samorodnych naśladowców do powtarzania takich wyczynów. Autor podkreśla, że przejścia owe następowały w okresie, w którym Autor był przekonany o swojej nieśmiertelności. Posługiwanie się hookami bez uprzedniego przeszkolenia może sprawić, że naśladowca Autora może skończyć w Skrzyni.

Po okresie „yosemickim”, w którym gardziłem wszelką działalnością wspinaczkową niebędącą wspinaniem na jedynej słusznej ścianie – na El Capie, długo nie wracałem do oblesnej „mydelniczki”. Jeśli już to tylko z kursantami (jak ja lubię

tę robotę!). Kurs instruktorski robiłem w Bolechowicach i Kobylanach. Wisząc w ścianach Dolinki Kobylańskiej, pod wpływem „Włatcuf mój”, my – przyszli instruktorzy, zdzieraliśmy gardła, intonując niczym Czesio: „Alleluja, Alleluja” – stąd nazwa mojej szkoły wspinaczkowej „Wniebowzięci”. W tym roku na kursie skałkowym w ramach demonstracji techniki, wstawiłem się w – brrrrrrr – *Dziurki Marczaka* (bez kitu). Szlag by trafił – nie mogę w to uwierzyć, ale spodobało mi się te parę ruchów w ciepłej, białej płycie. Nawet przyjemne były to ruchy. (O matko, nie wierzę, że to napisałem).

Zatem czym są skały jurajskie dla mnie? Krokiem w Tatry? Wspomnieniami? Masą historii do opowiadania? Cyfrą? (No nieeeee). Megabeką? Miejscem, gdzie lubię przebywać? Miejscem pracy? Miejscem odpoczynku? Miejscem-gdzie-na pewno-spotkasz-jakichś-znajomych? Skupiskiem minerałów? Wszystkim po trochu chyba.

Wierzę, że skały są takim miejscem w czasoprzestrzeni, które nas zmienia w momencie przekroczenia jakiejś granicy. Nie wiem, może to jest już w Koziegłowach, a może w Lgocie albo dopiero w Morsku. Będąc tam, zachowujemy się inaczej niż w betonowej dżungli. Mówimy na „ty” do kompletnie obcych i nieznanym nam osób, a one się nie obrażają! Jesteśmy przyjaźnie nastawieni do innych ludzi! Na twarzach często gości uśmiech, padają żarty, nie patrzymy nerwowo na zegarek, a wręcz przeciwnie – nie jesteśmy świadomi (i chyba nie chcemy być) upływającego czasu. Znikają codzienne, miejskie wkurzenie i spina, a zamiast tego pojawia się jakiś spokój i wyciszenie, które pobieramy wraz z terenem i które trzyma nas jakiś czas po powrocie do miasta.

Wierzę, że skały jurajskie nie są jedynie przyrządem gimnastycznym, „odartym z estetyki torem przeszkód” służącym tylko do zrobienia cyfry. Stanowią po prostu kawał naszego życia, które tam zostawiliśmy.

Fotografie:

1. Pastor, Rysiczek i Peson. Fot. archiwum prywatne.
2. Masters of Stone: Pastor, Peson i Misio (w nosilkach). Fot. archiwum prywatne.



Kuba Jasiewicz

DZIECKO A WSPINANIE SPORTOWE



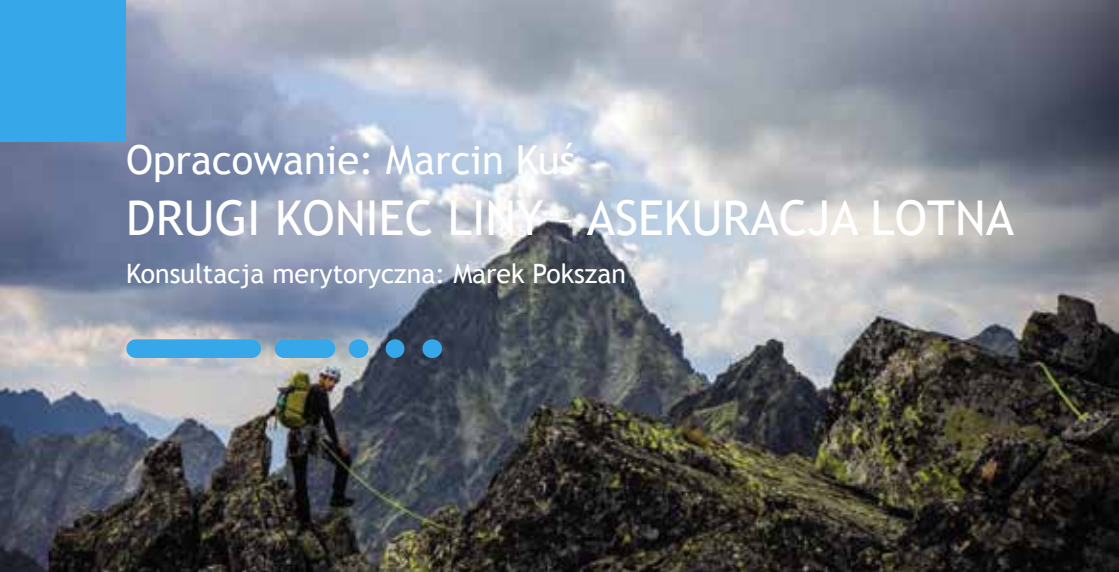
Pewne rzeczy trzeba mówić głośno, nie bać się niepewnych konsekwencji, odważnie stawić czoła niedowiarkom i dać świadectwo prawdzie – a prawda jest taka, że ewidentnie nic tak nie ułatwia poprawiania wyników w skałach jak zostanie ojcem...

Garść dowodów:

- długotrwałe noszenie kilku- lub kilkunastokilogramowego ciężaru na rękach znacząco poprawia siłę mięśni grzbietu i ramion – progres można zauważyć, gdy „ciężar” skończy min. trzy miesiące,
- częste schylenie się nie pozostaje bez pozytywnego wpływu na gibkość i ogólne rozciągnięcie,
- próby złapania ściąganych ze stołu szklanek i talerzy, nawet jeśli z reguły nieudane, ćwiczą refleks i koordynację,
- regularne pory posiłków ułatwiają utrzymanie, a nawet zbicie wagi, a jeśli jedzenie owsianki z bananem na śniadanie wejdzie ci w krew, to stopnie zamienią się w chwyt,
- w naturalny sposób wyeliminowanie imprez do rana w piątkowe wieczory ułatwi wstawanie bladym świtem i wyjazdy na Jurę,
- doping ważną rzeczą jest, dodatkowa osoba pod drogą krzycząca „dawaj!”, nawet jeśli brzmi to jak „dada!”, potrafi dać niezlego kopa (w górę),
- obecność małej przyszłości narodu wymaga pewnej kultury językowej, jak po kolejnym odpadnięciu spod łańcucha zamiast pełnego negatywnych emocji „k...wa...!” powiesz parę razy np. „0 rety...!”, to od razu łapiesz dystans...
- masz mniej czasu na wspinanie – to dostarcza motywacji i uczy szacunku do wstawki, która czasami po prostu musi być ostatnia i musi być udana, bo „mała zaraz się obudzi”; przy okazji poprawiasz swój OS.

Opracowanie: Marcin Kuś DRUGI KONIEC LINY – ASEKURACJA LOTNA

Konsultacja merytoryczna: Marek Pokszan



Pierwszy krok w stronę wspinania bardzo często jest nieprzemyślany. Za to każdy kolejny to już konsekwentne dążenie do doskonałości.

Zdobywanie wiedzy, zbieranie doświadczeń, zagłębienie w coraz to odleglejsze zakątki sztuki wspinaczkowej, doskonalenie technik i właściwe ich zastosowanie. Wspinanie to w zasadzie umiejętne asekurowanie się przed upadkiem. Właściwe wykorzystywanie chwytów, prowadzenie liny, odpowiednie ustawianie ciała, dobre rozpoznanie drogi. To też asekurowanie partnera za pomocą liny. Jest sporo technik asekuracji, wśród nich – asekuracja lotna. Asekuracja lotna polega na jednoczesnym wspinaniu się dwu- lub kilkuosobowego zespołu. To nie jest bardzo trudne zadanie, lecz nie w każdej sytuacji bezpieczne, a zatem nie zawsze godne polecenia. Wymaga dużego wyczucia i doświadczenia. Przed rozpoczęciem tak asekurowanej wspinaczki należy odpowiednio przygotować linę. Użycie pełnej długości normalnej liny asekuracyjnej utrudniłoby, a nieraz całkiem uniemożliwiło kontakt wzrokowy i głosowy, a także sprzyjałoby plątaniu się i niepożądanemu zahaczaniu liny o przeszkody terenowe. Zatem linę należy „skrócić”. W tym celu obaj wspinacze wiążą linę do uprzęży podwójną ósemką, a następnie nawijają na siebie od kilku do kilkunastu zwojów liny ukośnie na klatce piersiowej tak, aby odcinek łączący partnerów miał od 10 do 15 metrów. Linę biegnącą do partnera przekłada się dookoła zwojów i zawiązuje węzłem tak, aby nasz oplot nie rozleciał

się samoistnie podczas wspinaczki. Następnie na linę zawiązuje się małą kluczkę lub wyblinkę. Wpina się ją do łącznika uprzęży za pomocą dwóch karabinków, z których jeden musi być karabinkiem z blokadą (np. HMS). W razie odpadnięcia partnera zwoje nie będą się zaciskać, a ciężar przejmie uprzęż za pośrednictwem karabinków w łączniku.

Lotną stosuje się zwykle w terenie łatwym technicznie, a jej główną zaletą jest szybkie pokonywanie drogi. Warto zwrócić uwagę na fakt, że w wielu przypadkach nie wykonuje się jej poprawnie. Samo związanie się liną z partnerem nie stanowi żadnej asekuracji, choć często tak jest interpretowane. Stało się to przyczyną wielu tragicznych wypadków bardzo dobrych, a nawet słynnych wspinaczy. Brak przelotów między partnerami może wynikać z pośpiechu, zmęczenia, bagatelizowania ryzyka lub z odwiekania ich założenia. W takim przypadku mamy do czynienia po prostu z przenoszeniem liny. Jest to dopuszczalne wyłącznie w terenie pozbawionym ryzyka upadku! Jeżeli nie mamy takiej pewności, to pomiędzy wspinaczami powinny znaleźć się przynajmniej dwa przeloty albo powinni się oni rozwiązać. Wyobraźmy sobie sytuację, w której zespół porusza się granią lub stromym, eksponowanym zboczem i nagle jeden z nich odpada. Swobodna lina powoduje, że w takiej sytuacji jeden drugiego po prostu pociągnie za sobą. Doskonale wiemy, co znaczy masa razy przyspieszenie. . . Dlatego zasada co najmniej dwóch punktów asekuracyjnych musi być traktowana jako nieprzekraczalna. Jeśli odcinek liny, którym prowadzący dysponuje, okazuje się zbyt krótki, aby dotrzeć do miejsca pozwalającego na założenie przelotu, to prowadzący musi odwinąć z torsu odpowiednio oszacowaną liczbę zwojów, przewiązać „buchtę” i dopiero wówczas kontynuować marsz.

Do osadzania przelotów wykorzystuje się dokładnie taki sam sprzęt, jak podczas normalnej wspinaczki. O liczbie przelotów decyduje prowadzący. Jeżeli ma duże doświadczenie, może skorzystać z naturalnego ukształtowania terenu, prowadząc linię pomiędzy zębami skalnymi i stabilnymi blokami. Gdy prowadzący zużyje cały sprzęt, powinien zbudować stanowisko i ściągnąć drugiego lub resztę zespołu. W ten sposób odzyskany szpej umożliwi zespołowi dalszą asekurację. To również dobry moment na zmianę prowadzącego. Aby zminimalizować ilość stanowisk, należy przygotować znacznie więcej sprzętu niż byłoby potrzebne na wspinaczce z asekuracją sztywną w tym samym terenie.

Decydując się na asekurację lotną, wspinacze powinni być pewni swoich umiejętności i dobrze się rozumieć. Służy to dobrej synchronizacji poruszania się. Niezwykle istotne jest operowanie liną, która w zależności od potrzeby powinna być szybko skracać lub wydłużana. Nie może być zbyt naprężona, ponieważ przy każdym wolniejszym kroku będzie szarpała prowadzącego, ale też nie może mieć nadmiernego luzu. W zespole wieloosobowym sposobem na zminimalizowanie wzajemnego szarpania

jest wpięcie „środkowych” osób do liny za pośrednictwem tzw. wajchy (zbudowanej z kluczki i dodatkowego supła pod nią) lub ewentualnie za pomocą kluczki wydłużonej na ok. 20 cm. Podsumowując:

- asekurację lotną stosujemy na łatwych technicznie odcinkach wspinaczki, przede wszystkim gdy ma charakter trawersu;
- należy zachować co najmniej dwa przeloty między wspinaczami;
- jednoczesne wspinanie całego zespołu wymaga od wszystkich członków absolutnej koncentracji.

Wypadki z asekuracją lotną zdarzały się nawet wytrawnym wspinaczom. Dlatego technika ta może być stosowana tylko w terenie łatwym i gwarantującym możliwość tworzenia punktów przelotowych. Przede wszystkim natomiast musi być przemyślanym wyborem, ponieważ stanowi śmiały kompromis pomiędzy szybkością poruszania a bezpieczeństwem. Osobnego potraktowania wymaga temat asekuracji lotnej na lodowcu. Polecam wszystkim artykuł Marcina Rutkowskiego *Jak najbezpieczniej poruszać się po lodowcu?* opublikowany w *Taterniku* nr 3/2012 str. 56.

REKLAMA

KEEP CALM AND CLIMB

ARENA WSPINACZKOWA
WGORĘ

**najlepsze
wspinanie**
W NAJLEPSZEJ
LOKALIZACJI

ul. merliniego 2
(22) 245-36-88
wgore.eu

Marcin Chmieliński

KILKA LUŻNYCH UWAG O SPRZĘCIE

W trakcie klubowych wyjazdów i obozów spędziłem wiele wieczorów na dyskusjach z kolegami wspinaczami. Nieodmiennie, dyskusje te schodziły na tematy związane ze sprzętem i jego użytkowaniem, a także dotyczące tzw. patentów. Zorientowałem się, że niewiele osób, nawet wśród bardzo doświadczonych wspinaczy, ma wiedzę i świadomość dotyczącą budowy, ograniczeń i specyfiki użytkowania różnych elementów szpeju. Poniższy artykuł jest próbą zwrócenia uwagi kolegów na tę kwestię i w żadnym wypadku nie pretenduje do wyczerpania tematu.

Sam jestem miłośnikiem wspinania w stylu „light&fast” i próbuję zawsze w miarę możliwości styl ten utrzymywać. Jest oczywistą oczywistością, że wymaga on stosowania jedynie minimum najnowocześniejszego i najlżejszego sprzętu. Należy jednak mieć świadomość, że szpej, zwłaszcza ten z półki „ultra-light”, pomimo posiadania wszelkich koniecznych atestów, jest mniej trwały i ma mniejszy zapas bezpieczeństwa przy użyciu niż sprzęt tradycyjny, cięższy, ale solidniejszy. Naturalnie sprzęt lekki szybciej się zużywa i wymaga wcześniejszej wymiany, co wywołuje entuzjazm jego producentów.

Każde urządzenie lub narzędzie można zniszczyć lub uszkodzić przez niewłaściwe używanie. Dotyczy to również sprzętu wspinaczkowego. Pojawiają się tu dwa fundamentalne pytania. Pierwsze: co we wspinaniu jest niewłaściwym użytkowaniem sprzętu, innymi słowy co może spowodować jego zniszczenie w trakcie wspinania; i drugie: jak wiele ten niewłaściwie używany sprzęt jest nam w stanie wybaczyć? Innymi słowy, jaki jest jego zapas bezpieczeństwa (czyli przekładając na ludzki język, czy jest solidny i bezpieczny, czy nie).

Podręczniki wspinania i książki o bezpieczeństwie w górach są pełne przykładów niewłaściwego lub niebezpiecznego użycia sprzętu prowadzącego do wypadku wynikającego z niewiedzy lub braku umiejętności użytkownika, nie chciałbym więc tu ich powtarzać. Zaczęłem zastanawiać się, jak sama budowa poszczególnych elementów sprzętu (karabinków, przyrządów asekuracyjnych, kasków, mechaników itd.) może obniżyć stopień bezpieczeństwa użytkownika lub prowadzić do ich uszkodzenia. Mówimy tu oczywiście wyłącznie o szpeju najwyższej klasy posiadającym atesty, produkowanym przez najlepsze firmy i kupowanym za ciężkie pieniądze, często najdroższym w swoim rodzaju. Każdy element sprzętu wspinaczkowego jest przecież testowany w laboratoriach, w ściśle określonych warunkach i ze ściśle określonymi obciążeniami. No właśnie, prawdziwe wspinanie to nie laboratorium. Rysy, w których osadzamy friendly, z reguły nie są idealnie równoległe. Co się stanie, jeżeli lecący kamień trafi w nasz kask w miejscu innym niż miejsce uderzenia ciężaru w teście laboratoryjnym, trochę z boku, albo po pochyleniu głowy?

Poniższe przykłady mają na celu pokazanie, że zakres stosowania elementów sprzętu wspinaczkowego zależy w dużym stopniu od ich budowy, a wspomniane wcześniej niewłaściwe użycie może pojawić się w miejscu i czasie zupełnie niespodziewanym.

LEKKIE PRZYRZĄDY ASEKURACYJNE

Od kilkunastu lat jesteśmy świadkami wprowadzania przez producentów coraz lżejszych, cieńszych lin, a także lżejszych i mniejszych przyrządów asekuracyjnych. W ciągu ostatnich kilku lat na rynku pojawiło się sporo ultralekkich przyrządów asekuracyjnych. Doskonałym przykładem jest tu Mega Jul firmy Edelrid. Mega Jul jest wykonany ze stali nierdzewnej, a jego wymiary i masa (64 g) sugerują pozostawienie przez producenta bardzo niewielkiego zapasu wytrzymałości. Zasada działania jest identyczna jak np. Petzla Reverso lub BD ATC Guide, a więc przyrząd służy do asekuracji prowadzącego na linie pojedynczej lub podwójnej, zjazdów lub asekuracji górnej dwóch wspinaczy. Wątpliwości budzi zwłaszcza ta ostatnia funkcja, biorąc pod uwagę, że przekrój uszka, na którym wisi owych dwóch nieszczęśników, to ok. $6,5 \text{ mm}^2$ (dla porównania przekrój ucha ATC Guide to ok. $46 - 47 \text{ mm}^2$), a wskaźnik wytrzymałości przekroju tego ucha jest około 13 razy mniejszy niż ucha ATC Guide. Przyjmując wytrzymałość stali jako 500 MPa, uzyskujemy przybliżony wynik nośności tego uszka jako 6 kN (600 kg). Jest to bardzo mało, obciążenie takie może powstać przy jednoczesnym odpadnięciu obu wspinaczy asekuroowanych z góry (np. jeden z nich lecąc strąci drugiego, który jest nieco niżej). W celu potwierdzenia tych obliczeń, korzystając z dnia prezentacji firmy DMM, z którą nasz klub współpracuje, wykonaliśmy badanie niszczące Mega Julia na zrywarcie statycznej. Test generalnie potwierdził te przybliżone obliczenia, materiał uszka osiągnął fazę plastycznego płynięcia (uważaną za fazę zniszczenia materiału) przy obciążeniu ok. 5,5 kN, a zerwanie nastąpiło przy obciążeniu ok. 12 kN, co mogło wynikać ze zbyt szybkiego zadawania przyrostu obciążenia. Poniżej zdjęcie testowanego przyrządu:



Inną kwestią związaną z ekstremalnie małymi rozmiarami i masą przyrządu jest jego nagrzewanie się przy zjazdach. Przy wydzieleniu się identycznej ilości ciepła w czasie jednostajnego zjazdu na różnego typu przyrządach zjazdowych Mega Jul nagrzej się o 35-60% bardziej niż masywniejsze przyrządy (np. ATC Guide w starej wersji – 112 g), co może prowadzić do zużycia oplotu liny, a przy próbie jego wypięcia po zjeździe – poparzenia ręki i zgubienia przyrządu.

KARABINKI

Wszystkie karabinki wspinaczkowe są testowane na trzy rodzaje obciążeń: podłużnie, poprzecznie i podłużnie przy otwartym zamku karabinka. Kupując sprzęt, zwracamy uwagę na te wartości, ale z reguły nawet najlżejsze produkowane karabinki spełniają podstawowe wymaganie wytrzymałości 2200 kG przy obciążeniu w osi podłużnej na zamkniętym zamku. Warto jednak wiedzieć, że wszystkie te testy są realizowane w płaszczyźnie karabinka. Żaden karabinek wspinaczkowy nie jest testowany na obciążanie poza swoją płaszczyznę, czyli na zginanie poprzeczne. Sytuacja zginania poprzecznego nie jest wbrew pozorom we wspinaniu niezwykła – wystarczy, że karabinek wpięty w ucho spita opiera się środkiem korpusu o skałę lub jest źle (odwrotnie) wpięty w stosunku do kierunku poruszania się wspinacza.

Taka sytuacja jest niebezpieczna, i to tym bardziej, im cieńszy i bardziej „odchudzony” w przekroju poprzecznym jest nasz karabinek, zwłaszcza że często dochodzi również do otwarcia opartego



o skałę zamka. Dużo większą szansę przeżycia takiego błędu dają nam karabinki o masywniejszym przekroju, najlepiej kołowym

niż „płaskie” karabinki używane w ekspresach. Warto pamiętać, że tzw. wskaźnik wytrzymałości przekroju jest funkcją szerokości i kwadratu wysokości zginanego przekroju i zależy od ułożenia przekroju w stosunku do płaszczyzny zginania. Wytrzymałość na zginanie karabinka w poprzek jest 3–5 razy mniejsza niż na zginanie w jego głównej płaszczyźnie, a w niektórych szczególnych przypadkach nawet siedmio- lub ośmiokrotnie (np. stary typ karabinka Petzl Spirit przy zginaniu korpusu w najcięższym miejscu przy zamku). Możemy to sobie uświadomić, próbując złamać linkę w pozycji „na sztorc” i „na płask” – różnica w „sile”, a dokładniej w momencie zginającym, jaki musimy przyłożyć, żeby zniszczyć ten sam przedmiot na dwa różne sposoby, jest znaczna. Używając lekkich karabinków o pocienionym korpusie musimy mieć więc świadomość, że są one bardzo wrażliwe na obciążenie (zginanie) poprzeczne i zwracać uwagę na ich ułożenie.



Warto tu nadmienić, że testy niszczące przeprowadzone na zrywacze zapewnionej przez DMM (podłużnie przy zamkniętym zamku) różnych karabinków używanych lub upuszczonych ze znacznej wysokości generalnie nie wykazały obniżenia wytrzymałości karabinków. Karabinki stare (15–23 lata) z bogatą historią użytkowania nadal zachowują wytrzymałość nominalną. Karabinki mające za sobą lot ze znacznej wysokości i noszące jego ślady wytrzymały 85–90% wytrzymałości nominalnej, a niektóre osiągały pełną wytrzymałość. Oczywiście, nie należy stąd wyciągać wniosku, że możemy bezpiecznie i bez konsekwencji używać sprzętu znalezione pod ścianami i niewiadomego pochodzenia.

Przy okazji dywagacji na temat karabinków należałoby wspomnieć o pewnym bardzo niebezpiecznym zjawisku, z którego niewiele osób zdaje sobie sprawę. Rzecz dotyczy głównie karabinków wiszących w stałych ekspresach na drogach skałkowych. Z czasem, w trakcie wielu prób prowadzenia kończących się lotami i opuszczeniem wspinacza na karabinku, liny wycierają w nim rowek. Badania niszczące tak zużytych karabinków dały zadziwiający wynik – ich wytrzymałość na rozciąganie spadała w niewielkim stopniu w stosunku do wytrzymałości nominalnej. Pojawia się

jednak inna, niebezpieczna rzecz – wytarty karabinek ma ostre krawędzie, które przy locie dają efekt rwania liny na kancie. Wbrew naszym oczekiwaniom, zniszczeniu ulega lina, a nie karabinek. Przekonał się o tym jeden z naszych kolegów klubowych, który przy sportowym locie na takim karabinku wykorzystał osobisty zapas szczęścia i zerwał tylko oplot liny. W tym samym mniej więcej czasie w piśmie *Kletter* ukazał się artykuł opisujący wypadek śmiertelny na skutek pęknięcia liny pojedynczej przy podobnym locie o skałkowym współczynniku odpadnięcia (*Kletter* nr 9/2013 str. 84). Nawet idąc na drogę sportową wyposażoną w komplet ekspresów warto więc mieć kilka własnych karabinków lub ekspresów i użyć ich do przedłużenia stałych ekspresów z zużytymi karabinkami, jeżeli takie napotkamy.

KASKI

Od mniej więcej dziesięciu lat następuje „zmiana pokoleniowa” na rynku kasków. Tradycyjne kaski pełne są powoli wypierane przez lekkie produkty piankowe wzmocnione zewnętrzną skorupą, zazwyczaj z poliwęglanu. Należy podkreślić, że w przeciwieństwie do tradycyjnych, solidniejszych produktów (np. Edelrid Ultralight czy BD Half Dome), część kasków piankowych nie jest atestowanych na przebijanie stożkiem, są one reklamowane jako „rock climbing helmet”. Tendencja produkowania coraz lżejszych, za to mniej odpornych kasków osiągnęła apogeum w przypadku dwóch produktów: Petzla Sirocco, kasku ważącego 165 g i wykonanego w całości z pianki polipropylenowej, bez zewnętrznej skorupy oraz BD Vapor, kasku ze skorupą, oba z licznymi i dużymi otworami wentylacyjnymi. Kaski te, atestowane jako wspinaczkowe mają znaczną część chronionej powierzchni nieosłoniętą, gdyż są tam wycięte właśnie te otwory. BD Vapor w widoku z góry i z boku wygląda tak jak na obrazku poniżej: Kask ten, jak reklamuje BD, wytrzymuje test na uderzenie stożkiem i jest atestowany CE (ale nie ma atestu UIAA), musimy jednak mieć świadomość, że testy polegają na uderzeniu w najwyższy punkt kasku, mniej więcej w środku trójkąta na czubku głowy oraz w przednią część nad czołem wspinacza (oba testy w osi symetrii



kasku). W prawdziwym życiu kamienie nie celują tak dokładnie i można sobie wyobrazić, co może się stać, kiedy stożek testowy (lub kamień) trafi nienormowo w któryś z otworów. Tak więc, używanie ultralekkich kasków piankowych lub kasków o dużym stopniu perforacji w rejonach górskich z dużym prawdopodobieństwem wystąpienia kruszyny (np. Dolomity, Karwendel) jest ryzykowne. Kaski takie, choć wygodne i chroniące głowę w przypadku uderzenia nią o skałę np. w trakcie lotu, nie zapewnią wystarczającej ochrony całej głowy przed spadającymi kamieniami.

MECHANIKI

Przykładem mechanika, który jest wrażliwy na zniszczenie podczas użycia, jest Link Cam firmy Omega Pacific. W trakcie wspinania w Alpach kilkakrotnie natknąłem się na tkwiące w rysach link camy zniszczone zawsze w ten sam, charakterystyczny sposób – na skutek rozerwania cieniutkich uszek, w których są osadzone ośki krzywek. Zacząłem zastanawiać się nad tym zjawiskiem i doszedłem do wniosku, że zniszczenie tego przyrządu może się wydarzyć szczególnie łatwo po osadzeniu go w łukowej, załamanej lub nierównej rysie. Przy obciążeniu tak osadzonego mechanika wywołałym lotem, schemat sił działających na krzywki przedstawiam poniżej:

Aby uzyskać pojęcie, o jakich siłach poprzecznych mówimy, założmy, że wykonujemy średnio ciężki lot na link camie #1 (wytrzymałość wg producenta to 14 kN czyli 1400 kg) osadzonym jak wyżej, obciążając go siłą 10 kN, a więc poniżej wytrzymałości nominalnej. Aby utrzymać lot, każda z krzywek przejmie ok. 2,5 kN obciążenia w formie tarcia statycznego. Aby taka siła wydzieliła się na krzywe, siła nacisku krzywki prostopadle do powierzchni skały to ok. 9 kN, a siła działająca wzdłuż osi krzywki to 10 kN. Założmy też na potrzeby tego przykładu, że kąt odchylenia rysy od linii prostej to 45 st. Siła nacisku krzywki na skałę działa ukośnie w stosunku do podłużnej osi krzywki, pojawi się więc siła poprzeczna o wartości

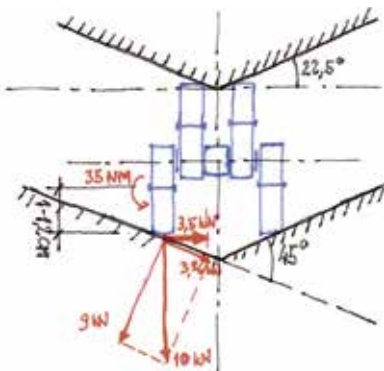
ok. $10 \text{ kN} \cdot \sin(22,5 \text{ st}) \cdot \cos(22,5 \text{ st})$ czyli 3,51 kN (351 kg!). Siła ta wywołuje moment zginający o wartości ok 3540 Nm (zależnie od ramienia działania siły, a więc szerokości rysy), który może spowodować uszkodzenie. Obliczenie to jest przybliżone, ale uświadamia, że siły poprzeczne dążące do zniszczenia połączenia elementów link camy są liczone w setkach kilogramów. A poniżej efekt zadziałania takiej siły:



Warto tu nadmienić, że układ sił i mechanizm prowadzący do zniszczenia elementu (krzywki) zależy tylko od geometrii rysy i sposobu osadzenia przyrządu. Jest on taki sam, niezależnie od typu i producenta mechanika. To, czy przyrząd ulegnie uszkodzeniu, czy nie, zależy wyłącznie od solidności jego budowy, czyli, upraszczając, grubości i masywności elementów obciążonych momentem zginającym. Łatwo to sobie uświadomić, oglądając porównanie budowy i grubości krzywek np. link camy i camalota BD.



Wniosek – należy zwracać baczną uwagę na sposób osadzenia mechaników o „zegarmistrzowskiej” budowie mechanizmu pod kątem możliwości powstania sił poprzecznych zginających krzywki. Paradoksalnie, duże rozmiary będą bardziej narażone na zniszczenie ze względu na większe momenty zginające spowodowane większym ramieniem działania siły, przy mniej więcej takiej samej grubości „uszek”, w których są osadzone ośki.



Marcin Bończa-Tomaszewski

SEKRETY MISTRZÓW

A.D. 2015



Lubimy proste wytyczne i jasne, zwarte odpowiedzi. Skoro i tak musimy poświęcać energię na pogodzenie sportu z codziennymi obowiązkami, chcemy zająć się wspinaniem, a nie „dietowaniem”. Uwierzyć, interesujących nas prawideł nie da rady ująć w jednym zdaniu typu „Jedz mniej, ćwicz więcej”, mimo że staram się przedstawiać wszystko, co najważniejsze w najprostszy możliwy sposób. W poprzednim wydaniu *A/Zero* (nr 22) był TOP 4. W tym roku pójdę o krok dalej i przybliżę raptem dwie zasady do wdrożenia w sezonie 2015 – pora opanować je po mistrzowsku.

Czasem wydawałoby się, że dieta czy trening to proste zasady, które wystarczy wdrożyć w codzienność, ale każdy z aspektów składa się z wielu elementów – trzeba je poznać, zrozumieć i odpowiednio zastosować w swoim przypadku. Przez ponad połowę mojego życia wspinam się, trenuję i eksploruję żywieniowo-suplementacyjny świat. W tym czasie spotkałem wiele osób, które pragnęły być w lepszej formie na różnych polach: od sportu, po zdrowie i sylwetkę. W licznych rozmowach, pomiędzy sprawami czysto teoretycznymi, zawsze przewijało się pytanie: jak rozpocząć zmianę, jak działać, żeby faktycznie móc wykorzystać swój genetyczny potencjał i osiągnąć cel? Oto rozwiązanie.

1. JEDNA ZMIANA W CZASIE

Wybierz sferę, w której odczuwasz braki i poświęć jej maksimum uwagi. Zdecyduj się tylko na pojedynczą zmianę, zrób tylko jeden skuteczny krok, najlepiej od zaraz. Jeśli do tej pory na Twoim talerzu lądowały dwie porcje warzyw dziennie, to już dziś zjedz trzy. Boisz się, że wskutek spożywania większej ilości protein będziesz wyglądać niczym kulturysta – zacznij stopniowo dokładać różne produkty białkowe (błagam, tylko nie nabiał, większość osób i tak już go je codziennie) do każdego posiłku. Bądź konsekwentny i obserwuj rezultaty. Jeśli po 2–6 tygodniach z całą pewnością stwierdzisz, że nowy

nawyk nie sprawia problemów, wybierz kolejny punkt z listy i nadal trzymaj się planu.

Czy mogę wprowadzać więcej zmian? Tak, jeśli chcesz trwonić energię. Uwierzyć, mało kto jest w stanie samodzielnie wprowadzić trwałe zmiany, zmienić swoje nawyki, porywając się na plan maksimum. Jesteś bardzo młody, masz mnóstwo czasu i wsparcie otoczenia? Istnieje pewne prawdopodobieństwo sukcesu. W innym przypadku nie kombinuj, tylko zastosuj tę prostą metodę jednej zmiany w czasie umożliwiającą progres przez całe życie.

2. CODZIENNIE JEDZ PRAWDZIWĄ ŻYWNOSĆ ZAWIERAJĄCĄ JAK NAJWIĘCEJ ESENCJONALNYCH SKŁADNIKÓW

To proste. Zanim zaczniemy się zastanawiać, ile dokładnie potrzebujemy białka, tłuszczów i węglowodanów, po prostu jedzmy żywność, która zawiera najwięcej esencjonalnych składników odżywczych koniecznych do odpowiedniego funkcjonowania. Niezbędne składniki odżywcze wytwarzane są przez organizm w niewystarczającej ilości, dlatego muszą być dodatkowo dostarczane z zewnątrz. Zaliczamy do nich: 9 aminokwasów, 2 nienasycone kwasy tłuszczowe omega-3 i 6 (DHA, AA i ich prekursorzy), 13 witamin i 17 składników mineralnych. Czym więcej niezbędnych składników w jednostce energii, tym większa gęstość odżywcza.

Być może będzie to zaskakujące, ale w rankingu gęstości odżywczej nie błyskają produkty powszechnie uznawane za 'zdrowe': z dużą ilością błonnika, wapnia, a dostarczające niewiele cholesterolu i tłuszczów nasyconych. Taka żywność nie musi być 'zła', jednak nie ma przywileju nazywania jej najzdrowszą. Jakie produkty zawierają najwięcej składników potrzebnych do życia? W kolejności malejącej: podroby, ziola

i przyprawy, nasiona i orzechy, ryby i owoce morza, wieprzowina, wołowina, jaja, nabiał, surowe warzywa, dziczyzna, drób, strączki, przetworzone mięso, warzywa (gotowane puszcowane itp.), oleje roślinne, owoce. Niemal na samym końcu znajdują się zboża, przed rafinowanymi tłuszczami i przetworzonymi produktami.

A co z żywnością oferującą składniki warunkowo niezbędne (względnie egzogenne, mogą być syntetyzowane wewnątrz ustroju z innych składników egzogennych) albo inne, które oddziałują wybitnie pozytywnie na organizm? Pod względem ważności są drugorzędne, ale, jak potwierdza nauka, warto uwzględnić żywność obfitującą w fitochemikalia (m.in. dlatego jemy warzywa i owoce), probiotyki, kreatynę, karnitynę, Q10 czy w węglowodany karmiące 'dobre' bakterie (skrobia oporna). Zobaczmy, jak to wszystko mogłoby wyglądać w praktyce.

Powiedzmy, że chciałbyś zrobić mały upgrade swoich posiłków, a na ostatniej posiadówce w barze U Stacha udało mi się namówić Cię na wykorzystanie zasady ośmiu prób (testujesz 8 razy i dopiero potem oceniasz). Padło na królową podrobów – wątróbkę cielęcą. Pokrojona w plastry wrzucasz na patelnię z odrobiną oliwy z oliwek, smażysz krótko z obu stron, na koniec przyprawiasz. Szybka kulinarna akcja, po której nie musisz już martwić się o braki esencjonalnych składników. A jeśli czujesz się kuchennym ninją, możesz takie danie przygotować np. z cebulą, jabłkiem i tymiankiem.

Spójrzmy na inny scenariusz. Tym razem upichciłeś pierś z indyka. Proteiny są, ale żeby uzupełnić brakujące Składniki Mocny, przydałoby się dodać trochę surowej zieleniny. Liść sałaty lodowej niestety nie wystarczy, postaw raczej na

jarmuż, sałatę rzymską, boćwinę, szpinak, szczypior, natkę pietruszki, zieloną paprykę. A w letnim sezonie hipsterskich targów nie bój się zidentyfikować rukwi wodnej, kapusty chińskiej (bok-choy), liści kalarepy, musztardowca, endywii i liści mniszka.

W trzeciej odsłonie filmu pt. SZTUKA ŻYWIENIA zmęczony wpinacz postanawia w resta zaopatrzyć się w prowiant. Oprócz odwiedzenia supermarketu, wstępuje do lokalnego gospodarza i kupuje

prawdziwy wiejski boczek, który dostarczy nie tylko mnóstwo energii, ale białko, jednonienasycone kwasy tłuszczowe oraz całą gamę innych ważnych składników (m.in. witamina B12, tiaminy, ryboflawina, cynk, selen). Parę plasterków wykorzystuje do podsmażenia innych produktów np. fasoli, (którą podkrađa swojemu wegetariańskiemu towarzyszkowi), a dodając zioła i przyprawy uzupełnia profil odżywczy posiłku.

Jeśli powyższe scenariusze do Ciebie nie przemawiają, zapewniam, że możemy popracować nad tysiącem innych, w tym wersji wege. Nie spożywając produktów pochodzenia zwierzęcego nie jesteś na straconej pozycji. Jednym z rozwiązań

jest wybór najbogatszych w niezbędne składniki produktów roślinnych i odpowiednie ich przygotowanie tak, by zwiększyć biodostępność (zmniejszyć niekorzystne działanie kwasu fitowego, lektyn itp.), choćby poprzez moczenie, kiełkowanie i fermentację. Jedna zasada, różne scenariusze i wiele rozwiązań.

Wspinamy się po to, by lepiej żyć. Jedzmy, żeby lepiej się wspinąć – tego właśnie życzą czytelnikom *A/Zero* na najbliższy sezon 2015.



Jan Gondowicz

Dom

Blisko trzydzieści lat temu, raz jeden w życiu, wzniosłem dom. Nie całkiem sam. Była nas piątka, z czego dwie damy trudniły się głównie intendenturą. A że w moim życiu nic nie bywa normalne, dom powstał nad Morskim Okiem, tym w Tatrach. Że jednakowoż (patrz wyżej) – stanąć mu przyszło spory kawałek od wody, że dwa kilometry szosą. Domu już nie ma (był schronem zimowym Polskiego Związku Alpinizmu) i nie ma już wśród żywych jego stałego dzierżawcy, zwanego czule Ascetą. Została więc tylko opowieść.

Tak zwaną duszę przedsięwzięcia i główną siłę roboczą wcielił mąż nadludzkich rozmiarów, które (pod nieobecność tegoż) przyjąłem zamykać w definicji: „chłop jak mурowany wychodek na czterech kwadratowych kołach”. Występować zwykł w szortach w hawajskie palmy i purpurowym turbanie z ręcznika. Resztę kryła siwa broda do pępka. Numerem dwa był niżej podpisany w trzech ortalionach (niemal dzień w dzień padało), kunsztownie wdziwanych z uwzględnieniem interferencji dziur. Działalem na kalenicy, na którą nadczłowiek nie miał wstępu, bowiem zagrażał konstrukcji. Trzecim bywał od czasu do czasu kolega z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu oraz w służbowym wdzianku, w którym nie przypominał ani taternika, ani cieśli. Był szybki jak piorun i znał się na rzeczy. Bo też parametry mieszkalne domku wielce przypominały wagon.

Budynek powstawał na nieistniejącym już dziś parkingu, usypanym przy szosie, by zwabić ceprów do pobliskiego pawilonu z piwem, który też w swoim czasie miał stać całkiem gdzie indziej. Obrys chałupy nie mógł pod żadnym pozorem przekroczyć wymiarów cokołu dawnej budki parkingowej, więc gmach poszedł w górę. Później się okazało, że mieści gładko siedemnastu wspinaczy i furę mokrych ciuchów oraz, w osobnym gniazdku, Ascetę z kolejną wybranką. Co jakiś czas o północy wjeżdżała wysoce nielegalna ciężarówka z budulcem. Rozładować trzeba ją było migiem. Pomnę, jak po trzydziestym kursie z naręczem dech podano mi coś z paki i jak z tym naraz siadłem. Były to oprawne w dębową futrynę podwójne, także z dębu, drzwi antyniedźwiedziove, okute żelazem. Albowiem sławna Magda grasowała w najlepsze. Po zmierzchu strach brał iść na stronę. Raz z tej przyczyny mościliśmy się do snu na piętrze, dość jeszcze ażurowym. Plecak pełne jadła zostały jednak na dole, bo by się domek złożył. „A co, jak przyjdzie niedźwiedź?” – spytałem, zasuwając zamek śpiwora. Tu przypomnę, iż żarcie było na kartki, przy tym rejestrowane w Warszawie. W mroku ruszyło się obok cielsko współmieszkańca. Dobiegło mnie trzeszczenie

drabiny, a po chwili ciężkie sapanie. Łups! Latarka ukazała tuż przed moim nosem głaz kalibru dorodnej głowy kapusty. „Rozumiesz, on przyjdzie, a ja wtedy za ten kamol i trach!” – „A jak nie trafisz?” Sekwencja trzeszczeń i stękań powtórzyła się co do joty – ujrzałem drugi głaz. Z obawy o budowlę wołałem na tym poprzestać.

Jakiś czas potem posyłałem dach gontem, rzecz jasna od północy, gdzie sięgał niemal gruntu. Mój partner działał na słonecznym południu. Na dole szło mi dobrze, ale od szóstej linii gont jał odstawać od krokwi. Podłożyłem listwę. Przy siódmej linii musiałem podłożyć już łąkę, od ósmej – deskę całówkę. Gdy wielkim młotem pobijałem krokwiaki, łomot zwabił współtwórcę. Chwilę patrzył, po czym zawezwał mnie na piętro. Ścisłe w głowach wszystkich prycz, co dziesięć centymetrów, sterczały straszne ostrza wielkich gwoździ. „Ostatni raz ci pomagam!” – usłyszałem, po czym: „Tnij!”. Dach zatrzeszczał i gwoździe wylazły jeszcze na trzy palce. To mój zbawca, stanąwszy na piętach na drabinie, przeniósł na dach cały ciężar kolosalnego organizmu. Na tych uciętych gwoździach robiły się potem zimą śliczne czapeczki szronu.

Schron musiał być zimowy z braku kanalizacji: trudno było wszak wkopać się z szambem w parking, a gdzie indziej zawartość spyływałaby potokiem do nieodległej leśniczówki Wanta. Na zimę zaś stworzyliśmy konstrukcję w formie szafotu, na której wznosił się słodki domek z serduszkami w drzwiach. Z lubością wycinałem je dłutem. W pobliżu czekał rząd plastikowych beczek o hermetycznym zamknięciu. Na wiosnę te same beczki, groźnie wzdęte, prażyły się w słońcu z drugiej strony przybytku. Każda nowo podtoczona pusta beczka zapewniała akustyczne atrakcje. Kto chciał i nie chciał, mógł poznać nauszenie potencjał powiedzenia „s..... w banię”.

Gdy wreszcie przywieziono okna, także wraz z futrynami, mocowaliśmy je w taki sposób, że jedno trzymało, drugie kontrolowało wasserwagę, a trzecie (wiadomo, kto) raz a dobrze waliło młotem. Małe okno w kuchni, średnie w ścianie szczytowej poszły jak z płatka, krótko mówiąc, mieliśmy już okna w małym palcu. Przyszła pora na wielkie okno w „salonie”. Chwila napięcia, bum!! – i wszystkie szesnaście skrzydeł okiennych spadło z zawiasów na ziemię. Wstawiliśmy całokształt odwrotnie! I nic a nic się nie stłukło!

Deszcz padał... Z mijających nas ceprów coraz to odrywał się ktoś znużony: „Panie, czy już Morskie Oko?” – „A jakże!” – odpowiadał mój mistrz. W istocie ponad lasem wyzębiały się szczyty. – „A gdzie jezioro?” – „To pan nie wie, że zawsze co jesień spływa?” I zbaraniały ceper wlepił wzrok w mokrą kostkę parkingu i kratki ściekowe... Innym razem ktoś inny, pewien, że wszystko w Tatrach jest dla wszystkich, natarł na Obermajstra w jego pirackim stroju pytaniem: „A pan tu czym handluje?” – „Żywym towarem!” – wrzasnąłem z dachu. I w rzeczy samej, ledwo przeszło lat parę, Zbyszek Skoczylas – bo o nim wszak tu mowa – powołany został w wolnej Polsce na stanowisko Pełnomocnika Rządu do spraw Uchodźców. Czyż nie bywam prorokiem? Aż wreszcie przyszła chwila, że z paru ostatnich szczap zmajstrowałem ostatni stołek na trzech nogach. Zamietliśmy wióry. Bezczelnie zerwałem plombę na parkingowej mufie, wkręciłem korki, zabłysło światło. Słowem, było po wszystkim. Jeśli to dziś wspominam, to zwłaszcza dlatego, że jeden jedyny raz w życiu tak długo, od połowy lipca do połowy października, nie miałem w ręku żadnej książki.

Andrzej Kurowski

ALPEJSKIE CZTEROTYSIĘCZNIKI

– polskie ślady

Kompletowanie wejść na czterotysięczne szczyty Alp jest konkurencją o wiele starszą i bardziej dostępną dla ogółu wspinaczy niż zdobywanie Korony Ziemi.

W *A/Zero* nr 1(20)/2012 opisywałem swoje doświadczenia z alpejskimi czterotysięcznikami oraz w skrócie historię wspinaczy, którzy kolekcjonowali wejścia na najwyższe szczyty Alp. Ponieważ wśród nich znaleźli się i Polacy, chciałbym przypomnieć ich dokonania.



Kolekcjonowanie gór tej klasy ma w Polsce długą historię. Już *Taternik* nr 5-6 z 1931 r. w notatce *Czterotysięczne szczyty alpejskie* omawiał tę konkurencję i podał polskich rekordzistów: Adama Karpińskiego (19 szczytów) i Edwarda Janczewskiego (12 szczytów). Przy okazji warto wspomnieć, że Karpiński był postacią wybitną – pionierem taternictwa zimowego (m.in. próba zimowego przejścia grani Tatr), a w latach późniejszych organizatorem wypraw andyjskich i pierwszej polskiej wyprawy w Himalaje na Nanda Devi w 1939 r., gdzie zginął w lawinie.

JERZY HAJDUKIEWICZ I JEGO CZTEROTYSIĘCZNA KOLEKCJA

Pierwszym i jedynym jak dotychczas Polakiem, który dorobił się pełnej kolekcji czterotysięczników był Jerzy Hajdukiewicz – taternik, ratownik górski, lekarz, wreszcie uczestnik wypraw na ośmiotysięczny Dhaulagiri w Himalajach Nepalu: szwajcarskiej w 1958 oraz międzynarodowej w 1960, która dokonała pierwszego wejścia na ten szczyt. Jednak to w Alpach spędził Hajdukiewicz najważniejsze lata swojego życia. Być może nie stałoby się tak, gdyby... nie wojna. Początkujący, ale wybijający się już taternik (m.in. pierwsze wejście na popularny obecnie Filar Staszla na Granatach) znalazł się w 1940 r. w armii polskiej we Francji, a następnie po jej klęsce w Szwajcarii, gdzie internowany przebywał przez pozostałe lata II wojny światowej. Tam wraz z innym znanym taternikiem Maciejem Mischke założył Klub Wysokogórski Wintertthur (1942–1946), tam też poznał Alpy. Na pierwszy swój

czterotysięcznik – Piz Bernina granią Bianco – Hajdukiewicz i Mischke weszli w 1942, a w następnych latach dokonali m.in. przejść północnych ścian Lyskamm i Dent d'Hérens. Mimo ograniczeń i trudności związanych z internowaniem, wspinali się dużo (przykładowo w tym okresie Mischke dokonał 110 wejść na szczyty alpejskie, w tym również i nowymi drogami). Po zakończeniu wojny Hajdukiewicz pozostał wierny Alpom. W 1947 r. dokonał pierwszego polskiego przejścia Ostrogi Brenvy na Mont Blanc, a dziesięć lat później północnej ściany Gross Fischerhornu w Berner Oberlandzie. W czasie tego samego wyjazdu brał udział w słynnej akcji ratunkowej na północnej ścianie Eigeru (międzynarodowy zespół z udziałem

wia, ale postanowił zrezygnować z wyczynowej działalności i wtedy ponownie pojawiły się czterotysięczniki. Jak sam o tym pisał: *Początkowo nie myślałem o wejściu na wszystkie czterotysięczniki. Pociągały mnie wielkie ściany lodowe, ale po pierwszym zimowym przejściu północnej ściany Dent d'Herens w 1964 r. – miałem wówczas 45 lat, a okres „burzy i naporu” już był poza mną – myśl ta zaświatała mi w głowie. Miałem wtedy 26 czterotysięczników i stwierdziłem, że warto zastanowić się nad pełną kolekcją.*

Studiując literaturę górską, Hajdukiewicz stanął przed problemem – ile właściwie jest alpejskich czterotysięczników? Według różnych autorów rozbieżności sięgały od 60 do na-



uczestników polskiego obozu w Grindenwaldzie wydobyl wówczas ze ściany włoskiego alpinistę Claudio Cortiego – była to pierwsza zakończona powodzeniem akcja ratunkowa na Eigerwand). Sportową działalność Hajdukiewicza przerwał wypadek na Dent d'Hérens zimą 1964. Wraz z Krzysztofem Berbeką dokonali wówczas pierwszego zimowego przejścia *Drogi Welzenbacha* na północnej ścianie tego szczytu. W zejściu zespół spadł lodowym stokiem i obaj wspinacze doznali obrażeń. Akcja ratunkowa ze względu na niekorzystne warunki trwała kilka dni. Poważnie poszkodowany Berbeka – ze skomplikowanym złamaniem obu nóg – w wyniku powikłań zmarł w szpitalu w Zurichu. Hajdukiewicz wrócił do zdro-

wet 92 szczytów. Przyjmując zasadę, że w rachubę wchodzi tylko najwyższy punkt danej góry, a nie niższe, drugorzędne wierzchołki, w rezultacie selekcji Hajdukiewicz przyjął listę minimalną 57 samodzielnych szczytów czterotysięcznych, co było zbliżone do monografii ich pierwszego zdobywcy Błodiga (ok. 60 szczytów) i znalazło akceptację wybitnego znawcy Alp Toniego Hiebelera.

Realizacja zaplanowanego zamierzenia zajęła Hajdukiewiczowi następne 26 lat. W towarzystwie różnych partnerów, którzy, jak sam pisał, „decydowali się podporządkować swoje plany jego kolekcjonerskiej pasji”, do 1976 r. wzeszedł na wszystkie czterotysięczniki na terenie Szwajcarii, a w ciągu

następnych czterech lat na pozostałe w Masywie Mont Blanc i Alpach Delfinatu. Dwukrotnie wracał z Alp z pustymi rękoma z powodu niepogody. To co najtrudniejsze pozostawił na sam koniec – wierzchołki Grandes Jorasses, Aiguille Verte czy Aiguille Blanche, nawet w wejściu drogami normalnymi nie są i obecnie przedsięwzięciem prostym, ani tym bardziej bezpiecznym. 19 lipca 1980 Hajdukiewicz stanął na szczycie

ciężkiego zatoru, który zmienił jego życie. Zmarł sześć lat później w Zakopanem. Zdążył jeszcze w autobiografii *Góry mojej młodości* spisać swoje górskie wspomnienia.

JULIUSZ ŚLASKI – ALPEJSKI PRAKTYK

Innym, zapomnianym już nieco w górskiej pamięci, Polakiem zdobywającym czterotysięczne szczyty Alp był Juliusz Ślaski.

Podobnie jak Hajdukiewicz, walczył w 1940 w Armii Polskiej we Francji, ale po zakończeniu wojny pozostał na emigracji i to stało się początkiem jego alpejskiej kariery. Zamieszkał w Monachium i aż do końca życia był dziennikarzem polskojęzycznych rozgłośni – Głosu Ameryki i Radia Wolna Europa (warto przypomnieć, że były one jednym źródłem prawdziwych informacji dla Polaków żyjących w komunistycznej Polsce). W swojej pracy Ślaski był również popularyzatorem osiągnięć polskich alpinistów, i to niejednokrotnie w większym stopniu niż ówczesne krajowe media! Dzięki niemu było głośno o polskich sukcesach w górach świata. Utrzymywał kontakt z polskimi himalaistami, m.in. Wandą Rutkiewicz i Andrzejem Zawadą. Jednocześnie sam wspinał się w różnych górskich rejonach świata,



Barre des Ecrins – kolekcja została zamknięta. Od chwili wejścia na pierwszy czterotysięcznik minęły 42 lata. Uzupełniając statystykę można dodać, że do 57 wejść na szczyty główne, Hajdukiewicz dodał 14 wejść powtórnych i 13 na szczyty boczne, niebędące samodzielnymi czterotysięcznikami – w sumie dało to 84 wejścia. Do swoich czterotysięczników i ludzi, których w czasie ich zdobywania spotkał, Jerzy Hajdukiewicz miał pozytywnie emocjonalny stosunek: *Alpy nauczyły mnie wiele rozumu – alpinistycznego i tego w szerszym pojęciu słowa. Poznałem tam wielu wspaniałych ludzi, od robotników – po generałów i profesorów. Nauczyłem się od nich wiele, bo chciałem się nauczyć, i jestem im za to wdzięczny. (. . .). Czy chciałbym wejść jeszcze kiedyś na jakiś alpejski czterotysięcznik? Tak – na wszystkie! Lubię Alpy i czuję się w nich dobrze, jak w domu. To moja druga ojczyzna. Niestety, nie dane mu było wspiąć się już na jakikolwiek czterotysięcznik – w 1983 r. doznał*

ta, m.in. w Afryce (Atlas, Kilimandżaro, Etiopia), Andach (Ekwador, Chile), w Turcji i Meksyku. Jednak z racji bliskości najczęściej działał w Alpach. Spędzał w nich wolny czas w ciągu 35 lat pracy w Monachium. W czasie weekendowych wypadów dokonał wejść na setki szczytów zarówno latem, jak i zimą, odwiedzał kolejne alpejskie masywy, wchodząc na ich najwyższe wierzchołki. Stał się chyba najlepszym wśród Polaków praktycznym znawcą Alp. Odmienne niż Hajdukiewicz, Ślaski zdobywał czterotysięczniki niejako „przy okazji”, a nie w ramach planowej kolekcji. Z tego też względu dopiero w ostatnim okresie życia zorientował się, że do pełnego zestawu alpejskich czterotysięczników, i to w bogatszej, liczącej blisko setki wersji, brakuje mu zaledwie kilku (być może nawet tylko dwóch lub trzech) wierzchołków. Mimo skończonych 70 lat nadal regularnie się wspinał i być może zdobyłby i pozostałe. Niestety, zginął w lipcu 1990 r.

w czasie zejścia ze znajdującego się we włoskiej części Alp Kortyjskich szczytu Monte Viso.

Wartość osiągnąć Hajdukiewicza i Ślaskiego (w sensie nie tyle sportowym, ile kolekcjonerskim) podnosi fakt, że do dziś nikt z Polaków nie skompletował pełnej listy (zatwierdzonej przez UIAA) obejmującej 82 szczyty czterotysięczne, mimo licznych ułatwień, którymi teraz dysponujemy oraz popularności, jaką cieszą się obecnie wyjazdy na alpejskie czterotysięczniki. A może wspinacze dawnego pokolenia mieli więcej determinacji i cierpliwości?

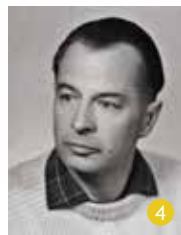
Literatura:

Jerzy Hajdukiewicz, *Alpejskie czterotysięczniki*, *Taternik* 2/1981.

Jerzy Hajdukiewicz, *Góry mojej młodości*, Warszawa 1988.

Józef Nyka, *Czterotysięczniki Alp*, *Głos Seniora* 12/1999.

Wojciech W. Wiśniewski, *Juliusz Ślaski – alpejski praktyk*, *Góry i Alpinizm* 1(25)/96.



Fotografie:

1. Jerzy Hajdukiewicz (z prawej) z Tadeuszem Wowkonowiczem w Chamonix w 1979 r. fot. J. Olszewski z książki J. Hajdukiewicza *Góry mojej młodości*.
2. Czterotysięczniki szwajcarskich Alp Penińskich - od lewej Obergabelhorn (4063 m), Zinathorn (4221m) i Weisshorn (4505 m) fot. A. Kurowski.
3. Matterhorn (4478m) i Dent d'Hérens (4171m) w Alpach Penińskich. Fot. Mirosław Mączka.
4. Dr Jerzy Hajdukiewicz fot. archiwum J. Nyki.

REKLAMA



www.obozowa.waw.pl

Andrzej Kurowski

ZAPOMNIANE ZWYCIĘSTWA

Niepotrzebne zwycięstwa to górską autobiografia Lionela Terraya, jednego z najwybitniejszych alpinistów sprzed półwiecza, zdobywcy ścian alpejskich i wielu szczytów świata, przewodnika wielkich dróg, wreszcie – górskiego idola swojego pokolenia.

Trwająca ponad dwadzieścia lat wspinaczkowa kariera Terraya była niezwykle intensywna i obfitowała w niewiarygodną, jak na dokonania jednego człowieka, ilość sukcesów – a trzeba pamiętać, że w tych latach (50. i 60. XX wieku) górskich sław nie brakowało. Wraz z innym alpejskim przewodnikiem i przyjacielem Louisem Lachenalem stworzył legendarny zespół, który w świetnym stylu dokonał pierwszych powtórzeń wielkich ścian i słynnych dróg (m.in. północnej Eigeru oraz Filara Walkera na Grandes Jorasses). Alpejskie sukcesy dały obu przepustkę do udziału w 1950 roku w wyprawie na Annapurnę – pierwszy ośmiotysięcznik zdobyty przez człowieka. Ambicje i zbieg okoliczności rozdzieliły zespół – tylko Lachenal wraz z kierownikiem ekspedycji Mauricem Herzogiem stanął na szczycie, ale to postawie i heroizmowi Terraya oraz drugiego, „wielkiego pominiętego” Gastona Rébuffata, zwycięska dwójka zawdzięczała ocalenie.



Wyprawa była dla Terraya bolesnym doświadczeniem, jednak jak to często bywa, umożliwiła przyszłe sukcesy himalajskie. Szczytowym osiągnięciem Terraya było zdobycie pięć lat później wraz z Jaeanem Couzy, w pięknym stylu Makalu – piątej góry Ziemi. To o tym wejściu pisał: *Za zwycięstwa powinno się płacić cenę wysiłków i cierpienia. [...] Tymczasem dotarłem tam właściwie bez walki i prawie bez zmęczenia. A jednak jestem tu. Stoję na tej idealnej piramidzie najwykwintniejszego ze wszystkich wielkich szczytów. Po latach wytrwałości, zacieklej pracy i śmiertelnego ryzyka, bezsensowne marzenie mojej młodości przybrało realne kształty. Czy mam być tak głupim, by czuć tylko rozczarowanie? Och, szalenciez, dla którego szczęście będzie tylko w pragnieniu, ciesz się chwilą terażniejszą. Czy słowa te nie są kwintesencją alpinizmu?*

Pociągały Terraya trudności. W trakcie kolejnych wypraw padają „szklane góry”: patagoński Fitz Roy, Chacaraju w Peru, wreszcie Jannu w Himalajach Nepalu – zdobyty dzięki wzorowej grupowej współpracy francuskich alpinistów, powszechnie uważanych za indywidualistów! Jednocześnie był Terray – jak sam to określił w książce – przewodnikiem wielkich dróg. Specjalizował się w prowadzeniu klientów na wymagające i trudne technicznie drogi alpejskie (przykładowo kilkunastokrotnie pokonywał z nimi południową grań Aiguille Noire de Peuterey), jak również ambitne szczyty w Cordillera Blanca. Wykonywany zawód dostarczał mu radości i satysfakcji, szczególnie wielkich, gdy jego „podopieczni” wyrastali na samodzielnych i sprawnych alpinistów. Kariera wielkiego Terraya dobiegła końca 19 września 1965 r., gdy odpadł wraz z partnerem (jak przypuszczano w łatwiejszym już podszczytowym terenie) w czasie wspinaczki na stosunkowo niewielkiej, jak na skalę tych, które pokonywał, 400-metrowej ścianie Gerbier w masywie Vercors.

Pozostawił po sobie spisane cztery lata wcześniej wspomnienia. *Niepotrzebne zwycięstwa od Alp do Annapurny* (pełny tytuł, nieoddający w pełni treści książki, sięgającej dalej niż wyprawa na Annapurnę), to klasyka literatury górskiej najlepszego gatunku. Ukazują one górską drogę Terraya od początków wspinania, przez zdobycie przewodnickich kwalifikacji, po sukcesy na szczytach świata, rozwój alpinisty, zdobywanie doświadczeń, naukę brania odpowiedzialności za innych – jako partner, przewodnik, uczestnik, a wreszcie kierownik ekspedycji. Jest w książce Terraya to, co najważniejsze – autentyczna miłość do gór, świadomość ryzyka, gotowość do wyrzeczeń i znoszenia cierpienia w imię „niepotrzebnych zwycięstw”, uznawanie alpinizmu jako walki, z górami i samym sobą. Jest wreszcie to, co (ostatnio?) czasami nam umyka – rzetelne traktowanie partnerstwa jako podstawowej zasady działania w górach – wspólna wspinaczka, wspólny sukces, wspólny powrót. Dzięki temu *Niepotrzebne zwycięstwa* mimo upływu epoki w historii alpinizmu nie zestarzały się. Napisane przystępnym językiem, dobrze przetłumaczone i opatrzone fachowymi przypisami autorstwa Janusza Kurczaba należą do tych najlepszych pozycji klasyki literatury górskiej, które warto sobie przypomnieć.

Lionel TERRAY, *Niepotrzebne zwycięstwa od Alp do Annapurny* (tytuł oryginału *Les conquérants de l'inutile des Alpes à l'Annapurna*, Éditions Gallimard 1961).

Pierwsze polskie wydanie: Wydawnictwo Sport i Turystyka 1975.
Drugie wydanie: Wydawnictwo AT Hudowski i Marcisz, Londyn–Kraków 1994.



Fotografie:

1. Lionel Terray. Fot. z książki *Niepotrzebne zwycięstwa*.

2. Grób Terraya na cmentarzu w Chamonix. Fot. A. Kurowski.

Justyna Osińska

NIE MA DROGI NA SKRÓTY

Zamiast wstępu: pracuj do upadłego, trzymaj język za zębami, wszystko co się dzieje, traktuj jak grę...

W lipcu 2000 r. nasz helikopter szczęśliwie wylądował na lodowcu Północny Inylczek u podnóża potężnej, mierzącej 3 tys. m, północnej ściany Chan Tengri (7010 m n.p.m.). W bazie pustki – stacjonuje tylko kilku młodych chłopców z CSKA (Centralny Klub Sportowy Alpinizmu z Kazachstanu). Nie wiedziałam jeszcze, że właśnie poznałam późniejsze gwiazdy kazachskiego i światowego alpinizmu: Wasilij Piwcow, Maksut Żumajew, Denis Urubko, Dima Czumakow, Siergiej Samożłow. Sądziłam naiwnie, że głównym celem tej ekipy jest, tak jak i moim, zdobycie szczytu Chan Tengri. Podczas smażenia urodzinowych ciasteczek dla Denisa Urubki dowiedziałam się, że obecny tu solenizant wraz z partnerami z CSKA planuje pokonanie drogi na północnej ścianie Chana (bagatela 6B w skali rosyjskiej – kto ścianę widział, zrozumie, o co chodzi), a następnie po kilku dniach odpoczynku myśli o tym by... wbiec na szczyt i zbiec z niego w czasie poniżej 15 godzin (tyle wynosił dotychczasowy rekord). „Jak to możliwe, że o nim wcześniej nie słyszałam” – zastanawiałam się w duchu. Pomyślałam wtedy, że jeśli Urubko te plany zrealizuje, nie może już we wspinaczkowym świecie pozostać postacią nieznaną. Latem 2000 r. ekipa CSKA (z Urubką w składzie) pokonała planowaną drogę na północnej ścianie Chan Tengri, a Denis Urubko zdołał pokonać trasę z bazy na szczyt i z powrotem w czasie 12 godzin i 21 minut (szczegóły w opowiadaniu *Szybkość w stylu solo*).

Zanim jednak do tego doszło, była codzienna praca. Trening – to słowo, które jak mantrę powtarza Urubko w książce, a za nim cała ekipa CSKA. Autor opisuje swoje przygotowania do górskich projektów jako wręcz mordercze treningi kondycyjne, siłowe i wspinaczkowe. Są to treningi zawodowych alpinistów sportowców, planowane i nadzorowane w klubie CSKA głównie przez trenera Ilińskiego. Urubko kładzie nacisk na maksymalne przygotowanie wydolnościowe przed wyprawami czy biegami na górskie szczyty (dwukrotnie wygrany bieg na



szczyt Amangeldy, ustanowienie rekordu w biegu na Elbrus 5642 m n.p.m. do 2010 roku – opisane w opowiadaniu *Struny Elbrusa*). Pisze: *Ambitne dążenia zawsze powinny iść w parze z ciężką pracą, porywając się bowiem na wielkie rzeczy, nie wypadają nie dać z siebie wszystkiego. Aby nie zostać pokonanym przez taki „drobiazg”, jak np. niedobór powietrza na wysokości 8000 metrów [...]*.

Tu warto przypomnieć, że w czasach ZSRR powstał system szkolenia alpinistów wraz z całym zapleczem bazowym (tzw. alplagiery). Alpinizm był finansowany i silnie wspierany przez państwo. Alpinści pokonywali kolejne stopnie trudności skalnych, lodowych, wysokogórskich pod kierunkiem i za pozwoleniem bardziej doświadczonych kolegów, często tzw. mistrzów sportu. Uczyli się od nich i czerpali wzorce. Dzięki takiemu systemowi wspinacze, którzy szli w góry wysokie, mieli już za sobą wszystkie kolejne stopnie wtajemniczenia we wspinaczkę skalnej, lodowej, poruszaniu się na lodowcu. O swojej drodze i mistrzach Urubko pisze m.in. w opowiadaniach: *Ważne z kim idziesz, Otoczeni blaskiem Ala-Arczy, Na Tujuk-Su znów pada śnieg*. Jeśli mowa o radzieckiej szkole, to pozwól sobie również na małą dygresję na temat sposobu odżywiania, jaki w górach stosują Rosjanie. W skrócie zawiera się on w trzech pytaniach, jakie zadał Samożłow w bazie pod Manaslu (z opowiadania *Ogień Manaslu*): *Gdzie jest mięso? Gdzie barszcz ukraiński? Gdzie kasza?* Nie zapomnę też widoku Dimy Czumakowa, który przygotowywał prowiant na wspinaczkę północną ścianą Chan



Udało mu się jednak przekonać do realizacji swoich celów partnera z CSKA, Siergieja Samojułowa. Pisz o nim: *Po siedmiu dniach na północnej ścianie Chan Tengri, po Piku Pobiedy, kiedy to schodziliśmy po uszkodzonych poręczówkach związani resztkami lin, po wszystkich tych latach, kiedy razem chodziliśmy po górach Tien-Szan, mogłem z Samojułowem zajrzeć nawet w paszczę lwa.* Ten dwuosobowy zespół (Urubko–Samojułow) wytyczył w 2005 r. w stylu alpejskim nową drogę na południowo-zachodniej ścianie

Broad Peaku. Pikanterii dodaje fakt, że dla Samojułowa był to w ogóle pierwszy zdobyty ośmiotysięcznik i pierwsza wizyta w Karakorum (!). Trudności drogi oraz warunki pogodowe spowodowały wydłużenie czasu wspinaczki z planowanych pięciu do siedmiu dni. Na te nieplanowane dni zabrakło żywności i gazu. Obaj himalaistki dotarli do bazy skrajnie wyczerpani. Urubko tak wspomina te chwile w opowiadaniu *W labiryncie życia: Bolały mnie nogi, bolały ręce, bolała głowa. Bolały mnie palce. Bolał żołądek. Twarz również bolała. Bolała i dusza. Wszystko bolało. . . Umierałem.* A jednak to po pokonaniu tej drogi napisze również: *Wspinaczka na Broad Peak uświadomiła mi, czego tak naprawdę, przez tyle lat szukałem w alpinizmie, i dała mi możliwość realizacji swoich ambicji w przyszłości.*

Tak Urubko rozpoczął realizację kolejnych celów sportowych, łączących zdobywanie najwyższych szczytów ziemi z wytyczaniem nowych, trudnych technicznie dróg w małych zespołach i w stylu alpejskim:

- 2006 – Manaslu nową drogą (z Siergiejem Samojułowem) na północno-wschodniej ścianie,
- 2009 – Makalu – I zimowe wejście (wraz z Simone Moro),
- 2009 – Cho Oyu – nową drogą (z Borysem Dedeszko), Azjatycki Złoty Czekan,
- 2011 – Gasherbrum II – I zimowe wejście (wraz z Simone Moro i Cory Richardsem).

Książka *Skazany na góry* Denisa Urubki skupia się na początkowych latach działalności górskiej autora (ostatnie opowiadanie dotyczy nowej drogi na Manaslu). Pokazuje jak kazachski system szkolenia alpinistycznego, ciężki codzienny trening oraz nabywane w kolejnych latach doświadczenia wspinaczkowe i wyprawowe wpłynęły na to, jakim jest obecnie człowiekiem i himalaistą. Płynie z niej również dość oczywisty wniosek, że w alpinizmie, jak w każdej innej dziedzinie sportu czy życia, do sukcesów nie ma drogi na skróty i musi być ona okupiona godzinami, miesiącami, latami ciężkiej pracy. Ale jaką inną drogą ma podążać ktoś, kto został już skazany na góry?...

Denis Urubko, *Skazany na góry*, Mountain Quest 2011.

Tengri. Siedział nad wielką metalową miską wypełnioną pieczonymi kurczakami i oddzielał mięso od kości...

Bez wątpienia można więc stwierdzić, że sportowe wyniki Urubki i alpinistów CSKA były i są wynikiem rygorystycznego systemu szkolenia i treningu według starej radzieckiej szkoły alpinizmu. Na tym tle blado wypadają polscy wspinacze na zimowej wyprawie na K2, opisanej przez Urubkę w opowiadaniu *Pocątunek ziemi i nieba*. Oprócz kwestii związanych ze złą organizacją i zaopatrzeniem samej wyprawy (znowu braki mięsne) okazuje się, że wspinacze ze wschodu nie znaleźli w Polakach partnerów równie silnych jak oni. Po sprowadzeniu chorego Marcina Kaczkana do bazy okazało się, że żaden z licznych uczestników wyprawy ze względów zdrowotnych nie był już w stanie podjąć ostatniej próby zdobycia zimą K2 wraz z Denisem. W odniesieniu do tej wyprawy (ale i programu Polski Himalaizm Zimowy) istotne wydają mi się poniższe słowa Urubki z podsumowania wyprawy: *Budowanie zespołu zdolnego do podjęcia wspólnej pracy to długotrwały i wymagający wysiłku proces. Samo skrzyknięcie alpinistów nie zawsze wróży sukces. Znacznie ważniejsze jest dobranie [...] osób, które będą w stanie pracować wspólnie nad twórczym zadaniem. Prócz tego trzeba zadbać o dobre przygotowanie do wspinaczki o określonej trudności. W każdej ekipie nieodzowny jest wreszcie silny lider [...]. Myślę, że przy budowaniu zespołu należy zwracać uwagę przede wszystkim na to, by zbierać ludzi z „tej samej gliny”; [...] dlatego najlepiej tworzyć zespół ze sportowców tego samego klubu, miasta czy kraju.*

Po tym doświadczeniu Urubko skupił się na wyprawach w małych grupach ze sprawdzonymi partnerami (głównie z CSKA), wejściach sportowych i w stylu alpejskim. Ta ostatnia decyzja, rozumiana jako podejmowanie dodatkowego ryzyka w górach, nie spotkała się ze zrozumieniem środowiska kazachskich wspinaczy przywiązanych do tradycyjnego radzieckiego, nazwijmy to bardziej obłąknierczego, ale uważanego za bezpieczniejszy, stylu pokonywania trudnych i nowych dróg.

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobie: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20.00–22.00) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/18) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualnie info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

- uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe.
Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca):
składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
- osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 90 PLN + 90 PLN wpisowe.
Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 90 PLN,
- instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
- Emeryci i renciści – 12 PLN.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też z odpowiednio mniejszymi opłatami wchodzić na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczony na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoy nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul. Noakowskiego 10/18 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
Sekretariat Wtorki, godz. 20.00–21:30 ul. Nowowiejska 37B	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Bank Zachodni WBK SA 48 1090 1694 0000 0001 1506 5257 ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

SALEWA
www.salewa.com
www.salewa.pl
www.salewa.de



PLUS MOUNTAIN
BIKE SHOP DO 20%
www.rowery.com.pl



KANFOR DO 30%
www.kanfor.pl



SCHRONISKO PIĘĆ
STAWÓW DO 20%
www.piecstawow.pl



MJSPOORT DO 30%
www.mjsport.pl



SKALNIK DO 20%
www.skalnik.pl



NAMASTE DO 30%
www.namaste.pl



SUSZARKIDOBUTOW.PL
DO 20%
www.suszarkidobutow.pl



www.skialpinizm.eu
do 30%



TANIEWSPINANIE.PL
DO 20%
www.taniewspinanie.pl



YETI DO 30%
www.yeti.com.pl



GÓRSKI SKLEP SPORTOWY
ul.Kościuszki 15
34-500 Zakopane

M-ARTE
Agent Sklepu Podróżnika do 25%



ALPAMAYO DO 15%
www.alpamayo.eu



MONKEY'S GRIP DO 25%
www.monkeysgrip.com



E-BUSOLA DO 15%
www.e-busola.pl



CUMULUS DO 20%
www.cumulus.pl



ECOBE DO 15%
www.ecobe.com.pl



MAŁACHOWSKI DO 20%
www.malachowski.com.pl



HORSEWAY DO 15%
www.horseway.pl



MARABUT DO 20%
www.namioty.pl



MOUNTAINTOOLS DO 15%
www.mountaintools.com



MONTANO DO 20%
www.montano.pl



NATURAL BORN RUNNERS DO 15%
www.natural-born-runners.pl



NEGRA SPORT DO 20%
www.sklep.negrasport.com



OUTDOORPRO.PL DO 15%
www.outdoorpro.pl



PEKA PAKA DO 20%



POLAR SPORT DO 15%
www.polarsport.pl



MAMMUT DO 10%
www.climbrock.pl



SKLEP PODRÓŻNIKA DO 15%
www.sp.com.pl



MULTAN EXTREME DO 10%
www.multanex.pl



STREFA GOR DO 15%
www.strefagor.pl



QUICKSILVER-ROSSIGNOL DO 10%
www.pmsport.pl



TRANGO.PL DO 15%
www.trango.pl



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT DO 10%
www.roberts.pl



WELD SKLEP GÓRSKI DO 15%
www.weld.pl



SHERPA DO 10%
www.sherpa.pl



ALPENSKI.PL DO 10%
www.alpenski.pl



SKI-TUR SPRZĘT TURYSTYCZNY
I RATOWNICZY DO 10%
www.arva.pl



ALPINSKLEP & HIMOUNTAIN ZAKOPANE DO 10%
www.alpinsport.pl



SPORTSKLEP.COM DO 10%
www.sportsklep.com



ALPINSKLEP DO 10%
www.alpinsklep.pl



SZKOŁA JĘZYKÓW OBCYCH SOKRATES DO 10%
www.tesokrates.com.pl



AZYMUT DO 10%
www.sklepazymut.pl



TATERNICKI.PL DO 10%
www.taternicki.pl



BERGSON DO 10%
www.bergson.pl



EXTREME SPORT – ZAKOPANE DO 7%
www.bzyk-extreme.netidea.pl



CHATA PRI ZELENOM PLESE DO 10%
www.zelenepleso.sk



SKLEPY TURYSTYCZNE HORYZONT DO 7%
www.e-horyzont.pl



E-BIWAK.PL DO 10%
www.e-biwak.pl



TUTTU DO 7%
www.tuttu.pl



EKSPLO DO 10%
www.ekspl.com.pl



WORK SPORT DO 5%
www.worksport.com.pl



HIMAL SPORT DO 10%
www.himalsport.com.pl



KWARK
www.kwark.pl



HIMOUNTAIN DO 10%
www.himountain.pl



SKLEP GÓRSKI K2 DO 15%
www.k2-sklep.pl



An overhead view of a person in an orange Yeti sleeping bag lying on a blue mat on a rocky campsite. The person's face is visible through the hood. To the left of the sleeping bag, there is a green ring and a small metal pot. To the right, there is a blue and red bag and a black tripod. The background consists of large, mossy grey rocks.

yeti®

WWW.YETI.COM.PL



Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez Internet

www.kw.warszawa.pl